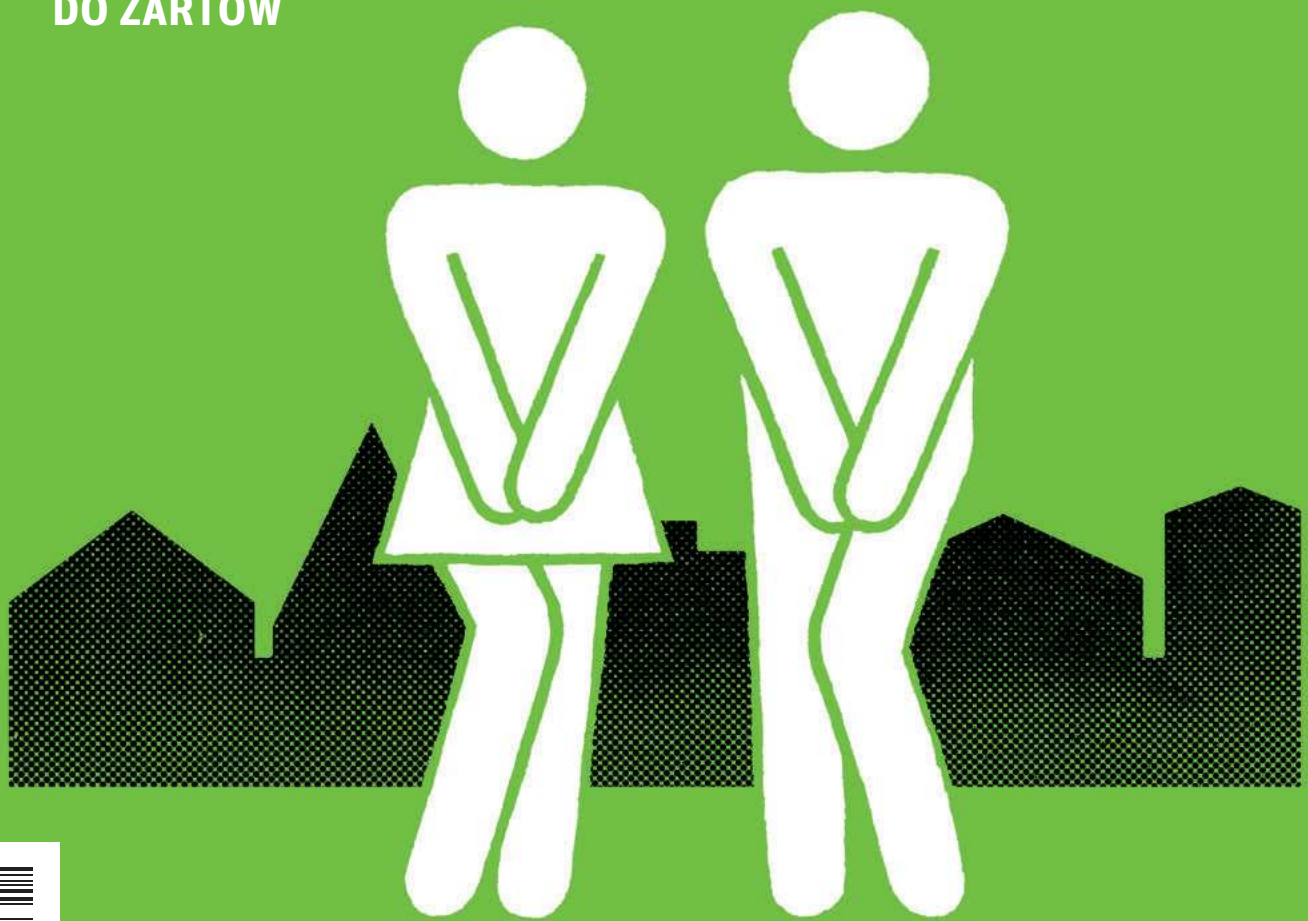
TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 18 – 24 marca 2026 | nr 12 (4002)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI
Ropa drożeje, Putin się cieszy
AfD: Nadchodzą inne Niemcy
Pochwała miłości nieromantycznej
Jak naukowo przewidzieć kryzys
Zapatrzeni w Ryana Goslinga

POLSKI WSTYD

BRAK TOALET ZATRZYMUJE W DOMACH MILIONY Z NAS. TO KWESTIA GODNOŚCI, A NIE POWÓD DO ŻARTÓW



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl f1a314a829

REKLAMA

ALUPROF
LET'S BUILD A BETTER PLACE

NOWA PERGOLA TARASOWA SB 450



- **Krótki czas realizacji**
- Bogata gama kolorystyczna – niemal **40 kolorów w standardzie**
- **Gwarantowana jakość** – ponad 40 lat doświadczenia w produkcji osłon przeciwsłonecznych
- **Dodatkowe akcesoria:** screeny, panele przesuwne, przeszklenia, oświetlenie LED, czujniki pogodowe, smart home
- **Sieć wyspecjalizowanych partnerów** na terenie całej Polski

eprasa.pl f1a314a829

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI
MONIKA OCHĘDOWSKA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Dżin wyleciał z butelki
FILIP RUDNIK

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Przekleństwo wody
MARCIN KĘDZIERSKI: *W grze o wodę ścierają się różne grupy interesów. Tracimy na tym wszyscy*

20 Prowizja za półprawdy
AGNIESZKA KANTARUK: *Ukryte adresy czy zatajanie wad budynków sprawiają, że znalezienie własnego kąta stało się udręką*

■ ■ PSYCHE

24 Rozważni, nieromantyczni
OLGA DRENDA: *Miłość ma wiele oblicz. Co pozwala znaleźć klucz do trwałego szczęścia?*

■ ■ ŚWIAT

28 Czarny deszcz
MAREK KĘSKRAWIEC: *Trump obiecał pomoc irańskim demonstrantom, a uratował reżim*

31 Kolor czerwieni
DOMINIK DERLICKI, SZEF MISJI CARITAS POLSKA: *Ponad 800 tys. Libańczyków musi uciekać z domów. Czy będą mieli dokąd wrócić, gdy przestaną spadać bomby?*

32 Niepotrzebne obciążenia
BARTOSZ HLEBOWICZ: *Gdy obiecują wsparcie, deklaruje im miłość. Ale tubylczy Amerykanie widzą, że prezydent USA nie jest ich sojusznikiem*

34 To już są inne Niemcy
ROZMOWA JACKA STAWISKIEGO Z ŁUKASZEM GRAJEWSKIM: *AfD kapitalizuje emocjonalne tematy. Dlatego w sukcesach, które odnosi, odbijają się wielkie przemiany, których doświadcza niemieckie społeczeństwo*

■ ■ WIARA

38 Rachunek wdzięczności



MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

ROZMOWA KATARZYNY KUBISIOWSKIEJ Z MARIĄ MAJ: *Moja duchowość formowała się przez życiowe doświadczenia*

TEMAT TYGODNIKA

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP”

10
Pilna potrzeba i polski wstyd

MAREK RABIJ

Co trzeciego dorosłego Polaka powstrzymuje przed wyjściem z domu brak dostatecznej liczby publicznych toalet. Dalsze ukrywanie problemu za zasłoną zakłopotania i niesmacznych żartów jest skandalem.



■ STRONY SPECJALNE ■

57 JÓZEF MAKSYMILIAN OSSOLIŃSKI. 200 LAT DZIEDZICTWA

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
37 OLGA DRENDA
47 ZUZANNA RADZIK
56 WOJCIECH BONOWICZ
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP”

REDAKTORKA PROWADZĄCA:
MONIKA OCHĘDOWSKA

42 Niebo Dobrego Łotra
MARTA GLANC: *Obowiązkowa dziesięcina, rozkazy od Ducha Świętego i kontrola życia prywatnego. Członkowie radomskiej wspólnoty św. Dobrego Łotra przerywają milczenie*

45 Głód Boga, post od Boga
KS. JACEK PRUSAK SJ *o książce Bogdana de Barbaro i ks. Grzegorza Strzelczyka*

46 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

48 Studium poddaństwa
SYLWIA FROŁOW: *190 lat temu po raz pierwszy wystawiono „Rewizora” Nikołaja Gogola. Dlaczego carska cenzura puściła sztukę, która obnaża rosyjskie podejście do władzy? I dlaczego dzieło przerosło mistrza?*

■ ■ NAUKA

52 Matematyczna szklana kula
KAROLINA SAFARZYŃSKA: *Fizyk i ekonomista Doyne Farmer pracuje nad modelem, w którym symulowane byłoby działanie niemal wszystkich firm na świecie*

■ ■ KULTURA

68 Był sobie chłopiec



JONATHAN OLLEY / AMAZON CONTENT SERVICES

MICHAŁ WALKIEWICZ: *Dlaczego cały świat wariuje na punkcie Ryana Goslinga*

70 Punk nie umarł
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Sukces najnowszej płyty Dezertera to dobra wiadomość dla tych, którzy nigdy nie słuchali polskiego punk rocka*

73 Polecamy

74 Po rozstaniu
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Hlynura Pálmasona „Miłość, która zostaje”*

75 Skarb odnaleziony
LEKTOR *o pamiętnikach Stanisława Stempowskiego*

■ ■ ZMYSŁY

78 Tyle naraz świata
DOROTA MALINA *portretuje brytyjskiego fotografa Martina Parra*

eprasa.pl f1a314a829

KS. ADAM

Boniecki: *Duch i psyche, jednym tchem*

Ale wielcy grzesznicy na błysk jeden przyklękną / i wypłaczą się jednym tchem – napisał ks. Jan Twardowski, który wiedział, co pisze. – Potem mają noc cichą i jak dobry łotr świętą – / byłem z nimi, klęczałem, wiem”. Piszę o tym na wstępie, bo mam wrażenie, że kiedy się zapomni o opisanym przez poetę momencie, niewiele się zrozumie.

Książka-rozmowa Bogdana de Barbaro z ks. Grzegorzem Strzelczykiem, w której uczestniczy także Dominika Tworek, a o której więcej pisze w tym numerze ks. Jacek Prusak – książka wspaniała dla każdego, kto się spowiada, kto się spowiadał i kto spowiada – jest zarazem porównaniem ścieżek, po których chodzą ksiądz-spowiednik i psychiatra-terapeuta. Zwłaszcza z perspektywy spowiednika jej temat wydaje mi się szczególnie ważny.

W seminarium nie nauczono mnie przecież, jak postępować z ludźmi, którym potrzebna jest raczej pomoc psychologa czy psychiatry niż spowiednika. Może dziś tego uczą, ale to się łatwo mówi: pamiętam mnóstwo czasu daremnie użytego tam, gdzie potrzebna była konkretna wiedza, a nie naiwna poczciwość młodego księdza podbudowana nieskromnym przekonaniem, że pomoże. Nie pomogłem, może zaszkodziłem, na pewno postępowałem głupio. Psychoterapeuta ma superwizję, spowiednik nie ma nic, może jakieś książki... Oczywiście, życie uczy wielu rzeczy. Zastrzegam: nie chodzi o stracony przez księdza czas, ale o człowieka, któremu nie umiałem pomóc.



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA

MONIKA

Ochędowska: *Jak tu wyjść z domu*

Co trzeciego dorosłego Polaka powstrzymuje przed wyjściem z domu brak dostatecznej liczby publicznych toalet” – pisze w okładkowym tekście tego numeru **MAREK RABIJ**. Aby doświadczyć tego problemu, nie trzeba zmagać się z żadnym poważnym schorzeniem czy chorobą przewlekłą, wystarczy być zdrową, miesiączkującą kobietą. Oto dlaczego pod damskimi toaletami w restauracjach, centrach handlowych, na dworcach czy stacjach benzynowych zawsze stoi kolejka co najmniej kilku pań, podczas gdy panowie wchodzą za potrzebą bez zbędnej zwłoki.

Częściej korzystamy z toalety, ponieważ miesiączkujemy. Ze względu na naszą fizjologię mamy również skłonność do zakażeń układu moczowego (krótka cewka moczowa oraz mała odległość pomiędzy odbytem a ujściem cewki sprzyjają łatwemu przenoszeniu bakterii). Infekcje występują też częściej u kobiet stosujących antykoncepcję.

W podręczniku dla internistów przeczytamy, że nawracające zakażenia dróg moczowych mogą dotyczyć nawet 20 proc. zdrowych kobiet, które przynajmniej raz w życiu przeszły

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 15

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl f1a314a829

Z czasem nauczyłem się jednak, że większość ludzi przystępujących do spowiedzi nie oczekuje od księdza w konfesjonale mądrej rady, ale rozgrzeszenia. Wielu zresztą tak formuje wyznanie grzechów, żeby nie sprowokować księdza do udzielania rad. Jak Pan Bóg radzi sobie z ludźmi, którzy według przepisów kościelnych nie mogą otrzymać rozgrzeszenia, a którzy żyją naprawdę jak święci? Nie wiem, choć jestem pewien, że sobie jakoś radzi.

Inna sprawa: dlaczego kwestie związane z religią sprawiają człowiekowi problemy natury psychicznej, zacierają ostrość władz poznawczych, wymagają terapii czy wręcz pomocy psychiatry? Przypuszczam, że geneza zjawiska tkwi w naszym wychowaniu „religijnym". Słowo ująłem w cudzysłów, bo to słowo zawiera mnóstwo wątków całkiem niereligijnych. Weźmy np. sferę „anielskiej" cnoty czystości i istnienia popędu, który należy do ludzkiej natury. Bywa, że ludzie na tym punkcie mają kompletny zamęt. W sakramencie pokuty staramy się to wyjaśniać. Cała rzecz (w przypadku spowiednika) polega na tym, by rozpoznać, kiedy rzecz wymaga specjalisty od powikłań w psychice, kiedy zaś pozostaje domeną spowiednika.

Książka prof. de Barbaro i ks. Strzelczyka nie jest jednak poradnikiem dla spowiedników. Jest ważnym materiałem do refleksji zarówno dla spowiadających, jak i dla spowiadanych. I ważną wskazówką: każdy spowiednik powinien mieć specjalistę psychoterapeutę w zanadrzu. Jeden nie zastąpi drugiego, ale ten drugi dopełni to, czego nie zdoła zrobić ten pierwszy. A pierwszy jest niezastąpiony tam, gdzie nie ma co robić ten drugi. Duch i psyche. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

infekcję pęcherza. Problem częściej dotyka kobiet aktywnych seksualnie oraz tych, które skończyły 55. rok życia (czytaj: w okresie menopauzy). Typowe objawy: konieczność częstego, natychmiastowego oddania moczu. Jak unikać nawracających zakażeń? Należy pić dużo wody, by wypłukiwać bakterie. A potem, wychodząc z domu, jakoś sobie radzić, zaciskając zęby i uda. Virginia Santy, amerykańska ekspertka w zakresie projektowania na rzecz równości, w dostępnym na YouTubie wykładzie mówi wprost: kobiety uczy się, że muszą w milczeniu znosić niedogodności i ból.

Projektantki, dizajnerki i urbanistki poruszają temat od lat. Nieprzypadkowo na okładce książki niemieckiej dziennikarki Rebekki Endler „Patriarchat rzeczy" widzimy właśnie pisuar. Męskie ciało („o ile nie zaznaczono inaczej") jest domyślnym ciałem poruszającym się po mieście (dopiero dwie dekady temu producenci aut zauważyli, że także kobiece ciała ulegają wypadkom, i zaczęli przeprowadzać crash testy z odpowiadającymi naszym rozmiarom manekinami).

Tekst Marka Rabija opisuje problem dotyczący obu płci, warto jednak dodać, zupełnie serio: dostęp do wystarczającej liczby toalet jest istotny także dla zapewnienia równouprawnienia. Podział świata na sferę „prywatną" i „publiczną" jest arbitralny i fałszywy. ©℗

Dziennikarka i redaktorka działu Kultura, członkini kapituły Nagrody Conrada przyznawanej za najlepszy debiut prozatorski.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

JOLA SZYMAŃSKA
Zapaść demograficzna, zamykane porodówki i popularne vlogi z nagraniami prywatnych porodów – jak naprawdę wygląda rzeczywistość rodzących Polek?

ROZMOWA Z HANNĄ KRALL
Pierwszy raz w życiu jestem stara. Nigdy stara nie byłam, zdarza mi się to pierwszy raz, więc z pewną ciekawością przyglądam się tej starości.

TOMASZ STAWISZYŃSKI
Kryzys demokracji, rozpad hierarchii opartych na kompetencjach i „kultura narcyzmu": to już było. A jeśli fenomen Trumpa to dowód na skuteczność „pozytywnego myślenia" i innych emblematów poradnikowo-rozwojowej popkultury?



TP-ONLINE / AI // JIM WATSON / AFP / EAST NEWS

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl f1a314a829

OBRAZ TYGODNIA

10 – 16 MARCA 2026

BEZ LITOŚCI i brania jeńców – tak strategię USA wobec Iranu określił szef Pentagonu Pete Hegseth. Obrońcy praw człowieka alarmują, że podobne deklaracje łamią Konwencję Haską. ■■■ **DONALD TRUMP** twierdzi, że 100 proc. irańskiego potencjału wojskowego zostało zniszczone, ale domaga się od Chin, Francji, Japonii i Wlk. Brytanii, oraz od całego NATO, wysłania statków do cieśniny Ormuz, przez którą płyną tankowce z ropą i gazem ziemnym, a która, jak widać, wciąż pozostaje w zasięgu dronów i rakiet Teheranu. ■■■ **USA POLUZOWAŁY SANKCJE** na rosyjską ropę, załadowaną na tankowce przed 12 marca. Mowa o ok. 100 mln baryłek albo – jak mówi Wołodymyr Zełenski – o dodatkowych 10 mld dolarów dla Kremla. ■■■ **SZWEDZKA STRAŻ PRZYBRZEŻNA** przejęła kontrolę nad dwoma tankowcami należącymi do rosyjskiej floty cieni. ■■■ **CENA ROPY** przekroczyła 100 dolarów za baryłkę – pierwszy raz od marca 2022, kiedy Rosjanie stali u bram Kijowa. ■■■ **W LIBANIE** zginęło 850 osób, a niemal milion musiało opuścić domy na skutek izraelskich ataków, będących reakcją na ostrzał terrorystów z Hezbollahu. ■■■ **NA KUBIE** demonstranci zaatakowali biuro partii komunistycznej w Moron; kraj boryka się z przerwami w dostawie prądu i ropy, a Trump twierdzi, że to kolejny reżim na granicy upadku. ■■■ **KOMISJA EUROPEJSKA** grozi odebraniem dotacji weneckiej Fundacji Biennale, która dopuściła Rosję do tegorocznej imprezy. ■■■ **POLSKA TO** jedyne państwo UE, w którym program pożyczek na obronność SAFE stał się kwestią polityczną – ocenia portal Politico. Ustawę umożliwiającą skorzystanie z kredytu zawetował prezydent, więc rząd przystępuje do programu mocą własnej uchwały; premier Tusk mówi, że „najbliższe wybory zdecydują o tym, czy Polska pozostanie w Europie". ■■■ **KAROL NAWROCKI** zawetował nowelizację Kodeksu postępowania karnego, dotyczącą m.in. zakazu korzystania z nielegalnych dowodów i ograniczenia tymczasowych aresztów. „To jawna obrona starego myślenia o państwie: im mniej praw ma obywatel, tym wygodniej dla władzy" – skomentował min. Waldemar Żurek. ■■■ **NOWYCH SZEŚCIU SĘDZIÓW** Trybunału Konstytucyjnego wybrał Sejm, ale i tu nie wiadomo, czy prezydent przyjmie od nich ślubowanie. Jak na razie, rządząca większość nie uznaje dwóch obecnie orzekających członków TK i nie publikuje jego uchwał w Dzienniku Ustaw. ■■■ **WARSZAWSCY RADNI** przyjęli uchwałę wprowadzającą nocny zakaz sprzedaży alkoholu na terenie miasta. ■■■ **POWSTANIE FILM** o Aleksandrze Kwaśniewskim i jego rodzinie – ogłosiła platforma Prime Video. ■■■ **NAJWIĘCEJ OSCARÓW** zgarnęła „Jedna bitwa pod drugiej" Paula Thomasa Andersona. ■■■ **ZMARŁ JÜRGEN HABERMAS.** Niemiecki filozof i socjolog miał 96 lat. ■■■ **NOWYM METROPOLITĄ** łódzkim został kard. Konrad Krajewski. ■■■ **TYCZKARZ ARMAND DUPLANTIS** skoczył podczas mityngu w Uppsali 6,31 m i po raz 15. poprawił rekord świata. ©℗



ROYAL THAI NAVY / AFP / EAST NEWS

DŻIN WYLECIAŁ Z BUTELKI

POWYŻEJ: Tajlandzki masowiec płonie w Zatoce Omańskiej, 11 marca 2026 r.

Skutki amerykańsko-izraelskiego ataku na Iran zdają się przerastać administrację Trumpa, która nie ma pomysłu, jak łagodzić surowcowy szok i związane z tym koszty wizerunkowe.

FILIP RUDNIK

W TRZECIM TYGODNIU WOJNY, NAZWANEJ OPERACJĄ „Epicka Furia", wciąż mnożą się pytania, na które nie sposób poznać odpowiedzi.

Kwestię sporną stanowi sam cel amerykańskich nalotów na Iran. W jego sformułowaniu nie pomaga chaotyczna, niekiedy sprzeczna ze sobą komunikacja ze strony Waszyngtonu. Narracja płynnie przechodzi od obietnic całkowitego zniszczenia irańskiego potencjału ofensywnego poprzez konieczność

eprasa.pl f1a314a829



Kijów traci, Kreml zyskuje

WOJNA NA UKRAINIE ▪ **Skutki ataku USA i Izraela na Iran sprawiają, że rykoszetem obrywa Ukraina i jej zdolności do dalszej obrony. Nie dość, że uwaga świata jest skupiona na Bliskim Wschodzie, to pod znakiem zapytania stoją dalsze dostawy amerykańskich pocisków przeciwlotniczych dla Ukrainy (od stycznia 2025 r. Stany sprzedają je, a nie oddają za darmo). Ich zapasy Amerykanie wyczerpują w szybkim tempie na Bliskim Wschodzie.**

No i wreszcie: wysokie ceny ropy przynoszą Putinowi finansowy oddech. Niewykluczone, że Trump, kuszony przez kremlowskich wysłanników, w końcu pęknie i złagodzi sankcje na Rosję nie tylko tymczasowo, ale długoterminowo. Wysokie ceny ropy posłużą mu tutaj za wygodną wymówkę.

Winston Churchill zauważył ongiś, że wywołując wojnę, polityk nie jest już panem swoich działań, ale „niewolnikiem nieprzewidywalnych i niekontrolowalnych wydarzeń". O prawdziwości tego spostrzeżenia prezydent USA przekonuje się właśnie teraz.

wyprowadzenia uderzenia prewencyjnego aż do zamiaru obalenia reżimu w Teheranie.

Intencje wypadałoby zdefiniować – chociażby po to, aby uzasadnić śmierć co najmniej trzynastu amerykańskich żołnierzy, którzy zginęli w wyniku operacji. Przekaz Waszyngtonu jest jednak wykuwany na poczekaniu. Tak jakby Donald Trump oczekiwał, że bombardowanie w końcu doprowadzi do bliżej niezidentyfikowanego przełomu – czy to w postaci wywieszenia przez Iran białej flagi, czy przez upadek państwa ajatollahów.

REAKCJA | Przełom owszem, nastąpił, ale nie tam, gdzie USA i Izrael się spodziewały: na światowych giełdach i przy dystrybutorach z paliwem. W połowie marca cena ropy osiągnęła poziom 100 dolarów za baryłkę, choć jeszcze pod koniec lutego oscylowała wokół wartości 70 dolarów. Jest to poziom, który – jeśli będzie utrzymany wystarczająco długo – zwiastuje poważne problemy gospodarcze całego świata.

Amerykańscy decydenci przekonują, że nie jest tak źle – że ceny paliwa za prezydentury Bidena były przecież jeszcze wyższe. Faktycznie, wówczas za węglowodory i za produkty ropopochodne płacono znacznie więcej, co stanowiło efekt ataku Rosjan na Ukrainę w 2022 r. Tyle tylko, że to marna pociecha. Konsekwencje dzisiejszego starcia – nazywanego już trzecią wojną w Zatoce – mogą być o wiele poważniejsze niż wtedy.

PROBLEM | Zatoka Perska odpowiada za około jedną piątą światowego handlu ropą i gazem skroplonym. Ogłoszona przez Teheran blokada cieśniny Ormuz oznacza, że te gigantyczne wolumeny są tam uwięzione. W odróżnieniu od kryzysu sprzed czterech lat, jest to tożsame z fizycznym ograniczeniem podaży.

Niemożność wywozu surowców i paliw prowadzi do puchnięcia zdolności magazynowych, co zmusza do wyhamowania produkcji. Ograniczenia wydobycia ropy wśród krajów Zatoki mają już sięgać nawet 10 mln baryłek dziennie – blisko 10 proc. globalnej produkcji.

Każdy kolejny dzień blokady to stracone pieniądze, ale także zwiększone ryzyko wystąpienia fizycznych uszkodzeń instalacji, a więc dłuższy czas przestoju oraz, co za tym idzie, większe ryzyko światowej recesji.

W wypadku wstrzymania działań wojennych choćby nazajutrz, przywrócenie operacyjności tego kluczowego węzła nie nastąpi w mgnieniu oka. Konieczne będzie nie tylko wznowienie pracy rafinerii i platform wiertniczych, ale także rozładowanie zastojów logistycznych sformowanych przez grupy tankowców zacumowanych po obu stronach cieśniny.

„REMEDIUM" | Trump ma ograniczony wpływ na udrożnienie cieśniny Ormuz. Bezpieczeństwo żeglugi oceniają rynkowi gracze – chociażby przez nieudzielanie polis ubezpieczeniowych dla tankowców podejmujących się kursów na niebezpiecznych wodach. Realne ryzyko ataków na statki sprawia, że regularna żegluga nie zostaje wznowiona. Relatywnie małym kosztem Irańczycy paraliżują więc cały świat – wystarczy bowiem wystrzelić drona, który raz na jakiś czas trafi w tankowiec.

Rynek pozostaje niewzruszony wobec doraźnych prób podreperowania go przez Waszyngton. Uwolnienie rezerw ropy ze strategicznych zapasów – rekordowe w swojej wielkości – nie doprowadziło do spadku cen. Spodziewane złagodzenie zostało „wymazane" przez obrazy płonących w Zatoce tankowców.

Amerykanie zdecydowali się także na złagodzenie sankcji na rosyjską ropę. Jednak ruchy w tym kierunku także nie wpłyną na globalne ceny. Waszyngton nie zwiększa w ten sposób podaży (surowiec z Rosji jest już na rynku), a jedynie ułatwia Rosjanom handel, co przekłada się pozytywnie na dochody Kremla.

BEZ DOBREGO WYJŚCIA | Jednostronne wycofanie się z tej wojny przez Amerykanów – nawet przy odtrąbieniu propagandowego zwycięstwa – byłoby przyznaniem Teheranowi słuszności, jeśli chodzi o jego strategię oporu. Logistyczny szantaż w postaci blokady cieśniny Ormuz okazał się skuteczny, więc z pewnością mógłby zostać wykorzystany w przyszłości.

Zeszłotygodniowy ostrzał wyspy Chark – najistotniejszego węzła eksportu irańskiej ropy, którego funkcjonowanie jest w zasadzie „być albo nie być" dla reżimu – to sposób Trumpa na zasygnalizowanie gotowości do eskalacji. Dalsza wymiana ciosów skazuje obie strony na zaostrzającą się trajektorię konfliktu aż do momentu, w którym ktoś powie „pas".

Tymczasem im wojna będzie dłużej trwać, tym większe koszty będzie musiała ponieść administracja Donalda Trumpa. Również te wizerunkowe, bo gołym okiem widać, że Amerykanie poszli na tę wojnę, nie będąc przygotowani na długotrwały konflikt i rosnące ceny surowców. ©

eprasa.pl f1a314a829



Biskupi zepsuli komisję

ARTUR SPORNIAK

Episkopat zdecydował się powołać komisję niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystania seksualnego osób małoletnich w Kościele katolickim w Polsce od 1945 r. Biskupi przegłosowali dokument określający zasady działania komisji. Niestety jego treść wskazuje, że to gremium będzie mieć poważne kłopoty z niezależnością i dotarciem do wrażliwych materiałów.

Zaskakujące jest, że komisja dopiero po swoim powstaniu ma negocjować z episkopatem oraz z konferencjami wyższych przełożonych zakonów męskich i żeńskich zasady udostępniania historycznych i bieżących archiwaliów kościelnych oraz zasady kontaktu z diecezjami i zakonami. Kwerendę w archiwach kościelnych będą dokonywać archiwiści diecezjalni i zakonni. Trudno wyobrazić sobie, by o odnalezionych wrażliwych dokumentach nie informowali oni najpierw swoich biskupów. Zasady działania komisji wprost zresztą określają, że na badanie bieżących archiwaliów zgodę musi wydać właściwy biskup ordynariusz albo prowincjał zakonny. Naiwnością byłoby przypuszczać, że zgodzi się on ujawniać materiały np. obciążające jego osobę. Czy nie o takie właśnie zabezpieczenie głosującym biskupom chodziło?

I wreszcie – zanim raport ujrzy światło dzienne, komisja ma obowiązek przedstawienia go episkopatowi i konferencjom wyższych przełożonych zakonnych „w celu umożliwienia odniesienia się w terminie 3 miesięcy do zawartych w nim treści". Czy to oznacza, że owe „odniesienie" będzie jedynie odnotowane, czy może ingerencja biskupów w treść raportu będzie większa?

Jednocześnie komisji postawiono ambitne cele: ma ona w ciągu trzech lat opublikować raport, który przedstawi „wszechstronną, wieloaspektową diagnozę i analizę zjawiska wykorzystywania seksualnego małoletnich w Kościele w Polsce, powtarzalnych wzorców jej występowania, układów instytucjonalnych i sposobów reagowania wspólnot i instytucji Kościoła katolickiego na informacje dotyczące tych przestępstw" oraz zaproponuje odpowiednie rekomendacje.

Te wszystkie ograniczenia i zastrzeżenia, które dają biskupom wpływ na pracę komisji, zostały wprowadzone przez zespół bp. Sławomira Odera. Na życzenie większości biskupów przejął on na czerwcowym zebraniu plenarnym episkopatu gotowe już dokumenty przygotowane wcześniej przez zespół abp. Wojciecha Polaka, cieszącego się zaufaniem m.in. osób skrzywdzonych.

Podejrzewam, że nieprędko teraz episkopat znajdzie osobę o autorytecie społecznym, która zgodzi się poprowadzić tak kadłubową instytucję. ©℗



BP KEP

Konferencja prasowa podsumowująca 404. Zebranie Plenarne KEP. Na zdjęciu: arcybiskup Wojciech Polak oraz biskup Sławomir Oder. Warszawa, 12 marca 2026 r.



„Der SAFE"

WOJCIECH PIĘCIAK

Zdarzają się nie tylko na wojnie: straty uboczne. Zniszczenia teoretycznie niezamierzone, cóż z tego, skoro zwykle równie, a często bardziej dotkliwe.

Kierunek wyznaczył Jarosław Kaczyński, gdy stwierdził, że unijne tanie kredyty na zbrojenie Europy to „niemiecki but". Przekaz podchwycono. Gdyby Niemcy płaciły reparacje, to „może nie musielibyśmy dzisiaj rozmawiać o programie SAFE" (to Karol Nawrocki). „Stop SAFE, stop niemieckiej dominacji". „Szajka zdrajców i volksdeutschów próbuje zadłużyć Polaków u Niemców" (to paski w telewizji popierającej PiS). Na koniec: „Der SAFE".

Dla tych, którzy nie znają niemieckiego: w języku tym rzeczownikom towarzyszą rodzajniki wskazujące na rodzaj męski, żeński lub nijaki. Słowo „program" to rodzaj nijaki, powinno być więc: „Das SAFE". Rodzajnik „der", z drgającym „r", brzmi jednak mroczniej.

Ale żarty na bok. Fakt, że Kaczyński, Nawrocki, inni politycy PiS i ich medialna otulina „zniemczyli" SAFE, by mieć argument za jego odrzuceniem i obrzydzić go Polakom, można by kontrować merytorycznie: że SAFE trudno nazwać niemieckim, skoro Niemcy ponoszą odpowiedzialność za jedną czwartą tego kredytu, wynoszącego 150 mld euro (ktoś musi ją ponosić).

Nie o to jednak tu chodzi. Idzie o straty uboczne. Instrumentalizując relacje z Niemcami także w sferze obronności, Kaczyński i Nawrocki postępują tak, jakby Niemcy były nam wrogiem; kwestionują sojusz Polski i Niemiec, ten w ramach NATO. Podważają go politycznie i psychologicznie (w dwojakim wymiarze: ich przekaz słyszą też Niemcy).

Z praktycznego punktu widzenia – czytaj: z punktu widzenia polskich sztabowców, planujących przyszłą wojnę obronną (zaniechaniem byłoby jej nie planować) – to działanie samobójcze. Wyobraźmy sobie, że za miesiąc Kreml postanawia „przetestować" NATO. Wojna z Iranem trwa, Trump rzucił już wszystkie amerykańskie Patrioty z Europy na Bliski Wschód (na razie zabiera je z Seulu) i Putin nas próbuje. Punktowo: na Narwę, Suwałki lub fińską wieś za kręgiem polarnym.

Kto z sojuszników będzie w stanie pomóc? Czy Amerykanie, czy jednak ci straszni Niemcy, a także inni Europejczycy. Bo pomoc byłaby potrzebna nie za kilka miesięcy – tyle trzeba, by przerzucić z USA do Europy duże siły lądowe w warunkach pokoju (patrz „Pustynna Tarcza", 1990 r.), ale teraz, zaraz. Niech każdy odpowie tu dla siebie.

Na marginesie: Bundeswehra ma rodzajnik „die", żeński. ©℗

eprasa.pl f1a314a829



DANA PLEASANT / GROSBY GROUP / EAST NEWS

Teyana Taylor, Paul Thomas Anderson i Chase Infiniti z Oscarem za najlepszy film „Jedna bitwa po drugiej". Los Angeles, 15 marca 2026 r.

Oscary próbują ratować wizerunek USA

KULTURA ■ Zgodnie z przepowiedniami „Jedna bitwa po drugiej" Paula Thomasa Andersona rozbiła bank na tegorocznych Oscarach. Sześć statuetek, w tym dla najlepszego filmu roku, to triumf kina, które wyraża niezgodę na ten świat, ale robi to w sowizdrzalskim tonie.

Absurdalna z ducha historia – o współczesnej rewolucji i kontrrewolucji, o imigracji i autorytaryzmie, o zdemoralizowanych politykach i zdesperowanych ojcach – wyrosła z atmosfery swego czasu i najwyraźniej trafiła w panujące dziś nastroje.

Rzadko kiedy zwycięski film oscarowy jest tak bardzo „o nas", zagubionych w narastającej nieprzewidywalności i chaosie. Anderson, luźno posiłkując się Thomasem Pynchonem, stworzył na ten temat filmową petardę i zarazem dał wyraz odpowiedzialności filmowca za swój przekaz. O tej odpowiedzialności mówił w niedzielę ze sceny kalifornijskiego Dolby Theatre, również w kontekście rodzicielskim i pokoleniowym.

Wtórował mu Joachim Trier, nagrodzony – też bez niespodzianek – za „Wartość sentymentalną" w kategorii filmu międzynarodowego. Takich momentów, kiedy próbowano udowodnić, że w kinie chodzi o coś więcej niż tylko o kino, było na gali całkiem sporo i miały na pewno większą wagę niż śmieszkowanie z urzędującego prezydenta.

W czasach, kiedy wizerunek USA przeżywa poważny „kryzys piękności", kiedy amerykańska hegemonia kulturowa nabiera nowych kształtów i rozmiarów (pod wpływem ekspansji nowych technologii czy konsolidacji rynku rozrywkowo-medialnego), a wielkie skandale obyczajowe stają się przykrywką dla rzeczywistych problemów, Oscary próbują jakoś zamanifestować swoje zaangażowanie w „sprawy".

Dlatego szczególnie cieszy nagroda dla czesko-duńskiego dokumentu „Pan Nikt kontra Putin" Davida Borensteina i Pawła Tałankina, bo świadczy o tym, że Ameryka jeszcze nie całkiem zapomniała o Ukrainie.

Ktoś powie, że to tylko show, a mówiąc po naszemu – pokazówka. W końcu oscarowa gala, jak już prawie wszystko na tym świecie, musi się po prostu dobrze sprzedać. Ale i musi mieć tak zwaną dobrą prasę, czyli wykazać się – choćby dla poprawy samopoczucia – troską o świat.

Niezależnie, ile w tym kalkulacji, występujący na scenie ludzie kina, włącznie z gospodarzem wieczoru Conanem O'Brienem, stanęli na wysokości zadania. I nie zmarnowali szansy, żeby nie siedzieć cicho, kiedy oglądają ich miliony, a gdzieś daleko odbywa się jeszcze „jedna bitwa po drugiej", w której indywidualne czy globalne interesy ważą więcej niż czyjeś życie.

Dlatego największym przegranym okazał się brazylijski „Tajny agent" Klebera Mendonçy Filho, jak najbardziej polityczny i w najbardziej spektakularny sposób przełamujący euroatlantycką hegemonię w nominacjach oscarowych. Więcej o tym świetnym filmie w następnym numerze. © ANITA PIOTROWSKA

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl f1a314a829

TEMAT TYGODNIKA

PILNA POTRZEBA I POLSKI WSTYD

Co trzeciego dorosłego Polaka powstrzymuje przed wyjściem z domu brak dostatecznej liczby publicznych toalet. Dalsze ukrywanie problemu za zasłoną zakłopotania i niesmacznych żartów jest skandalem.

MAREK RABIJ

Co czuje krzepki czterdziestolatek krążący po ulicach w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby dyskretnie zmienić sobie pieluchę? Kobieta w ciąży, planująca spacer wzdłuż linii metra po tonącym w spalinach śródmieściu stolicy, byle tylko nie oddalać się od toalety? Młoda matka, postawiona w parku przed wyborem: skorzystać z toi-toia i zostawić przed nim wózek z dzieckiem bez opieki, czy zacisnąć mięśnie i próbować wytrzymać? Opiekun osoby niesamodzielnej, którą na przystanku pokonał czas oczekiwania na autobus i pilnie potrzebuje zabiegu higienicznego? 83-letnia samotna emerytka, która na dzień przed planowaną wizytą u lekarza przestaje pić, bo wie, że nie zdoła inaczej dotrzeć sucha do domu?

Wstyd. Właśnie to uczucie niemal każdego dnia towarzyszy milionom Polaków, którzy przed każdym wyjściem z domu muszą zadać sobie proste pytanie: czy zdążę wrócić, nim wezwie natura?

Jak szacowała dwa lata temu fundacja „Na miejscu", liczba dorosłych mieszkańców kraju (w wieku od 18. do 65. r.ż.) regularnie odczuwających dolegliwości związane z potrzebą częstszego odwiedzania WC, sięga obecnie 10 mln osób. W tej grupie aż 27 proc. przyznaje, że regularnie zdarza im się załatwiać potrzeby fizjolo-



NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

eprasa.pl f1a314a829

giczne pokątnie w parku, na klatce schodowej lub w piwnicy.

Polska Anno Domini 2026, pukająca do grona dwudziestu najbogatszych gospodarek globu, jest zarazem domem przeszło 5,5 mln osób, które – jak wynika ze wspomnianego raportu – nie mają w okolicy ani jednej toalety publicznej.

Dokąd władza chodzi piechotą

Jeżeli coś w tej sprawie może jeszcze zaskakiwać, to raczej powszechna świadomość istnienia problemu połączona z jego równie powszechnym bagatelizowaniem. Łukasz Salwarowski, prezes Stowarzyszenia „Manko", które przyznaje certyfikaty gminy przyjaznej seniorom, od lat zachęca samorządowców do podjęcia sanitarnego wyzwania, tłumacząc, że bez dostatecznej liczby WC aktywizacja starszego pokolenia pozostanie pustym hasłem.

Odpowiedzi zwykle są takie same. Miasto zdaje sobie sprawę z rangi problemu, ale niestety ma pilniejsze potrzeby. Albo – jak ironizuje Salwarowski – burmistrzów i wójtów odrzuca wizja przecinania wstęgi w nowo oddanej lub wyremontowanej toalecie.

Na szczeblu centralnym władza również nie może udawać nieświadomej, bo i ją natura wzywa czasem w niesprzyjających okolicznościach. Robert Winnicki z Konfederacji relacjonował niedawno w sieci nierówny bój z nieczynną toaletą dworcową w Koszalinie. Jarosław Kaczyński dał się nieostrożnie sfilmować, jak gdzieś przy drodze, w asyście oficerów SOP, śpieszy tam, dokąd król zwykł chodzić piechotą. Gdyby zaś politykom nie starczały w tej sprawie dowody anegdotyczne, do dyspozycji mają też dane Głównego Inspektoratu Sanitarnego za rok 2019, z których wynika, że w Polsce czekało wówczas na przechodniów 2720 całorocznych toalet publicznych – czyli średnio jedna na blisko 14 tys. osób.

Jedna toaleta na 29 tys. osób

Ile publicznych toalet mamy dziś? Nie wiadomo. Jak tłumaczy rzecznik GIS Marek Waszczewski, po pandemii w kolejnych edycjach raportu o stanie sanitarnym kraju postanowiono nie wracać do tematu. W redakcji „Tygodnika" postanowiliśmy jednak odnaleźć termometr, który próbowano stłuc, i do 30 największych polskich miast, w których mieszka łącznie blisko 10 mln osób, wysłaliśmy pytanie o liczbę sanitariatów zapewnianych przez samorząd. Przez blisko miesiąc doczekaliśmy się 18 odpowiedzi.

Gdyby średnią z zebranych danych uznać za miarodajną dla całego kraju (w miastach, które nie zlekceważyły naszego pytania, mieszka łącznie blisko 4,7 mln osób), oznaczałoby to, że czynna cały rok toaleta przypada przeciętnie na 29,4 tys. osób. A to by oznaczało, że na przestrzeni zaledwie siedmiu lat od raportu GIS z 2019 r. dostępność toalet publicznych zmniejszyła się przeszło dwukrotnie!

Skala może być mniejsza, ale sam trend wydaje się prawdopodobny. Samorządy mają coraz większe problemy budżetowe, bo władza centralna w ostatnich latach zwalała im na głowy kolejne zadania bez zapewnienia odpowiedniego finansowania. Pokusa zamknięcia lub ograniczenia dostępu do „nierentownych" toalet mogła być tym silniejsza, że w międzyczasie przyszła pandemia i lockdown zepchnął mieszkańców miast do domów.

Życie do dzisiaj nie wskoczyło w stare koryta. Część firm nadal praktykuje pracę w modelu hybrydowym. Wiele spraw urzędowych, wcześniej wymagających osobistego stawiennictwa, da się załatwić bez wychodzenia z domu. Lekarze pogodzili się z instytucją teleporady. W takim świecie łatwo znaleźć argumenty za likwidacją darmowego sanitariatu.

Którędy do WC?

Rzecz jasna, w wielu miejscach stan faktyczny jest lepszy od obrazu statystycznego. Miasta często wspomagają się umowami z lokalami gastronomicznymi i punktami usługowymi, które w zamian za ulgi w czynszu muszą oferować bezpłatny dostęp do własnej bazy sanitarnej. Inna sprawa, że w wielu przypadkach kończy się na zapisie, bo właściciel lokalu nie wywiesza stosownej informacji.

Sama liczba toalet w przeliczeniu na mieszkańców również nie mówi wszystkiego o realnym zapotrzebowaniu. Tam, gdzie ludzi jest najwięcej, musi być też więcej sanitariatów. Przykładowo Zielona Góra, która całorocznie zapewnia mieszkańcom tylko jedną toaletę, ma w zapasie ↦

eprasa.pl f1a314a829

↦ trzy kolejne, czynne od wiosny do jesieni w miejscach, w których gromadzi się najwięcej przechodniów. Jeszcze jedną, przy Placu Teatralnym, miasto otwiera z okazji organizowanych tam imprez masowych.

Często jednak mieszkańcy nie zdają sobie sprawy, że w okolicy pojawił się taki przybytek. Z danych NIK wynika, że trzy z czterech toalet publicznych w Polsce nie ma oznakowania umożliwiającego łatwe namierzenie.

Agnieszka Spycha z fundacji Integracja, która walczy w Polsce z wykluczeniem sanitarnym osób z niepełnosprawnościami, mówi tak: – Niektóre samorządy prowadzą sensowną politykę w tym zakresie. Lublin uruchomił np. świetnie wyposażoną toaletę, do której można zjechać windą. Samorządowcy często wolą się jednak nie obnosić z takimi inicjatywami, jakby obawiali się, że zostaną wyśmiani. W Pałacu Prezydenckim za drugiej kadencji Andrzeja Dudy powstała tzw. komfortka, pomieszczenie przystosowane do potrzeb osób z niepełnosprawnościami, które nie mogą korzystać ze zwykłych toalet. Inicjatywie patronowała Agata Kornhauser-Duda, ale inne urzędy jej nie podchwyciły.

W całym kraju – jak szacuje koalicja Przewijamy Polskę, która rozpoczęła kampanię na rzecz tworzenia miejsc, w których opiekunowie osób sanitarnie niesamodzielnych mogliby pomóc swoim podopiecznym w komfortowy sposób – działa obecnie blisko 80 komfortek.

– To obiekty, które nasze stowarzyszenie skontrolowało na zaproszenie podmiotów, które je stworzyły – mówi Agnieszka Spycha. – Ale wiemy, że może nawet drugie tyle powstało bez rozgłosu w hotelach, ośrodkach gastronomicznych i innych punktach usługowych. Ich właściciele popierają idee, ale z sobie tylko znanych powodów nie chcą o tym mówić.

Kobiety do pisuarów

Polsce przydałaby się Geerte Piening, czyli ktoś, kto wprowadzi temat do głównego nurtu debaty publicznej, przy okazji uświadamiając decydentom, że nie każdy wyborca jest mężczyzną. Jesienią 2015 r. 23-letnia wówczas mieszkanka Amsterdamu wracała późnym wieczorem z klubu. Natura wezwała ją, gdy miała przeszło dwa kilometry do domu. „Wszystko dokoła było już zamknięte. Nie miałam wyboru" – relacjonowała w ub. roku w podkaście „As It Happens".

Przyłapana na gorącym uczynku Geerte odmówiła przyjęcia mandatu za sikanie w miejscu publicznym. Sprawa trafiła do sądu, który jedynie zmniejszył jej karę ze 140 do 90 euro. Zdaniem przewodniczącego składu kobieta powinna była skorzystać z któregoś z *pee curls* – jak zwykło nazywać się w Holandii stawiane tam od 1870 r. żeliwne budki w kształcie beczki z pisuarem w środku. „To może mało przyjemne, ale tak się powinno robić" – orzekł sędzia. Nie pomogły tłumaczenia, że w całym Amsterdamie na 35 takich przybytków w momencie zdarzenia przypadały jedynie trzy publiczne toalety stworzone z myślą o paniach.

Sprawa Geerte Piening wzburzyła wiele środowisk, nie tylko feministycznych. W pięciu miastach Holandii odbyły się marsze i manifestacje poparcia. W sieci wzywano do oddawania moczu w przypadkowych miejscach w akcie obywatelskiego nieposłuszeństwa. Problem najpierw dostrzegły władze dzielnicowe i dzięki temu w 2020 r. milionowy Amsterdam miał już 112 publicznych toalet, z których połowa umożliwiała komfortową ulgę w pozycji siedzącej. W końcu głos zabrali politycy. W 2024 r. rząd zobowiązał się doinwestować samorząd stolicy kwotą 4 mln euro na budowę nowych toalet publicznych.

Analiza przypadku, zamówiona po wszystkim przez radę miasta, może stanowić inspirację i ostrzeżenie dla polskich samorządów. Amsterdam miał przepisy, które nakazywały lokowanie sanitariatów co 500 metrów. Wyzwaniem nie było nawet finansowanie, bo utrzymanie toalet pochłaniało ok. 300 tys. euro rocznie. W pewnym momencie ich sieć przestała po prostu nadążać za rozbudowującym się miastem.

Do czasu Piening nie budziło to większych protestów. Potrzeby mieszkańców, którym toalety pozwoliłby normalnie funkcjonować w miejskiej przestrzeni, były dla urzędników niewidoczne, bo tacy obywatele dla własnego komfortu woleli nie oddalać się od domu.

Matka Polka sika w krzakach

Monika Pastuszko, antropolożka: – Gdy po raz pierwszy zaszłam w ciążę, szybko zrozumiałam, że przestrzenią, w której będę odtąd funkcjonować, nie jest już całe miasto, lecz najbliższa okolica. Nie wsiądę do autobusu i po prostu nie pojadę, dokąd chcę. Przy planowaniu trasy muszę uwzględnić, czy znajdę tam nadającą się do użytku toaletę.

Sumę doświadczeń ze specyficznej gry ulicznej, którą ciąża i wczesne macierzyństwo staje się w mieście wysokich krawężników, chodników zastawionych przez auta i nieczynnych WC, Pastuszko zebrała w książce „Matka Polka sika w krzakach".

– W ciąży powinno się dużo pić i dużo spacerować. Ale gdy w głowie odtworzysz sobie mapę dostępnych toalet w okolicy, dochodzisz do wniosku, że najbezpieczniej będzie spacerować po swoim osiedlu, żeby na siku zdążyć do domu. Gdy już urodzisz, wcale nie jest łatwiej. Pediatrzy sugerują, by dużo czasu spędzać z dzieckiem na świeżym powietrzu. Trzeba je gdzieś przewinąć, latem można na ławce w parku, ale zimą odpada. Matce w czasie spaceru też może się zachcieć, zwłaszcza gdy karmi piersią, bo wtedy też trzeba dużo pić. Po porodzie wiele kobiet cierpi na nietrzymanie moczu. W wielu par-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Izba Wydawców Prasy w sprawie tzw. czystych nośników

Apelujemy o sprawczość, by hasło: „robimy, nie gadamy" nie pozostało pustym frazesem i aby tysiące polskich twórców, w tym muzycy, filmowcy, aktorzy, twórcy fotografii, grafik i rysunków, pisarze, naukowcy, wydawcy prasy czy dziennikarze – wzorem swoich europejskich koleżanek i kolegów – miały szansę na przetrwanie i rozwój.

Pełna treść apelu Izby Wydawców Prasy ws. czystych nośników dostępna na www.tyg-pow.pl/apel-izby

eprasa.pl f1a314a829

kach i na placach zabaw nie ma tymczasem nawet toi-toia – wylicza Pastuszko.

Urinary leash, czyli „moczowa smycz" – nawet jeśli popularnego w anglosaskich naukach społecznych terminu nie traktować tak radykalnie jak badaczki, które widzą w nim stworzone z premedytacją narzędzie kontroli nad kobietami, nie sposób odmówić mu trafności opisu rozbieżności w dostępie do infrastruktury sanitarnej między płciami.

W tzw. tradycyjnym modelu rodziny, który przez stulecia dominował w kulturze europejskiej, miejsce matki było przy dzieciach. To dom, nie miasto, był też sceną dla aktu macierzyństwa. Młoda matka nie pracuje, praktycznie nie ma też czasu dla siebie, wystarczy jej więc domowa toaleta. Mężczyźni zaś poradzą sobie jakoś w mieście i bez WC.

Mniej więcej do 60. roku życia.

Toi-toi dobry na wszystko

Rafał nie poda swojego nazwiska. Tak, zdaje sobie sprawę, że przypadłość, na którą cierpi, w jego grupie wiekowej, czyli wśród facetów dobiegających pięćdziesiątki, nie jest rzadkością. Ale wstydzi się i tak. – Nawet dorobiłem się przez to głupiego nawyku, bo nieświadomie dotykam się w kroczu, żeby sprawdzić, czy wszystko gra. Żona próbuje obrócić problem w żart i nazywa to „kroplą z morza potrzeb", ale mnie to nie bawi – zaznacza.

Cztery lata temu covid zaostrzył mu objawy cukrzycy, która z kolei doprowadziła do poliurii, czyli zwiększonego pragnienia połączonego z koniecznością bardzo częstego sikania. – Bywają dni, kiedy do toalety muszę w zasadzie co kwadrans, ale zwykle goni mnie z częstotliwością mniej więcej raz na godzinę-półtorej. Najgorsze, że silne parcie pojawia się nagle. Raz na stacji benzynowej prawie wypchnąłem chłopa z kabiny. Zdarza mi się nie donieść. Dlatego z domu nie wychodzę już bez pieluchomajtek.

Rafała najbardziej wkurzają toi-toie, czyli – jak mówi dosadnie – toaleta na odp*rdol, żeby tylko odnotować w statystykach, że jest się gdzie załatwić.

– Spróbuj się w tym przebrać, zmienić pieluchę czy umyć po większej awarii – wylicza. – Kiedyś musiałem pojechać do starostwa powiatowego. Dzwonię wcześniej, jak zwykle, żeby się upewnić, czy mają sprawne WC. Pani na centrali mówi, że tak. Zajeżdżam i już na



NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

Mieszkańcy, którym toalety pozwoliłyby normalnie funkcjonować w miejskiej przestrzeni, są dla urzędników niewidoczni, bo dla własnego komfortu wolą nie oddalać się od domu.

parkingu widzę rząd plastikowych budek. Łazienki dla petentów w remoncie, a do tej dla personelu nie wpuszczają. Do domu wróciłem z mokrym tyłkiem.

W odpowiedziach, które otrzymaliśmy z 18 miast, przenośne toalety były wymieniane często jako pełnoprawna alternatywa dla obiektów stacjonarnych. W niektórych ośrodkach, zwłaszcza turystycznych, przeszło połowę bazy sanitarnej stanowiły właśnie przenośne WC. Tymczasem dla ok. 5 mln Polaków, którzy – jak Rafał – cierpią na choroby związane z zaburzeniami oddawania moczu, i dla blisko 3,5 mln kolejnych, którzy zmagają się z zespołem jelita drażliwego, toi-toi to żadna alternatywa: nie pozwala na nic poza zrealizowaniem potrzeb fizjologicznych.

Na niewiele zda się także ponad 200 tys. kobiet, które co roku zachodzą w Polsce w ciążę i prędzej zrezygnują z wyjścia z domu, niż skorzystają z tak niehigienicznego miejsca. Dodajmy jeszcze ok. 4 mln seniorów po 75. roku życia, którym w plastikowym kontenerze może być trudno się rozebrać. I wreszcie – jakieś 150 tys. osób wymagających asystencji przy czynnościach fizjologicznych.

Rzecz jasna każda z tych grup może mieć wspólny podzbiór z innymi, ale i tak mówimy o milionach mieszkańców Polski, którzy do godnego życia potrzebują łatwego dostępu do wygodnej i czystej toalety.

A przede wszystkim – otwartej.

„W trosce o należyty standard"

Kraków. Przychodnia z kontraktem NFZ nieopodal Wawelu. Godziny wczesnowieczorne, placówka działa już w trybie pomocy nocnej i świątecznej. Na drzwiach toalety z dala widać kartkę z lakoniczną informacją, że „klucz w rejestracji". Pielęgniarka podaje go bez słowa.

– Tylko potem od razu zamknąć i odnieść z powrotem – odzywa się w końcu tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Właściwie dlaczego w publicznej przychodni toaleta jest zamknięta na klucz?

– Bo żule wchodzą z ulicy – wyjaśnia.

Zawsze jest jakieś „bo". Osoby w kryzysie bezdomności – jakby wraz z dachem nad głową traciły też prawo do resztek intymności i były odtąd skazane na załatwianie się pod krzakiem. Przepisy – bo w zakładzie pracy trzeba np. wygospodarować kącik socjalny, a do tego najlepiej nadaje się przecież publiczna toaleta, z którą tylko utrapienie i koszty. W raporcie „Załatw To Na Mieście" fundacji „Na miejscu", aż 46 proc. ankietowanych zadeklarowało, że odmówiono im dostępu do sanitariatu w lokalu gastronomicznym lub w urzędzie.

Wreszcie – bo trzeba dochować „należytych standardów". W trosce o takowe publiczna spółka PKP rozpisała przetargi na obsługę przydworcowych toalet, które dzięki temu będą świecić czystością. Rzecz jasna, nie za darmo. Średnia stawka za wizytę w dworcowym sanitariacie oscyluje obecnie w przedziale 4-5 zł. Na niektórych bezpłatny wstęp daje ważny bilet na pociąg, ale wszystko zależy od warunków kontraktu.

PKP – jak informuje rzecznik spółki – zastrzegło w przetargu maksymalną cenę za skorzystanie z dworcowego sanitariatu i zakreśliło warunki, które najemca musi zapewnić w zakresie czystości i bezpieczeństwa przybytku. Dokumentacja przetargowa najwyraźniej milczy jednak o konieczności zabezpieczenia wstępu osobom z niepełnosprawnościami, bo wejścia do niektórych dworcowych toalet strzegą automaty na bilon, zawieszone ↦

eprasa.pl f1a314a829

↦ na wysokości zaporowej dla kogoś, kto porusza się na wózku.

W 2024 r. fundacja Dobre Państwo skierowała do Sejmu petycję o otwarcie wszystkich dworcowych toalet w kraju. Autorzy pisali, że pobieranie opłat za wstęp jest żerowaniem na ludzkiej fizjologii, a związek między odpłatnością a czystością można włożyć między bajki. Jako przykład dla PKP wymieniono m.in. warszawskie metro, które na niemal każdej stacji zapewnia pasażerom darmowe i czyste sanitariaty.

Sejmowa komisja zleciła „analizy przedmiotowe w kontekście funkcjonowania infrastruktury dworcowej" i na tym się na razie skończyło. Państwo polskie – to nie ironia, lecz stwierdzenie – ma na głowie ważniejsze sprawy. Zaskoczeniem może być tylko to, że tak prozaicznego problemu nie da się rozwiązać na niższym szczeblu.

Rachunki przestrzenne

Nie da się wykluczyć, że będzie on tylko narastać. Myśleniem o przestrzeni publicznej w Polsce zbyt często rządzi bowiem prymitywny rachunek ekonomiczny. Cokolwiek w niej funkcjonuje, powinno w pierwszej kolejności „zarabiać na siebie". W ostateczności – wychodzić na zero. Szpitale zdążyły więc obrosnąć płatnymi parkingami za szlabanem. To samo dzieje się pod urzędami, zwłaszcza w miastach, gdzie znalezienie miejsca do zaparkowania graniczy z cudem, nawet jeśli w okolicy działa strefa płatnego postoju.

> Myśleniem o przestrzeni publicznej zbyt często rządzi prymitywny rachunek ekonomiczny. Cokolwiek w niej funkcjonuje, powinno w pierwszej kolejności „zarabiać na siebie".

Stąd już w zasadzie kroczek do pomysłu, ażeby wewnątrz budynku pobierać opłaty także za korzystanie z toalet. O tym, że to scenariusz bynajmniej nie teoretyczny, świadczy komunikat Rzecznika Praw Pacjenta, który w 2022 r. musiał przypomnieć kontraktorom NFZ, że nie wolno im nakładać na pacjentów dodatkowych opłat np. za zużytą energię elektryczną albo za dostęp do szpitalnej infrastruktury, takiej jak kąciki kuchenne i łazienki.

W rachunku ekonomicznym liczy się zysk. Dla państwa, które swoją politykę społeczną opiera na trzech filarach, czyli wspieraniu dzietności, usamodzielnianiu osób z niepełnosprawnościami i aktywizacji seniorów, utrzymywanie dostatecznie gęstej sieci publicznych toalet powinno być inwestycją, nie kosztem.

Prof. Paweł Kubicki, socjolog badający miejskie polityki społeczne, uważa, że najwięcej będzie tu zależeć od elastyczności i innowacyjności samorządów. Nie trzeba przecież budować nowych sanitariatów. Można lepiej pozarządzać tymi, które istnieją.

– Coraz mniej liczne roczniki dzieci w wieku szkolnym sprawiają, że w wielu podstawówkach już koło czternastej zamiera życie. Udostępnienie toalet w szkole osobom postronnym w godzinach lekcyjnych jest oczywiście niewykonalne, ale co stoi na przeszkodzie, żeby po południu, aż do godzin zamknięcia instytucji publicznych, służyły one nie tylko uczniom? To samo dotyczy miejskich bibliotek, świetlic środowiskowych, które często kończą pracę o 15. Dlaczego w muzeach i galeriach wstęp do toalet znajduje się zwykle w strefie dostępnej jedynie z biletami? – wylicza Kubicki.

Te ograniczenia można znieść prostymi decyzjami administracyjnymi. Trudniejsza będzie sama zmiana nastawienia do problemu, który wciąż zbyt często uchodzi za niszowy, wstydliwy bądź po prostu śmieszny – ale i to musi nastąpić. Oczekiwanie, że dwudziesta gospodarka świata zbuduje zaplecze sanitarne odpowiadające założeniom jej własnej polityki społecznej, nie jest chyba na wyrost.

©℗ MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. rozwoju: Michał Bagiński
Marketing i promocja: Sławomir Bieniek, Jacek Napora, Michał Sowiński, Jakub Starzyk
Sklep: Karolina Biały
Dyrektorka ds. reklamy: Justyna Hernas
Reklama i sprzedaż: Mateusz Gawron, Michalina Kościelny, Anna Pietrzykowska, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 502 499 878
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl f1a314a829

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”



fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem.
I o nią głównie staramy się dbać.
Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy za publikowane tu treści i nikt poza Wami, Czytelnikami, nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki

Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.
Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.



PREZENT:
Smaki. Notes kulinarny*
TYLKO do 24 marca!

OFERTA CENOWA:

InPost	Roczna	cena **686 zł**
	Półroczna	cena **366 zł**

Zamówienia prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	cena **687 zł**
	Półroczna	cena **367 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”,
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00),
adres e-mail w sprawie prenumeraty: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

** Notes wyślemy do połowy kwietnia.*

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

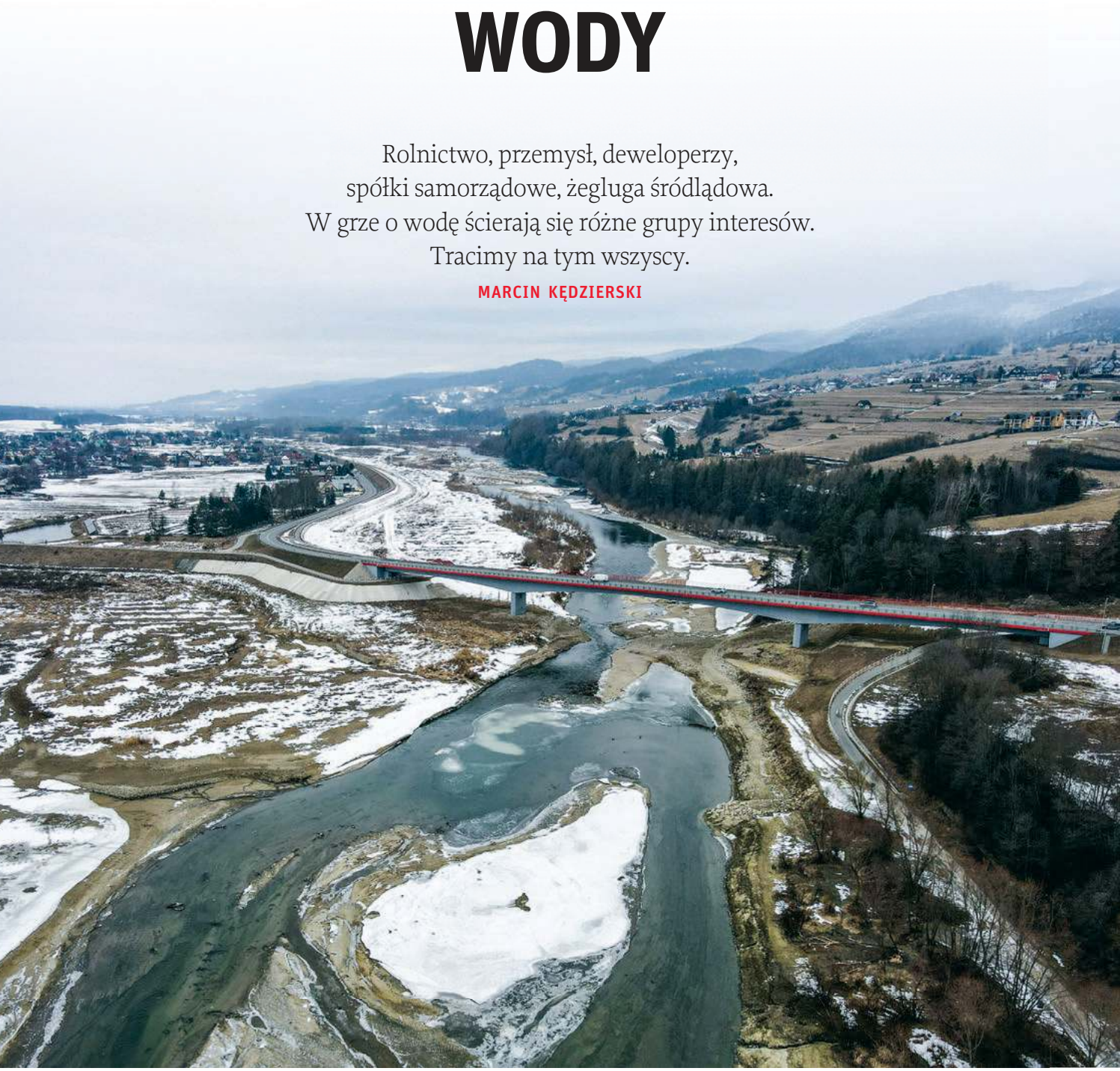
eprasa.pl f1a314a829

KRAJ

PRZEKLEŃSTWO WODY

Rolnictwo, przemysł, deweloperzy, spółki samorządowe, żegluga śródlądowa. W grze o wodę ścierają się różne grupy interesów. Tracimy na tym wszyscy.

MARCIN KĘDZIERSKI



eprasa.pl f1a314a829

Przeszliśmy przez zimę w przekonaniu, że spadło zaskakująco dużo śniegu, tymczasem były to kolejne miesiące z ekstremalnie niskim poziomem opadów. W grudniu 2025 r. ilość deszczu na południu nie przekroczyła 25 proc. średniej z lat 1990-2020, a w innych częściach Polski nawet się do niej nie zbliżyła. Styczeń (za wyjątkiem Pomorza) wyglądał niemal identycznie, podobnie luty i początek marca.

Nawet biorąc pod uwagę mokry listopad i dłuższe zaleganie pokrywy śnieżnej, wejdziemy w wiosnę w stanie suszy hydrologicznej. Kolejny rok z rzędu, bo ostatni raz nie zanotowano jej 5 lat temu. Jeszcze gorzej wygląda to pod powierzchnią. Według danych Państwowego Instytutu Geologicznego, na koniec lutego 48 proc. stacji pomiarowych pokazywało wysokie albo umiarkowane zagrożenie niżówką hydrogeologiczną.

Polska pustynnieje, nawet jeśli wielu z nas jeszcze tego nie zauważyło, a jednocześnie coraz częściej musimy mierzyć się z powodziami – zarówno wielkoskalowymi, jak i lokalnymi, błyskawicznymi. Co prawda nie grozi nam (bez)wodny kataklizm jak na Bliskim Wschodzie, ale nie ulega wątpliwości, że woda powoli staje się dobrem deficytowym, i coraz częściej będzie przedmiotem debaty publicznej.

W ostatnich latach słyszeliśmy o niej choćby przy okazji kataklizmu z września 2024 r. w Kotlinie Kłodzkiej, śnięcia ryb w Odrze latem 2022 r. czy powtarzających się zachęt do ograniczania zużycia wody w okresie wakacyjnym. Wiele znaków na niebie i ziemi wskazuje jednak, że za sprawą zmian klimatycznych tematyk będzie wracać jeszcze częściej.

Grupy interesów

Temat jest ogromny, obejmuje zarówno kwestie ilości wody, jak i jej jakości; sposobu jej zużycia, jak i odprowadzenia ścieków; retencji, jak też osuszania terenów czy przeciwdziałania powodziom i podtopieniom. Dodatkowo, wokół wody mamy do czynienia z różnymi grupami interesu – rolnictwem, przemysłem, deweloperami, samorządami (w tym różnymi spółkami komunalnymi), ekologami, wędkarzami czy wreszcie żeglugą śródlądową (ta ostatnia w latach 2015-2020 miała nawet swoje ministerstwo). Wszyscy grają w swoje gry, mając do ugrania różne cele. Dla jednych woda jest błogosławieństwem, dla innych przekleństwem.

Zarządzanie nią leży w kompetencjach wielu instytucji i jest przedmiotem rozlicznych regulacji. Kluczowym punktem odniesienia jest unijna ramowa dyrektywa wodna z 2000 r., która w Polsce została zaimplementowana na drodze ustawy „Prawo wodne" z lipca 2017 r. Wspominam o niej nieprzypadkowo, bo nadrzędnym celem dyrektywy jest osiągnięcie do 2027 r. co najmniej dobrego stanu wód powierzchniowych (rzek, jezior, wód przejściowych i przybrzeżnych) oraz podziemnych. Mowa tu o kwestiach ekologicznych, ilościowych oraz hydromorfologicznych. Został nam niecały rok, by zrealizować te zobowiązania.

Jakie są na to szanse? Na podstawie raportu NIK z lipca 2025 r., jak też opinii moich rozmówców siedzących na co dzień w „branży" wodnej, są one zerowe (choć gwoli sprawiedliwości należy dodać, że niemal żadne państwo członkowskie nie spełni w terminie wszystkich wymogów).

Autorzy raportu NIK wskazali, że do końca 2021 r. dobrego stanu wód nie osiągnięto dla 99,5 proc. wód powierzchniowych – niemal wszystkie są w złym stanie ekologicznym i chemicznym. Okazało się też, że przez ponad 20 lat organy Inspekcji Ochrony Środowiska nie wykonywały bezpośredniej kontroli pomiarowej jakości odprowadzanych ścieków z oczyszczalni do wód lub ziemi. Wadliwie działał również system monitoringu wód, co tylko w okresie 2019-2022 skutkowało niewykonaniem zaplanowanych badań w 1138 przypadkach dotyczących 768 rzek, jezior i wód przybrzeżnych.

Ponadto, w ramach drugiej aktualizacji planu gospodarowania wodami na lata 2022-2027 nie ustalono celów i mierników ich realizacji dla żadnego ze 171 zaplanowanych działań krajowych, ani nie zidentyfikowano potencjalnych zagrożeń realizacji planów – chodzi tu m.in. o wydawanie zezwoleń na stosowanie środków ochrony roślin, zakazy używania nawozów czy zrzutu ścieków.

NIK ujawnił też nierzetelne prowadzenie ewidencji zbiorników bezodpływowych w gminach. Wójtowie i burmistrzowie nie ujmowali wszystkich nieruchomości ani częstotliwości opróżniania szamb, a sprawozdania przygotowywane przez Wody Polskie oraz gminy były niekompletne. W dodatku Ministerstwo Infrastruktury w ogóle nie weryfikowało ich rzetelności ani nie pozyskiwało wszystkich wymaganych dokumentów (prawie połowa podmiotów nie przekazała sprawozdań za lata 2018-2022).

Co robią Wody Polskie

Kto powinien odpowiadać za tę sytuację? Instytucją publiczną, zobligowaną do zarządzania gospodarką wodną w Polsce, jest utworzone na mocy ustawy z 2017 r. Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie (dalej PGW), które reprezentuje Skarb Państwa w zakresie wód publicznych. Do kompetencji PGW należy wydawanie zgód wodnoprawnych (pobór wody, ścieki, odwadnianie, połów, żegluga, regulacja rzek, retencja), a także troska o jakość wody i utrzymanie wałów oraz urządzeń hydrotechnicznych.

Dodatkowo spółka zarządza nieruchomościami – mowa tu głównie o działkach położonych wzdłuż rzek. Kłopot w tym, że nie do końca wiadomo, jaką zajmują powierzchnię; wiemy jedynie, że w Polsce istnieje 110 tys. kilometrów cieków wodnych.

Kwestia statusu własności gruntów pod rzekami skrywa wiele osobliwych historii. Dla przykładu, w ramach przeglądu prowadzonego przez PGW okazało się, że w księgach wieczystych rzeka Wda, lewy dopływ Wisły, leży na ziemiach należących do... III Rzeszy. Prawdopodobnie takich historii jest dużo więcej, tylko zwyczajnie nie wyszły jeszcze na światło dzienne. Ktoś może powiedzieć, że to w sumie bez znaczenia, życie jednak pokazuje, że sprawy własnościowe potrafią mieć długotrwałe i nieoczywiste skutki. Niezbędne jest ich uporządkowanie.

To jednak dopiero wierzchołek góry lodowej wyzwań, z jakimi mierzyć się musi ta młoda instytucja, na której spoczywa odpowiedzialność m.in. za wdrożenie przepisów wspomnianej unijnej dyrektywy, czyli troska o jakość wód. Tyle że PGW nie dysponuje nawet własnym laboratorium i musi polegać na danych pozyskiwanych z Inspekcji Ochrony Środowiska. Jak wiemy z raportu NIK, jakość tych danych pozostawia wiele do życzenia.

To nic w porównaniu z innym problemem. Co prawda dyrektywa wodna UE ↦

GRZEGORZ MOMOT / PAP

Niski poziom wody na Jeziorze Czorsztyńskim, luty 2025 r.

eprasa.pl f1a314a829

↦ wprowadziła zasadę, zgodnie z którą to zanieczyszczający płaci za szkody, w praktyce nie obejmuje ona jednak przemysłu, i to na dwóch poziomach.

Po pierwsze, ze względu na naciski polityczne („ekonomia, głupcze!") PGW nie jest w stanie odmówić firmom przemysłowym (zwłaszcza spółkom Skarbu Państwa) pozwoleń na zrzut ścieków.

Po drugie, w przeciwieństwie do użytkowników indywidualnych, którzy muszą rozliczać się na podstawie faktycznego zużycia z wodomierza, w przemyśle zdarzają się sytuacje, w których właściciele największych fabryk czy zakładów płacą na podstawie deklaracji poboru wody. Nawet jeśli okaże się, że zużycie wody, a co za tym idzie ilość ścieków, były większe, PGW może nałożyć karę w maksymalnej wysokości... 5 tys. zł.

Wyciekające bogactwo

Jakkolwiek to zabrzmi, przy takiej sankcji szkoda w ogóle zachodu, by angażować ograniczone zasoby Wód Polskich do wprowadzenia kompleksowego systemu kontroli. Zwłaszcza że dziś PGW może jedynie szacunkowo ustalać (za pomocą pomiarów na ujściach rzek do morza), ile wody w skali kraju wyciekło w nieewidencjonowany sposób.

W efekcie dokładna analiza ekonomiczna „systemu" wodnego, czyli jego realnych beneficjentów, jak i podmiotów, które ponoszą nadmierne koszty, w praktyce jest niemożliwa.

Każde przedsiębiorstwo wodno-kanalizacyjne, niezależnie od statusu właścicielskiego, ma obowiązek zgłosić Wodom Polskim do zatwierdzenia taryfę opłat za wodę i ścieki. Ceny różnią się w zależności od gminy, i to nieraz znacząco, bo podmioty mogą usprawiedliwiać wyższe stawki choćby koniecznością rozbudowy i utrzymania sieci wodociągowej.

Co prawda PGW ma prawo odmówić zatwierdzenia taryfy (i w praktyce często to robi), ale podstawą są niemal wyłącznie kwestie proceduralne. W przeciwieństwie choćby do taryf za energię elektryczną, zatwierdzanych przez Urząd Regulacji Energetyki, PGW niespecjalnie ma bowiem narzędzia do pogłębionej analizy i weryfikacji cenników. Dopiero gdy jakieś przedsiębiorstwo podniesie ceny o 20 czy 30 proc. w skali roku, staje się to podstawą do weryfikacji.

Za troskę o jakość naszych rzek i jezior, odpowiadają Wody Polskie.

Nie dysponują nawet własnym laboratorium, a ich inspekcja nie działa.

Co więcej, choć zgodnie z prawem przedsiębiorstwa wodno-kanalizacyjne, funkcjonujące czy to jako gminne spółki prawa handlowego (ponad 40 proc. wodociągów w Polsce), czy też zakłady budżetowe gmin (ok. 25 proc.), nie mogą uzyskiwać nadmiernych zysków ani wprowadzać mechanizmów finansowania krzyżowego (czyli przenoszenia kosztów na innych użytkowników), to w Polsce często pojawiają się zarzuty, iż w niektórych gminach takie praktyki są stosowane.

Za kontrolę stawek odpowiada głównie wójt, burmistrz lub prezydent, w którego interesie może być pozyskanie dodatkowych dochodów. A także Wody Polskie, które, jak już wiemy, niespecjalnie mają ku temu zasoby.

Warto jednak wspomnieć, że w Sejmie trwają prace nad nowelizacją Prawa wodnego, które ma z powrotem przenieść obowiązek zatwierdzania taryf z PGW na samorządy. Rozwiązanie to budzi kontrowersje – część samorządowców chciałaby odzyskać tę prerogatywę, inni bronią się rękami i nogami. Powód jest prosty – ustalanie wysokości opłat za wodę (a zwłaszcza podwyżki cen) to zadanie obarczone sporym ryzykiem politycznym, zwłaszcza gdy zbliżają się wybory.

Łatwiej odpowiedzialność zrzucić na Wody Polskie, i tak się obecnie nieraz dzieje. Inaczej w części gmin podwyżki opłat mogłyby okazać się *mission impossible*, nawet jeśli byłyby ku temu racjonalne uzasadnienia. Z kolei PGW prawdopodobnie chętnie pozbyłoby się tego „balastu" – konsumuje on zasoby organizacyjne, a jednocześnie niemal nijak nie przekłada się na realizację podstawowych zadań tej instytucji.

Bezzębna inspekcja

Analogiczna sytuacja dotyczy Inspekcji Wodnej, czyli wyspecjalizowanej, umundurowanej i uzbrojonej formacji, która powinna działać w strukturach PGW od 1 lipca 2024 r.

Decyzja o powołaniu takiej służby była pokłosiem katastrofy ekologicznej na Odrze latem 2022 r., jednak Wody Polskie, poza formalnym utworzeniem inspekcji, niespecjalnie kwapią się do formowania oddziałów (w internecie można znaleźć projekty mundurów, ale nie zdjęcia funkcjonariuszy). Przy konieczności realizacji tak wielu różnych zadań, branie sobie na głowę jeszcze uzbrojonej formacji (i potencjalnych konsekwencji związanych z jej działalnością) jawi się władzom PGW jako dodatkowy kłopot, a nie rozwiązanie już istniejących problemów, zwłaszcza w świetle braku własnego zaplecza laboratoryjnego.

W kontekście finansowym nie można pominąć jeszcze jednego wątku. Niezależnie od kwestii sporu wokół zatwierdzania taryf, mamy do czynienia z praktyką, która w przeciwieństwie do zawyżania cen za wodę jest już powszechna i w pełni jawna. Zwłaszcza te przedsiębiorstwa wodociągowe, które funkcjonują jak podmioty prawa handlowego, bywają udzielnymi księstwami, a ich zarządzający (niemal zawsze z politycznego nadania) czerpią z wody prywatną rentę.

Wystarczy przejrzeć zarządy tych spółek, by znaleźć „zasłużonych" i sowicie opłacanych (w grę wchodzą dziesiątki tysięcy zł miesięcznie) działaczy samorządowych i partyjnych. Ich zarobki też odbijają się w stawkach za wodę.

Inaczej jest z sytuacją finansową PGW. Dla przykładu, pieniądze z tytułu opłat za ścieki tylko w 10 proc. lądują w Wodach Polskich – pozostałe 90 proc. trafia do Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska. W konsekwencji opłaty za usługi wodne stanowią zaledwie jedną szóstą budżetu PGW, resztę pokrywa coroczna dotacja od państwa, środki unijne i minimalne dochody z niewielkich elektrowni wodnych należących do Wód Polskich. Pozwala to wszystko na utrzymanie zatrudnienia na poziomie ok. 6600 pracowników w skali kraju – zarówno w centrali, jak i 11 Regionalnych Zarządach Gospodarki Wodnej, 50 Zarządach Zlewni czy wreszcie ponad 300 Nadzorach Wodnych.

Brakuje jednak pieniędzy na niezbędne inwestycje. Zwłaszcza że wdrożenie

eprasa.pl f1a314a829

unijnej dyrektywy, a przede wszystkim przeciwdziałanie skutkom zarówno coraz częstszych gwałtownych powodzi, jak i susz, wymaga realizacji konkretnych, wieloletnich projektów – choćby w zakresie naturalnej i sztucznej retencji. Bez wielomilionowych nakładów będziemy jako państwo bezbronni wobec skutków zmian klimatycznych.

Skąd wziąć pieniądze

Z tej perspektywy Wody Polskie nie tyle potrzebują zbrojnej formacji do łapania „wodnych przestępców" (ich tożsamość zresztą łatwo ustalić, jak miało to miejsce w trakcie kryzysu latem 2022 r., jednak władzom nie było na rękę robienie problemów spółkom Skarbu Państwa). Potrzebują raczej specjalnego funduszu, który umożliwiłby realizację dalekosiężnych przedsięwzięć.

Jakąś inspiracją może być wspomniany już Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska, który m.in. ze środków pochodzących z opłat za ścieki przyczynił się do przeprowadzenia wielkiego programu modernizacji systemu oczyszczania ścieków. Szacuje się, że od momentu naszego wejścia do Unii na ten cel przeznaczono już astronomiczną kwotę 100 mld zł. PGW pewnie nie może liczyć na taki zastrzyk środków, zwłaszcza w sytuacji, kiedy niemal wszyscy chcą wydawać ciężkie miliardy na zbrojenia. Ale od czegoś trzeba zacząć.

Wcześniej jednak zarówno opinia publiczna, jak i politycy, musieliby faktycznie przejąć się problemem, tak jak miało to miejsce w przypadku smogu (choć, jak pokazuje już niemal dwuletni paraliż programu „Czyste powietrze", nawet tu występują trudności).

Na razie zarówno tematyka wodna, jak i Wody Polskie, są ignorowane, co nieraz ma katastrofalne skutki. Świetnym przykładem są opracowywane przez PGW mapy ryzyka powodziowego, które w teorii powinny mieć wpływ na zapisy miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego. Powinny, bo jak pokazuje praktyka w wielu samorządach, wydawanie zezwoleń na zabudowę na terenach zalewowych nie stanowi większego problemu.

Bywa jeszcze gorzej – włodarze niektórych gmin nawet nie wiedzą o istnieniu takich map. Niemal ikonicznym przykładem jest historia Lądka-Zdroju, gdzie władze miejskie dotarły do tych głęboko ukrytych map... 10 minut przed nadejściem fali powodziowej. Było już zdecydowanie za późno, aby przeprowadzić skoordynowaną ewakuację mieszkańców.

Na system musimy patrzeć w sposób całościowy. Jeśli uznamy, że Wody Polskie powinny faktycznie skoncentrować się na realizacji projektów z zakresu naturalnej i sztucznej retencji, aby przeciwdziałać skutkom powodzi i susz, ktoś inny musi przejąć funkcje nadzorcze i kontrolne. Tak dochodzimy do konieczności realnego wzmocnienia z jednej strony inspekcji środowiskowej (choćby w zakresie stworzenia monitoringu interwencyjnego z prawdziwego zdarzenia), a z drugiej – wypracowania systemu realnego wsparcia dla samorządów (a później nadzoru nad nimi) w zakresie realizacji ich ustawowych zadań. Inaczej nie skończymy z obecną wolną amerykanką. © MARCIN KĘDZIERSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

zlot POWSZECHNY

KIEDY: **Piątek, 29 maja 2026 r., godz. 12.00**
GDZIE: **Muzeum Manggha, Kraków**

ZAPRASZAJĄ WAS:
Ksiądz Adam Boniecki
Piotr Mucharski
Jacek Stawiski

To nie będzie seria wykładów. Będzie to **żywa, otwarta dyskusja** – z przestrzenią na pytania, komentarze i głosy uczestników.

Na zakończenie – specjalnie przygotowany dla czytelników „Tygodnika Powszechnego" **koncert Grzegorza Turnaua**.

Zapraszamy na pierwszy ogólnopolski zjazd czytelniczek, czytelników i sympatyków „Tygodnika Powszechnego" – wydarzenie stworzone z myślą o tych, którzy nie chcą tylko czytać rozmów, ale chcą w nich uczestniczyć.

BĘDĄ Z WAMI m.in.
Eliza Kącka
Prof. Bogdan de Barbaro
Marcin Napiórkowski
Tomasz Stawiszyński

Więcej informacji i bilety:
https://evenea.pl/pl/wydarzenie/ZlotPowszechny

ZAMÓW BILET!

TP NA ŻYWO

eprasa.pl f1a314a829

Prowizja za półprawdy

AGNIESZKA KANTARUK

NIERUCHOMOŚCI | Ukryte adresy, zatajanie wad budynków i manipulacje marketingowe sprawiają, że znalezienie własnego kąta stało się udręką. Na deser czeka faktura pośrednika na dziesiątki tysięcy złotych.

Dom w okolicach Babiej Góry spodobał się Grzegorzowi, ponieważ agent podkreślił w ogłoszeniu: „Nieruchomość stanowi idealną propozycję dla osób poszukujących stabilnego, komfortowego miejsca do życia, z dala od miejskiego zgiełku, a jednocześnie z dobrym dostępem do centrum miejscowości". Metraż pasuje, wystrój bardzo przyjemny. Zaniepokoiło go jednak umieszczone w ogłoszeniu stwierdzenie: „Dane nieruchomości są przedstawione na podstawie informacji dostarczonych przez oferującego. Za jakiekolwiek niezgodności ze stanem faktycznym biuro nie ponosi odpowiedzialności".

To nieprawda. Biuro bierze pieniądze właśnie za to, żeby zweryfikować zgodność danych przekazanych przez właściciela ze stanem faktycznym, co widoczne jest w orzecznictwie. Sędziowie regularnie podkreślają, że pośrednik jako profesjonalista, na podstawie art. 355 § 2 kodeksu cywilnego, ma obowiązek weryfikacji oferty. Jeśli tego nie zrobił – odpowiada finansowo. Kary bywają dotkliwe: od nakazu zwrotu całej prowizji, przez odszkodowania z polisy OC w oparciu o ustawę o gospodarce nieruchomościami, aż po wyroki karne za celowe wprowadzanie w błąd.

Na kolanie, pod kościołem

Pomimo wątpliwości Grzegorz zadzwonił do agenta. Wszystko szło gładko do momentu, gdy poprosił o przesłanie pinezki na mapie z lokalizacją domu, a także ustalenie, czy możliwy będzie wgląd w rachunki za media.

Agent niby się zgodził, ale potem przestał odbierać telefony, nie oddzwaniał, na maila nie odpisał, choć w razie dogadania się stron poza jego plecami (w celu uniknięcia prowizji) miałby „na papierze" dowód oszustwa.

Nie pomogły smsy z przypomnieniem o obietnicy przesłania pinezki. – Oni myślą, że jak naciągną człowieka na wyjazd 300-400 kilometrów, to trudniej będzie mu się wycofać. Dlatego nie chcą zdradzać adresów, a dociekliwych ignorują – uważa Grzegorz.

Nawet na poziomie emocjonalnym ma to sens, bo gdy się poświęci na podróż cały dzień, trudniej przyznać przed samym sobą, że oferta była bublem. Agenci to wiedzą i chętnie z tej wiedzy korzystają. Częste zatajanie adresów (zdarza się oczywiście, że jest to efektem złych doświadczeń z nieuczciwymi klientami) wynika jednak z większej liczby powodów.

Nieruchomości miewają wady, ze względu na które należałoby obniżyć cenę. Część biur ich nie ukrywa i jest transparentna wobec klientów, bo wie, że wtedy do nich wrócą lub polecą usługi znajomym. Jednak sporo innych biur takie dane zataja, by utrudnić „śledztwo" zainteresowanemu. Zamiast rzeczywistej lokalizacji nieruchomości podawana jest więc czasem nazwa sąsiedniej wsi czy sama nazwa ulicy, albo wręcz ogólnikowe stwierdzenia na temat rejonu miasta. Konkretny adres prawie się nie zdarza, m.in. dlatego, by klient nie miał okazji przyjrzeć się nieruchomości i jej otoczeniu na zimno, na własną rękę.

Dlatego agent umówi się z nim np. pod kościołem, na stacji benzynowej albo w innym charakterystycznym punkcie. Tam wręczy mu do podpisu tzw. lojalkę, czyli umowę pośrednictwa z klauzulą wyłączności, zobowiązującą do uiszczenia prowizji w określonej kwocie w przypadku sfinalizowania transakcji. Przesyłanie wzoru takiej umowy mailem, aby klient mógł ją przeczytać przed spotkaniem, również nie jest częste. A że tę samą nieruchomość próbuje jednocześnie sprzedać nawet kilka agencji – w różnej cenie i z różną prowizją – niektórzy pośrednicy zrobią wszystko, by jak najszybciej zwabić odpowiednią osobę i sprzedać jej „towar".

Niejeden kupujący, gdyby z góry znał adres i mógł przed podróżą podpisać online umowę dotyczącą prowizji, zawczasu przeanalizowałby minusy lokalizacji (nawet przez internet) i być może w ogóle zrezygnowałby ze spotkania. Wielu klientów pragnie tego z głębi serca.

Janina: – Niektórzy adresu nigdy nie podadzą. A my z mężem nie możemy ciągle brać urlopów, żeby jechać w ciemno na cały dzień te domy oglądać, i żeby na miejscu się okazywało, że okolica w ogóle nie dla nas. Przecież to można na mapie satelitarnej w kilka minut ocenić bez wychodzenia z domu.

Nie ma mieszkań, chociaż są

Według szacunków rynkowych Jones Lang LaSalle, wiodącej międzynarodowej



eprasa.pl f1a314a829

firmy doradczej działającej na rynku nieruchomości komercyjnych i zarządzania inwestycjami, a także na podstawie danych zgromadzonych między innymi przez Bank Pekao, w Polsce wciąż brakuje nam około 1,5 mln mieszkań. Dane Alior Banku są mniej alarmujące; wg nich niedobór wynosi 300-400 tys. lokali.

Rząd uznaje mieszkalnictwo za priorytet, planując na 2026 r. rekordowe wydatki rzędu 6,7 mld zł na budownictwo socjalne, komunalne i społeczne. To sygnał, że władza widzi problem.

Tyle że w tym samym czasie w internecie dostępnych jest prawie pół miliona ofert sprzedaży domów i mieszkań – w różnych cenach, w różnym standardzie, we wszystkich województwach. W samej Warszawie, w najpopularniejszym serwisie ogłoszeniowym z branży nieruchomości figuruje prawie 20 tys. mieszkań i niemal 2 tys. domów do wyboru, w Krakowie analogicznie 13 tys. i 1 tys., we Wrocławiu prawie 15 tys. mieszkań i ponad 700 domów. Sporo.

Jadwiga, która mieszka we Wrocławiu przy hałaśliwym boisku i desperacko chce się uwolnić z tego miejsca, mówi: – Pojechaliśmy oglądać przepiękne siedlisko w Borach Tucholskich. „Będziecie państwo zachwyceni", usłyszałam. Tak nas agentka poprowadziła drogami od miejsca spotkania, że aż się zachwyciłam, bo jechaliśmy przez gęsty las. Wysiadam z samochodu, a tam hałas jak w naszej okolicy. Pytam, co to jest?! A ona, że to od A1 się niesie, ale „proszę się nie martwić, to tak tylko dzisiaj, bo wiatr wieje w tę stronę, normalnie nic nie słychać, autostrada jest daleko". Okazało się, że to „daleko" to 300 metrów... Zrobiłam awanturę, a później się popłakałam, bo to nie była pierwsza taka sytuacja.

Ogłoszenie, na które oboje z mężem się nabrali, w sieci wisi nadal. Widzę w nim znajome sformułowania o ciszy, azylu od zgiełku i śpiewie ptaków. Podpowiadam Jadwidze, że pośrednik ma obowiązek starannego działania. Nakłada to na niego ustawa i kodeks cywilny. Jeśli „nie zauważył" albo „zapomniał powiedzieć", że dom stoi obok autostrady, i twierdził, że jest „idealnie cicho", może odpowiedzieć za wprowadzenie w błąd.

„Nie chcę tej baby więcej widzieć na oczy" – Jadwiga odpowiada stanowczo.



PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Niektórzy pośrednicy zrobią wszystko, by ukryć wady mieszkania i tym samym zawyżyć cenę. Od tego zależy ich prowizja.

Dziedzictwo deregulacji

Źródło obecnego chaosu ma swoją konkretną datę i nazwę: to rok 2014 i tzw. deregulacja Gowina. Jednym pociągnięciem ustawowego pióra polski rynek nieruchomości został wrzucony w sam środek ryzykownego eksperymentu społecznego, w którym zlikwidowano wymóg posiadania państwowych licencji, wykształcenia kierunkowego czy obowiązkowych szkoleń dla pośredników. Intencje były, jak zwykle, szlachetne – wolny rynek miał sam odsiać ziarna od plew, obniżyć ceny usług i otworzyć drzwi dla młodych adeptów. Stało się jednak coś odwrotnego: plewy zaczęły pożerać ziarna.

Z dnia na dzień zawód, który powinien opierać się na zaufaniu publicznym i eksperckiej wiedzy z pogranicza prawa i budownictwa, stał się profesją „dla każdego", kto posiada telefon, samochód i wystarczającą pewność siebie, żeby dojść do wniosku, iż nadaje się, by doradzać ludziom w jednym z najważniejszych wyborów życiowych. Ważny jest też upór, bo z racji szerokiego otwarcia rynku konkurencja jest spora (stąd też brutalność walki o klienta).

Polska Federacja Rynku Nieruchomości przyznaje, że wymóg posiadania przez pośrednika co najmniej średniego wykształcenia byłby na pewno korzystny. Na razie, żeby handlować nieruchomościami za miliony, nie trzeba mieć skończonej żadnej szkoły.

Do końca 2013 r. wyglądało to inaczej: licencja pośrednika była dokumentem wydawanym przez Ministerstwo Transportu, Budownictwa i Gospodarki Morskiej. Aby ją zdobyć, trzeba było ukończyć studia podyplomowe z pośrednictwa, odbyć praktyki i zdać egzamin państwowy. Za błędy etyczne groziły kary, w tym dożywotni zakaz wykonywania zawodu poprzez odebranie licencji. Państwo brało odpowiedzialność za to, kogo wpuszcza do domów obywateli. ↦

eprasa.pl f1a314a829

↦ W rezultacie wprowadzenia deregulacji z rynku zaczął znikać etos doradcy, a niejeden rzetelny pośrednik zawiesił działalność lub zaakceptował niższe zarobki. Albo „dostosował się" do rynku, czyli przyjął agresywny model sprzedaży, w którym brak merytorycznego przygotowania maskuje się technikami negocjacyjnymi.

To zaś, czym legitymują się zwykle agenci, to jedynie licencje nadawane przez stowarzyszenia zawodowe, organizacje zrzeszające pośredników. Posiadanie takiej licencji w najlepszym przypadku oznacza, że dany pośrednik przeszedł odpłatny kurs organizowany przez Polską Federację Rynku Nieruchomości, będącą prywatnym stowarzyszeniem, lub przez podmiot w niej zrzeszony.

W najgorszym przypadku można natknąć się na kogoś, kto wydrukował sobie licencję na drukarce w domu. Jakkolwiek by było, w oczach prawa pośrednicy są takimi samymi przedsiębiorcami, jak wszyscy, i odpowiadają cywilnie z OC, ale nie zawodowo przed organami państwa.

Oferta z kuną w prezencie

To właśnie ta instytucjonalna abdykacja państwa stworzyła próżnię, którą szybko wypełniły wątpliwe praktyki: od zatajania adresów lub informacji o niekorzystnych aspektach otoczenia, aż po celowe ukrywanie wad technicznych i prawnych.

Sebastian: – Po prawie czterech latach szukania znaleźliśmy dom, który był naprawdę w porządku. Wcześniej trafialiśmy najczęściej tak, że na zdjęciach było pokazane tylko to, co atrakcyjne, a na miejscu zagrzybiona kuchnia i instalacje do wymiany. Mieliśmy nawet sytuację, w której o mały włos nie wpadliśmy w poważne kłopoty. Agent z właścicielem odeszli na bok, a do nas podszedł sąsiad i mówi: „a co z kunami zrobicie?". Ja się pytam: „z jakimi kunami?". A on mówi, że pełno ich w domu i że on sam też je ma i nie umie sobie z nimi poradzić. Tak wsypał sąsiada – wspomina Sebastian, który w końcu trafił na dobry dom.

Wszystko zostało ustalone, a strony spotkały się u notariuszki. Nagle przy odczytywaniu projektu aktu kupna-sprzedaży pada sformułowanie o osobistej służebności mieszkania.

– Notariuszka zawiesza głos i pyta, czy mamy świadomość, że w dziale trzecim księgi wieczystej figuruje zapis o dożywotnim prawie do zamieszkiwania dla osoby trzeciej, babci właścicieli – wspomina Sebastian. – Wtedy agent do nas mówi: „to czysta formalność, babcia jest w zakładzie opieki, do domu nigdy nie wróci, więc to prawo jest martwe. W takiej cenie domu nie znajdziecie". Krew mnie zalała, bo babcia w każdej chwili może zamówić taksówkę pod dom opieki i wrócić do mieszkania jak do siebie.

Miało być siedlisko w borze. Tak nas agentka poprowadziła, że aż się zachwyciłam, bo jechaliśmy przez gęsty las. **Wysiadam z samochodu, a tam hałas od autostrady.**

Sebastian i inni klienci biur narzekają na jeszcze jeden problem: finansowy mur. Przy wynajmie standardem stało się żądanie od najemcy jednokrotności, a często zdarza się, że i dwukrotności miesięcznego czynszu jako kaucji. W praktyce oznacza to, że młody człowiek próbujący usamodzielnić się w dużym mieście musi na start dysponować poważnymi środkami. Jeśli czynsz za wynajem wynosi 3 tys. zł, a do tego dochodzi kaucja zabezpieczająca i wynagrodzenie pośrednika – suma transakcji przekracza 10 tys. zł.

Jeszcze gorzej ma się sytuacja w przypadku pośrednictwa przy sprzedaży nieruchomości. Procentowo najmniej (ale nie kwotowo, z uwagi na wyższe ceny) za usługi zapłacą klienci z największych miast. Wówczas prowizja, którą należy doliczyć do ceny widocznej w ogłoszeniu, wyniesie od 1 do 2,5 proc. wartości transakcji.

Wyższe prowizje płacą osoby planujące dokonać zakupu w mniejszym mieście lub od mniejszego biura, gdyż w takich małą liczbę transakcji pośrednicy rekompensują sobie wysokością marży, nawet do 5 proc. wartości domu lub mieszkania. Czym nieruchomość trudniejsza do sprzedania, tym prowizja wyższa.

Brać od obu stron

To jednak dopiero część finansowego drenażu, gdyż polskim standardem stała się praktyka pobierania prowizji zarówno od sprzedającego, jak i kupującego – pośrednik potrafi więc wyciągnąć z jednej nieruchomości kwotę nawet 100 tys. zł. Co więcej, bywa, że agent działa na niekorzyść kupującego i stara się uzyskać dla sprzedającego wyższą cenę; wszakże to od niej pobiera prowizję. Często są to pieniądze ogromne, płacone komuś, kto nie posiada kierunkowego wykształcenia, a bywa, że nawet matury. Do tego niemające uzasadnienia w nakładzie poświęconej pracy, zwłaszcza jeśli pośrednik nie dba o rzetelne reprezentowanie klienta.

Klient wykłada na stół oszczędności życia, a pośrednik nie ryzykuje niczym – ani samą licencją, która po deregulacji przestała wiele znaczyć, ani też za bardzo reputacją. Żaden z istniejących w Polsce serwisów z ogłoszeniami o nieruchomościach nie udostępnił jeszcze rankingu lub dostępnych w sieci ocen agentów, chociaż rankingi funkcjonują od lat np. na internetowych platformach sprzedażowych, na których transakcje opiewają na niewielkie kwoty. W tym układzie ryzyko jest więc przekierowane bardziej na stronę konsumenta. Chcesz mieć dach nad głową, akceptuj reguły.

Czy ta sytuacja będzie trwać w nieskończoność? Niekoniecznie. Ministerstwo Rozwoju i Technologii oraz Polska 2050 ogłosiły na początku marca wolę przywrócenia Komisji Odpowiedzialności Zawodowej dla pośredników w handlu nieruchomościami, a ponadto wprowadzenia ustawowego zakazu pobierania prowizji od obu stron transakcji, jako że koncepcja ta w oczywisty sposób opiera się na konflikcie interesów sprzedającego i kupującego. A niejednokrotnie kończy się w sądach. Powołanie Komisji mogłoby je odciążyć; dziś sądy muszą rozstrzygać spory wynikające z rozbieżności obietnic pośredników z późniejszą rzeczywistością.

Uwadze ministerstwa nie uszło również masowe zatajanie adresów, numerów działek, informacji o stanie prawnym nieruchomości i kosztach ich utrzymania. Także i te kwestie wiceminister Tomasz Lewandowski obiecuje uregulować za pomocą będącego w przygotowaniu projektu ustawy o zawodzie pośrednika w obrocie nieruchomościami i zarządcy nieruchomości. Nowe zasady mogą sprawić, że do historii przejdzie reguła: maksimum zysków przy minimum wysiłku. © AGNIESZKA KANTARUK

eprasa.pl f1a314a829

REKLAMA

MELISANA
Klosterfrau
Original

Dostępna bez recepty.

200 *lat tradycji* w leczeniu:*

- BÓLU BRZUCHA I WZDĘĆ NA TLE NERWOWYM
- WSPOMAGAJĄCO PRZY OBJAWACH PRZEZIĘBIENIA I GRYPY
- POWYSIŁKOWEGO BÓLU MIĘŚNI
- TRUDNOŚCI Z ZASYPIANIEM



HISTORIA MELISANY

* Historia Melisany sięga 1815 roku i legendarnej bitwy pod Waterloo. To wtedy zakonnica Maria Clementine Martin opracowała recepturę na bazie leczniczych ziół, pomagającą żołnierzom w stanach napięcia i bólu. Jej preparat zyskał uznanie króla Prus i stał się podstawą kultowej formuły produkowanej nieprzerwanie do dziś.

MEL.2025.06.02.2

Melisana Klosterfrau Original, płyn doustny, płyn na skórę. Produkt złożony. Wskazania do stosowania: Stosowanie doustne: w stanach złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym z objawami nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody, w celu ułatwiania zasypiania, w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha), wspomagająco jako produkt leczniczy zmniejszający odczuwanie objawów towarzyszących przeziębieniu i grypie. Stosowanie miejscowo, na skórę: do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach i powysiłkowych bólach mięśni. Podmiot odpowiedzialny MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o.

Tradycyjny produkt leczniczy roślinny z określonymi wskazaniami wynikającymi wyłącznie z długotrwałego stosowania.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Nie przekraczaj maksymalnej dawki leku. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

eprasa.pl f1a314a829



GRAMERCY PICTURES / GETTY IMAGES

ROZWAŻNI, NIEROMANTYCZNI

Kocha, lubi, szanuje: miłość ma wiele oblicz, a być może to niepozorne drugie ogniwo wyliczanki pozwala znaleźć klucz do trwałego szczęścia.

OLGA DRENDA

„Najważniejsze to się lubić", taki przepis na udane wspólne życie zdarza się czasami słyszeć w wypowiedziach par świętujących imponujące jubileusze. Proste i praktyczne, ale – jak się okazuje – również intuicyjnie filozoficzne. Seniorzy wyrażają innymi słowami tę samą myśl, co niegdyś Fryderyk Nietzsche.

Z rozsądku

Filozof znany w powszechnej świadomości za sprawą nieprzychylnych kobietom sentencji, którymi lubi imponować każdy mizantrop w wieku studenckim, zapisywał i skrzydlate słowa pochwalające szczere partnerstwo między żoną a mężem. Bo tak właśnie brzmi wizja przyjaźni jako solidnej bazy dla miłości i związku, w którym dobrze się razem nie nudzić i mieć o czym pogadać.

„Najlepszy przyjaciel dostanie prawdopodobnie najlepszą małżonkę, ponieważ dobre małżeństwo opiera się na talencie do przyjaźni", pisał, i dodawał radę skierowaną do mężczyzn: „Wstępując w związki małżeńskie, należy postawić sobie pytanie: czy sądzisz, że będziesz mógł z tą kobietą do późnego wieku z przyjemnością prowadzić rozmowy? Wszystko inne jest w małżeństwie przejściowe, ale przeważna część obcowania przypada na rozmowę" (tłum. Konrad Drzewiecki).

Spędzenie życia z kimś, kogo się lubi, długo musiało brzmieć i dla żyjących w czasach Nietzschego (czyli rówieśników moich prapradziadków), i jeszcze kilkadziesiąt lat później, jako wielka życiowa wygrana. W świecie, w którym przeżyć w pojedynkę przeciętnemu człowiekowi nie było łatwo, a samotnych czekał niewesoły los społecznego outsidera, sformalizowane związki miały często praktyczne

eprasa.pl f1a314a829



Marge (Frances McDormand) i Norm (John Carroll Lynch) w filmie „Fargo", reż. Joel i Ethan Coen

motywacje. Romantyczne potrzeby i czekanie na wymarzonego kandydata czy kandydatkę musiały zejść na daleki plan wobec bardziej palących kryteriów, takich jak pracowitość i gospodarność, a czasami uzasadniona obawa przed samotnością.

„Lepiej ożenić się źle, niż nie ożenić się wcale", podsumowywał standard obyczajowy przełomu wieków pionierski socjolog Florian Znaniecki. A zważywszy na to, że jeśli nie prawo, to obyczaj znacząco utrudniały, a może nawet uniemożliwiały rozejście się, oznaczało to scenariusz na resztę życia.

W celach praktycznych

Nawet po przewrocie obyczajowym i prawnym, jaki przyniosły czasy powojenne, podobny stan rzeczy w zależności od regionu mógł utrzymywać się jeszcze w latach 60. i 70. XX w. Konieczność, by nie zostać samemu czy samej, sprawiała, że ludzie odkładali preferencje i wymagania do kieszeni – tak wynika np. z historii mówionych z Bielska Podlaskiego, zebranych przez Ewę Kępę w książce „Historie wydobyte z cienia".

Pojawiały się i inne skrzeczenia rzeczywistości, już typowo PRL-owskiej, gdzie równość równością, ale pewne czynniki pomagały przesunąć się naprzód w kolejce po mieszkania czy meble, ślub brano więc czasem w celach praktycznych.

„Niby jest emancypacja, ale spróbuj pójść gdzieś sama. Potem sama zdobądź mieszkanie. Nawet pomijając aspekt finansowy, zawsze ktoś ma dzieci i trudne warunki, to znaczy ma pierwszeństwo. Spróbuj się utrzymać za ileś tam po dyplomie. To się zdarza – samodzielność, wolność, równouprawnienie, ale najlepiej, jeśli zdarzy się małżeństwo", zwierzała się Ewie Szemplińskiej bohaterka reportażu, który można znaleźć w smutnej antologii obrazków z lat 70., „Kto dzisiaj kocha".

Tę samą nutę smutku da się wysłyszeć na nieco zapomnianej płycie „Dwanaście godzin z życia kobiety" Haliny Kunickiej, na którą słowa napisał Wojciech Młynarski. Przeważa tu cień rozczarowania i zmęczenie, ten nieodłączny, nękający cień szarego człowieka. I co gorsza – uczucie obcości, nawet gdy zaserwowane półżartem: życzenie, by „ustanowić towarzystwo przyjaźni męża z żoną" kwituje się puentą, że jest to absolutnie niemożliwe, i że nie da się „kłótni stanu unieważnić".

Zrobię ci jajka

Godzenie się z losem w kwestii życia osobistego przynosiło różne efekty. Czasami – przymus życia pod jednym dachem z największym wrogiem czy wręcz katem, o czym wiele już napisano; czasem – okazywało się zwyczajną koleją życia, którą jakoś trzeba zaakceptować. Badacz kultury Włodzimierz Pawluczuk pisał o różnych oczekiwaniach wobec życia, które ludzie w danym miejscu i czasie podzielają i uważają za oczywiste (nazwał je mitonemami, czyli „pomniejszymi mitami"). Wyodrębnił wśród nich „życie udane", „szczęśliwe" i „w pełni". Gdy naszym horyzontem oczekiwań jest życie udane, najważniejsze jest – mówiąc nieco językiem „Koncertu życzeń" – zdrowie, spokój w domu i pociecha z dzieci.

Mąż czy żona w takiej perspektywie to nawet nie nasz własny wybór, ale pomoc od losu, by móc zrealizować te cele; wystarczy więc, że będą w porządku. Dążąc do życia szczęśliwego, zakładamy dodatkowo, że to my sami zdecydujemy, z kim chcemy dzielić los. Życie w pełni zakłada, że samodzielnie kształtujemy jego kurs i mamy do wyboru różne możliwości; taka opcja dla wielu ludzi do niedawna nie tyle była niemożliwa, ile po prostu nawet nie przychodziła im do głowy.

Bywało jednak, że trafiano na człowieka, z którym żyć było raźniej, a oprócz wspólnej pracy dało się jeszcze razem pośmiać i ponarzekać. Tak życie *udane* samo przeobrażało się w *szczęśliwe*: konieczność zmieniała się w zażyłość i szczerą bliskość. Jedna z wiekowych rozmówczyń Ewy Kępy dzieli się wspomnieniem o swoim mężu; połączył ich jedynie fakt, że oboje byli stanu wolnego, ale okazali się dla siebie dobrymi kompanami.

„Jeszcze jak mąż żył, to zbudziłam się: »Chodź oglądać Gołotę«. (...) Ja poszłam do kuchni. Kanapki zrobiłam. Na talerzu. Jemy. Przyniosłam sobie i jemu. I jemy, i śmiejemy się oboje [*śmiech*]. I herbatę zrobiłam. I jego zbudziłam. Niech ogląda razem". Trochę przypomina to pełne serdeczności dialogi jednej z najbardziej wzruszających „zwyczajnych" filmowych par, Marge i Norma z filmu „Fargo" braci Coen: „musisz zjeść śniadanie, zrobię ci jajka".

Domu ozdoba

Historyk Tomasz Wiślicz, który od lat bada dzieje życia osobistego w dawnej Polsce, przekonuje: nie jest prawdą, że miłość bywała w czasach naszych przodków zjawiskiem rzadkim czy że jest kaprysem nowoczesności; by właściwie zrozumieć to zjawisko, należy używać właściwych dla swoich czasów kategorii. Nie jest też oczywiście tak, że w życiu Polaków przeszłych wieków zupełnie brakowało romansu w znaczeniu, jakie utrwaliły ↦

eprasa.pl f1a314a829

↦ powieści i filmy: silnego nasycenia emocjami, konglomeratu uczuć, w którym pragnienie i uwielbienie sąsiadują z tęsknotą i zazdrością.

Historyk poświęcił tej problematyce książkę o urokliwym tytule „Upodobanie", skupiając się tam na dokumentach sądowych dotyczących wsi XVII i XVIII w. (czyli przed uwłaszczeniem chłopów, co znacząco wpłynęło na obyczajowość). Wynika z niej jednak, że uczucia romantyczne w zapisach historycznych pojawiają się albo w kontekście młodzieńczych znajomości, albo jako źródło nieszczęścia, a nawet, niczym w balladzie, jako siła fatalna, wiodąca nieraz nawet i do zbrodni, a nie do udanego życia we dwoje.

To nie znaczy jednak, że związki małżeńskie były pozbawione komponentu uczuciowego, choć w inny sposób o nim mówiono. Przywoływany już Znaniecki pisał, że w zgodnym małżeństwie miłość, nawet jeśli nie absolutnie konieczna, była dobrze widziana. Wszak „miłość i zgoda – domu ozdoba", głosiły niegdyś nawet kuchenne makatki.

Wiślicz dla opisania modelu relacji typowych dla polskiej wsi XIX i wczesnego XX w. używa sformułowania „miłość nieromantyczna", na którą składały się wzajemne poszanowanie, solidarność i, *last but not least*, więź seksualna, której dowodem istnienia były na ogół dzieci. Oczywiście autor zastrzega, że taka pragmatyczna perspektywa nie przynosiła złotej formuły zapewniającej harmonię i zgodę niczym na makatce, chroniącej od konfliktów czy przemocy – ale założenie, że niestosowanie pojęcia „małżeństwo z miłości" nie oznacza wcale braku miłości, należy uznać za przytomne i odświeżające.

To zresztą definicja całkiem podobna do tego, jak współcześnie polskie prawo rozumie termin „pożycie małżeńskie", czyli jako więź uczuciową, fizyczną i gospodarczą (choć w wielu związkach któregoś z tych trzech elementów, dobrowolnie lub nie, nie ma, lecz na ogół nikt tego nie sprawdza aż do sprawy rozwodowej).

Na fali...

To historia – kusi jednak przymierzenie modelu miłości nieromantycznej do dzisiejszych realiów, które nie wymagają od ludzi tak dalece posuniętego pragmatyzmu. W odmianie miłości, o której tu mówimy, najbardziej charakterystyczne jest, że zaczyna się jakby od środka, a może wręcz biegnie kursem odwrotnym niż ten znany z utartych wyobrażeń o budowaniu więzi.



Tekst pochodzi
z wydania specjalnego

„MOC RELACJI",

które ma swoją premierę
25 marca 2026 r.

Zamów w przedsprzedaży:
sklep.TygodnikPowszechny.pl

Według znanej, ale też często kwestionowanej teorii psychologa Roberta Sternberga, miłość ma swoje typowe fazy rozwojowe i powinna zaczynać się od zakochania, czyli opanowującej człowieka bez reszty obsesji na czyimś punkcie, wręcz utraty głowy pod wpływem intensywności uczuć. Może ono minąć bez śladu lub przy pomyślnych wiatrach przeobrazić się w bardziej stabilną formułę bycia razem, opartą na zaufaniu i intymności. Na końcu zaś straszy związek pusty, smętne zobojętniałe współlokatorstwo, sklejone ewentualnie siłą przyzwyczajenia.

Koncepcja miłości Sternberga przypomina gwałtownie wzbierającą, a później opadającą falę. Nieco inne spojrzenie znajdziemy w obserwacjach Elaine Hatfield, która od lat 60. XX w. zajmowała się badaniami odmian więzi między ludźmi i ich specyfiki. Hatfield z grubsza zakreśliła kategorie miłości namiętnej (*passionate love*) i partnerskiej, przyjacielskiej (*companionate love*), dla których opracowała nawet skale pomiarowe. Mogą one nakładać się na siebie lub występować osobno, niekoniecznie za to następują po sobie.

W miłości partnerskiej podstawą jest wzajemne zaufanie, pewność, że można polegać na sobie nawzajem, i satysfakcja z przebywania razem – gadając, jak u Nietzschego, czy milcząc bez uczucia niezręczności. Raczej ulubione kanapki (zwłaszcza właśnie te, o których wiemy, że on czy ona je lubi najbardziej) niż kolacja przy świecach.

...i po linii

W zakochaniu źródłem ekscytacji jest tajemnica czy wręcz element niewiedzy: spada ono na człowieka znienacka niczym kowadło w kreskówce i czyni ukochaną osobę doskonalszą niż w rzeczywistości. Miejsca niewiadome, białe plamy wypełniają się cechami ideału.

Miłość nieromantyczna zaś, zamiast od nagłego olśnienia, zaczyna się od uznania, że skoro ktoś wydaje się w porządku i chyba całkiem się lubimy, to możemy spróbować razem ciągnąć ten wózek. Dobre poznanie kogoś nie przeszkadza jej istnieniu, nie sprawia, że uczucie się rozwiewa; brak dreszczyku tajemnicy jej wręcz służy. Kochana osoba nie musi być ideałem. Wystarczy, że będzie w sam raz.

Taka miłość może się oczywiście zakończyć – lecz przynajmniej nie z powodu rozczarowania czyjąś nieidealnością. Bywa i tak, że rozwija się z już dłuższej znajomości, gdy ktoś lubiany staje się tym ulubionym. Możemy zilustrować taką miłość nie jako falę, lecz jako względnie równomierną linię, czasem cieńszą, czasem się pogrubiającą. Nic też nie stoi na przeszkodzie, by wyobrazić sobie, że na jakimś etapie może pojawić się w niej nawet element romantyczny.

Można zaryzykować parafrazę Znanieckiego, że o ile dla XIX-wiecznego związku miłość była elementem „pożądanym, choć nieobowiązkowym", to w nieromantycznej miłości czasów dzisiejszych najważniejsza jest szczególna, wyróżniająca więź i poczucie bliskości, do osobistej negocjacji pozostają zaś wspólne gospodaro-

eprasa.pl f1a314a829

wanie czy stopień fizycznej zażyłości (tak najszerzej można rozumieć debatowany obecnie status osoby najbliższej).

Taka perspektywa, w której akceptujemy migotliwość ludzkich uczuć i uzgodnień, pozwala też podpowiedzieć salomonowe rozwiązanie w kwestii niekończących się retrospektywnych sporów co do statusu licznych postaci historycznych: para czy przyjaciele – nawet gdy to niemożliwe do ustalenia, nie trzeba przecież odmawiać komukolwiek prawa nazywania tych więzi miłością.

Fantastyczna proza życia

Nośnikami współczesnych mitów, mniejszych i większych, są opowieści fabularne. Przeglądając słynną listę „100 years – 100 passions" Amerykańskiego Instytutu Filmowego, poświęconą najbardziej legendarnym filmom o miłości, znajdziemy przewagę opowieści o jej namiętnej odmianie.

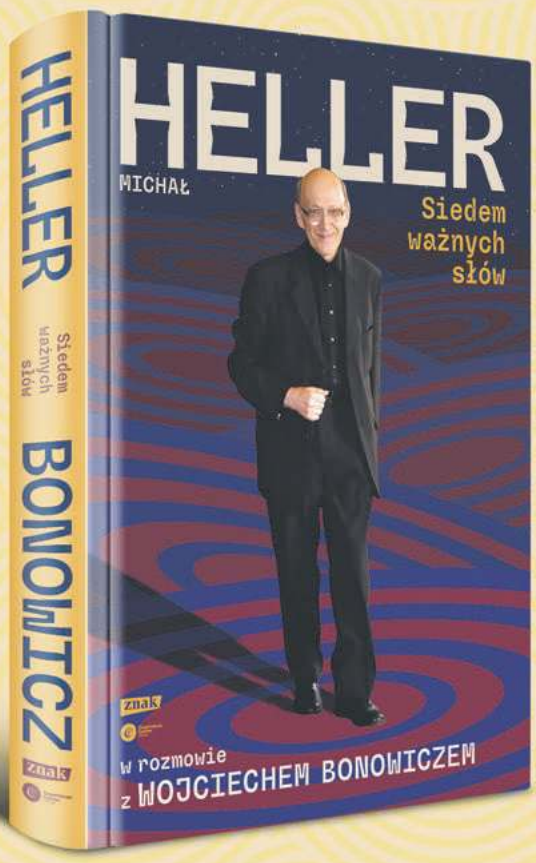
Jednocześnie łatwo dojść do wniosku, że w kinie, niemal jak w baśni z morałem, romantyczne doświadczenie jest czymś niewykonalnym, krótkotrwałym, skazanym na porażkę albo zakazanym, a na pewno wykluczającym się z trwałością i codziennością. Cóż, film jest także od tego, by opowiadać o pięknych, lecz niemożliwych przygodach i by móc na chwilę dotknąć niemożliwego właśnie.

Kamera wydaje się mniej lubić opowieści o solidnej prozie życia, kompromisie czy relacjach rozwijających się powoli (choć są i wyjątki – Harry i Sally z komedii Nory Ephron po kilkunastu latach wyboistego kumpelstwa mówią sobie „tak"). Widzowie tłumnie odwiedzali kina, by wypłakiwać oczy na „Love Story", wiedząc, że to opowieść bez happy endu i że historia miłości przełamującej bariery pochodzenia skończy się źle. Ale czy film ten stałby się równie legendarny, gdyby Jenny nie umarła i wspólnie z Oliverem doczekaliby konfrontacji z kryzysem wieku średniego w domku pod miastem? Albo gdyby Francesca i Robert z „Co się zdarzyło w Madison County" spędzili razem więcej niż cztery dni?

Więcej przykładów wzajemnej akceptacji i stabilizacji, która zakłada wybaczanie sobie i machanie ręką na niedoskonałości, znajdziemy raczej w sitcomach. Albo w filmach animowanych: trudno o dobitniejszy przykład relacji pełnej wzajemnej wyrozumiałości niż Shrek i królewna Fiona. Albo bohaterowie „Ulicy Sezamkowej" – Ernie, akceptujący marudne usposobienie Berta, i Bert przyjmujący do wiadomości kolejne zwariowane pomysły Erniego. Co prawda twórcy „Ulicy Sezamkowej" zadeklarowali kiedyś, że te postacie nie mogą mieć orientacji seksualnej, gdyż są lalkami – ale szanują i doceniają, że w oczach widzów Ernie i Bert stali się wzorem zgodnego życia razem. Bo też faktycznie harmonii i wzajemnej serdeczności można im pozazdrościć.

Można się zastanawiać, dlaczego o partnerskiej czy przyjacielskiej miłości, wcale nie tak chyba rzadkiej w rzeczywistości, opowiadają nam najdobitniej postacie fantastyczne. Być może dlatego, że więź bliskiej przyjaźni, jak pisał C.S. Lewis w „Czterech miłościach", ma w sobie coś przekraczającego biologiczne czy materialne uwarunkowania i jako oparta na dobrowolności jest ze wszystkich odmian miłości „najmniej naturalną". Jest zatem prozaiczna i fantastyczna zarazem. Zupełnie jak porządny talerz ulubionych kanapek. © OLGA DRENDA

REKLAMA



Wieczność widzę dynamicznie

Osobista książka ks. prof. Michała Hellera

znak

eprasa.pl f1a314a829

CZARNY DESZCZ

Na początku stycznia władze Iranu utopiły we krwi największe protesty w historii islamskiej republiki. Obiecana demonstrantom przez Trumpa pomoc dotarła po dwóch miesiącach. Uratowała reżim.

MAREK KĘSKRAWIEC



Toksyczne chmury nad stolicą Iranu po nalocie na rafinerię położoną w północno-zachodniej części Teheranu. 7 marca 2026 r.

Ta noc w Teheranie, mieście prawie 10-milionowym, przypominała apokalipsę. Izraelskie samoloty zbombardowały trzy potężne magazyny ropy oraz rafinerię pod miastem.

Huk wybuchów, ogromne słupy ognia, cuchnący spalenizną dym, a następnego poranka mroczne ciężkie chmury, z których spadł nasączony sadzą czarny deszcz – metropolia wyglądała jak plan zdjęciowy filmów katastroficznych.

Ogromne ilości uwolnionego tlenku węgla, metali ciężkich, węglowodorów, siarki i azotu sprawiły, że deszcz stał się ekstremalnie kwaśny i szkodliwy dla płuc, zwłaszcza u dzieci, astmatyków i osób starszych. Na szybach, elewacjach i maskach samochodów utworzyły się tłuste plamy. Z czasem znikły, ale woda, gleba i rośliny pozostały skażone.

Zdaniem ekspertów Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), mieszkańców stolicy Iranu czekać mogą teraz choroby układu oddechowego, skóry oraz zaburzenia krążenia, a w dłuższej perspektywie postępujący wzrost przypadków białaczki i innych nowotworów, a także problemów neurologicznych.

eprasa.pl f1a314a829

Od końca II wojny światowej nie doszło do podobnej katastrofy na tak gęsto zaludnionym obszarze.

UWIĘZIENI | Gdy służby ratownicze wciąż walczyły z pożarami, izraelski premier Beniamin Netanjahu wygłaszał kolejne ze swych oświadczeń, w których nawoływał Irańczyków do protestów i obalenia reżimu.

Jednocześnie trwały bombardowania demolujące kolejne budynki administracji państwowej, bazy Korpusu Strażników Rewolucji, wyrzutnie i ufortyfikowane magazyny rakiet balistycznych. Skala nalotów była (i jest nadal) tak wielka, że mimo precyzyjnych ostrzałów ucierpiało wiele budynków mieszkalnych oraz kilka szpitali.

– Gdy w styczniu reżim strzelał do nas na ulicach, zabijając w dwa dni tysiące ludzi, coś we mnie pękło – wspomina dni niedawnej rewolty Samaneh, 43-letnia teherańska nauczycielka, z którą rozmawiam przez WhatsApp.

– Chciałam, by ktokolwiek nam pomógł, zaakceptowałabym nawet amerykański desant z synem szacha na pokładzie – mówi Samaneh.

– Dziś czuję, jakbym była uwięziona między dwoma obozami religijnych szaleńców. Moja kamienica drży od wybuchów, słyszę huk izraelskich myśliwców nad głową, wybuchy i brzęk wybitych szyb. Teheran się zapada, a mnie jest powoli wszystko obojętne.

„PAN ZAPRAWIA MOJE RĘCE” | Tymczasem w irańskiej państwowej telewizji Samaneh widzi rozemocjonowanych generałów, którzy przywołują imiona kolejnych szyickich męczenników. Z kolei w internecie, gdy ten akurat jest dostępny, widzi zadziwiające filmy z USA: sekretarz wojny Pete Hegseth mówi o „wojnie dla Jezusa” oraz o tym, że „Pan zaprawia moje ręce do wojny” (to cytat z Psalmu 144).

Na kolejnym nagraniu prezydent Donald Trump w Gabinecie Owalnym modli się z grupą protestanckich duchownych „za nasze wojska”, a premier Netanjahu zapowiada po zwycięskiej wojnie powrót Mesjasza.

– Chciałabym się z tego koszmaru obudzić. Albo zasnąć i tak pozostać – mówi mi Samaneh.

Gdy kończymy rozmowę, irańska telewizja IRIB w pierwszej wiadomości serwisu pokazuje zniszczenia w obiektach z listy światowego dziedzictwa UNESCO: XVIII-wiecznej części królewskiego Pałacu Golestan w Teheranie oraz w XVII-wiecznym Pałacu Czterdziestu Kolumn w Isfahanie, dawnej stolicy imperium Safawidów. Potem są kolejne dwa newsy: zniszczony szpital i tłumy zwolenników władzy na ulicach.

PREZYDENT JEST ROZBAWIONY | Wśród ludzi, którzy w styczniu byli gotowi ginąć na irańskich ulicach za swoją wolność, dziś panuje przygnębienie.

Donald Trump już nic nie mówi o dzielnych Irańczykach, którym należy nieść pomoc; w jego ustach teraz to naród „terroru i nienawiści”. Prezydent USA grozi, że zbombarduje wszystkie elektrownie w kraju i sprawi, że jego odbudowa będzie „prawie niemożliwa”. Buntuje Kurdów i zapowiada zmianę granic Iranu albo sugeruje, że byłby w stanie zniszczyć cały kraj „jednego popołudnia”.

Podczas tego samego spotkania Trump komentuje też zatopienie u wybrzeży Indii irańskiego okrętu, formalnie wojennego, faktycznie prawie nieuzbrojonego. Prezydent jest wyraźnie rozbawiony, gdy stwierdza: „Zapytałem naszych wojskowych, dlaczego go nie przejęliśmy? Odpowiedzieli, że zatopienie go było zabawniejsze”.

Wraz z okrętem na dno poszło 87 członków załogi. Tego samego dnia na profilu Białego Domu pojawia się klip, w którym wojna z Iranem ukazana jest jako animowana gra w kręgle.

„CZUŁBYM SIĘ JAK ZDRAJCA” | Ten pogardliwy język i ataki na infrastrukturę cywilną sprawiły, że Irańczycy stracili ochotę na nowe protesty przeciw reżimowi ajatollahów.

Pracujący w małej firmie doradczej Peyman, który gościł mnie w Teheranie w 2009 r., podczas Zielonej Rewolucji, twierdzi wręcz w rozmowie przez komunikator, że naloty zawróciły islamską republikę znad przepaści. – Oni nie pociągnęliby już długo. Nawet moi bardzo religijni krewni byli oburzeni bezmyślnym terrorem i strzelaniem do protestujących ludzi – mówi Peyman. – Dziś jednak czułbym się jak zdrajca, wychodząc na ulicę.

W czwartek 12 marca Peyman widział na portalu X premiera Netanjahu, jak mówił do Irańczyków: „Stworzymy warunki, w których będziecie mogli przejąć kontrolę nad swym losem. Kiedy nadejdzie właściwy czas, przekażemy wam władzę”.

– Nad czym, nad ruinami? – pyta Peyman.

Gdy w Iranie wybuchła rewolta, on i jego przyjaciele zaczęli słuchać uważnie syna szacha, który z Waszyngtonu wspierał protesty, prezentując się jako emisariusz wolności, marzący o demokracji, a nie o restauracji monarchii, oraz pragnący pojednania z Żydami.

Dziś Reza Pahlavi wraz ze środowiskiem emigracyjnych monarchistów jest w oczach Peymana osobą skompromitowaną: widzą w nim oderwanego od realiów figuranta, który bezwarunkowo wsparł Trumpa i wygłasza groteskowe orędzia.

W ostatnim nakazał Irańczykom siedzieć w domach i czekać na jego „ostateczne wezwanie do walki”. – Ani razu nie wspomniał o Minab. Gardzę nim za to – mówi Peyman.

TRUMP MOŻE Z TYM ŻYĆ | Tragedia w Minab, 60-tysięcznym mieście na południu Iranu, zdarzyła się już pierwszego dnia tej wojny. Rakieta trafiła w szkołę podstawową, zabijając 168 osób, w zdecydowanej większości dziewczynek i chłopców w wieku 7-12 lat. Podejrzenia od razu padły na armię USA, która operowała na południu Iranu, Izraelczykom zostawiając zachód i centralną część kraju.

Szkoła znajdowała się niedaleko – zaatakowanej w tym samym czasie – bazy Strażników Rewolucji; jeszcze dziewięć lat wcześniej jej budynki stanowiły jej część. W dniu ataku była jednak wyraźnie oznaczona jako szkoła, od bazy oddzielało ją ogrodzenie, obok budynku było boisko dla dzieci, a na elewacji – kolorowe murale.

Zbombardowanie szkoły pełnej dzieci to zbrodnia wojenna. Media z USA twierdzą, że uderzenie w nią to pomyłka wynikająca z nieaktualnych informacji wywiadu. Można by to przyjąć, gdyby nie bezduszna reakcja władz USA.

Gdy pojawiły się pierwsze nagrania dowodzące, że w szkołę uderzyła rakieta Tomahawk, Trump wmawiał dziennikarzom, że uczniów zabiła nieprecyzyjna ↦

SASAN / MIDDLE EAST IMAGES / AFP / EAST NEWS

eprasa.pl f1a314a829

↦ irańska rakieta, a jedynymi ludźmi mordującymi dzieci na świecie są Irańczycy, którzy „obcinają im głowy, a kobiety rozrywają na pół".

Następnego dnia Trump stwierdził, że nie tylko USA mają Tomahawki. Kolejnego, gdy kongresmenom zaprezentowano wstępny raport z dochodzenia armii USA, potwierdzający przebieg zbrodni, stwierdził, że „nic o nim nie wie".



FATEMEH BAHRAMI / ANADOLU / AFP / EAST NEWS

Zabytkowy Pałac Golestan, wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, uszkodzony w atakach Izraela i USA, Teheran, 3 marca 2026 r.

Obejrzałem reportaż o tragedii w Minab. Kobieta, która straciła dwoje dzieci, mówiła, że gdy dotarła do zbombardowanej szkoły, zobaczyła inne matki, które z rozpaczy drapały ziemię, i ojców, którzy nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. „Mogę z tym żyć" – to ostatnie słowa Trumpa na temat zbrodni w Minab.

JAK SIĘ ZACZĘŁA WOJNA | Atak na Iran, w porównaniu do interwencji w Afganistanie i Iraku, jest bardzo niepopularny w USA. Może dlatego, że decyzji o nim nie podyktowały wnioski z raportów wojska, a zwłaszcza wywiadu, którego szefowa Tulsi Gabbard jeszcze przed inwazją znikła ze sceny. Może nieprzypadkowo.

Rok temu podczas przesłuchania w Kongresie oświadczyła, że Iran nie prowadzi aktywnych prac nad bombą atomową, czym rozzłościła Trumpa. Później prostowała swój „błąd", ale jej obecne milczenie jest znaczące.

Amerykanom nie wyjaśniono wiarygodnie, dlaczego do wojny doszło akurat w środku atomowych negocjacji z Iranem. Sekretarz stanu Marco Rubio tłumaczył, że skoro Izrael zdecydował o nalotach na Teheran i zabiciu Alego Chameneiego, to USA musiały się dołączyć, bo i tak zostałyby zaatakowane w odwecie.

Trump poszedł dalej, przyznając, że wysłał wojsko na wojnę po wysłuchaniu zięcia Jareda Kushnera i zaufanego Steve'a Witkoffa, którzy negocjowali z Iranem. Na tej podstawie zyskał „poczucie", że Irańczycy kłamią, są na progu uzyskania broni jądrowej i nie zawahają się jej użyć przeciw USA. Dlatego połączył siły z Izraelem i uderzył z wyprzedzeniem.

Ogromne znaczenie miała też opinia Netanjahu, który od 30 lat ostrzega USA, że Iran jest na progu uzyskania broni jądrowej. Tym razem wreszcie osiągnął swój cel.

IRAN WYSTAWI RACHUNEK | Z kolei oświadczenia Pentagonu i Białego Domu w kwestii celów operacji w Iranie od początku były niespójne; najczęściej wskazywano anihilację programu atomowego i balistycznego oraz zniszczenie floty. Po kilku dniach, mimo że reżim ajatollahów i strażników rewolucji nie rozpadł się, a nawet zablokował skutecznie cieśninę Ormuz, Trump zażądał bezwarunkowej kapitulacji.

Zażądał także swojego udziału w wyborze Najwyższego Przywódcy kraju od pół wieku wrogiego Ameryce, czterokrotnie większego i dużo silniejszego niż Irak, w zdecydowanej większości górzystego i w zasadzie niemożliwego do podbicia na drodze operacji lądowej.

Iran można wprawdzie „wdeptać w ziemię" nalotami i cofnąć w rozwoju o dziesięciolecia, choć dla samej Ameryki będzie to bardzo kosztowne (tylko pierwszych sześć dni inwazji kosztowało ponad 11 mld dolarów) i mocno ryzykowne. Ale jeśli Iran ma iść na dno, to zapewne wystawi za to całemu światu ogromny rachunek.

WOJENNE SCENARIUSZE | Już sam wybór Modżtaby Chameneiego na nowego przywódcę Iranu jest tu znaczący. Niemal cała jego rodzina – nie tylko ojciec, także matka – została zabita pierwszego dnia inwazji, trudno więc sobie wyobrazić, by dopuszczał kompromis i ograniczał zapędy dowódców Korpusu Strażników, którzy od lat są jego zapleczem i równie długo przygotowywali się do konfrontacji z USA.

Z ich perspektywy ważna jest nie tylko walka z armiami USA i Izraela, ale wywołanie ogólnoświatowego kryzysu przez wciągnięcie do konfliktu krajów arabskich na drugim brzegu Zatoki Perskiej. Atakowanie rakietami balistycznymi i dronami infrastruktury naftowej tych państw ma sprawić, by pożałowały współpracy z USA, wymogły korzystny dla Iranu rozejm odblokowujący cieśninę Ormuz, a potem usunęły bazy USA z regionu.

Silna Arabia Saudyjska zapewne przetrwa ten kryzys, jednak mniejsze państwa, jak Bahrajn, Kuwejt, Katar czy Zjednoczone Emiraty Arabskie są bardziej zagrożone. Z jednokierunkową gospodarką, delikatną strukturą społeczną, słabym i pozbawionym doświadczenia wojskiem – mogą sobie nie poradzić.

Emiraty już są na skraju upadku: opustoszały hotele, korporacje i banki zamknęły swe oddziały, wydobycie ropy i gazu oraz produkcję paliw wstrzymano. Dubaj przypomina dziś miasto duchów. Nie wiadomo, kiedy znowu stanie się rajem i czy stanie się to w ogóle.

Nie wiadomo też, jak wtedy będzie wyglądać Teheran.

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Tekst ukończono 13 marca.

eprasa.pl f1a314a829



FIORA GARENZI / HANS LUCAS / AFP / EAST NEWS

Izraelskie ataki na centrum Bejrutu. 12 marca 2026 r.

Kolor czerwieni

DOMINIK DERLICKI Z BEJRUTU

LIBAN-IZRAEL | Ponad 800 tys. Libańczyków znów musi uciekać z domów. Jak oni mam nadzieję, że będę miał dokąd wrócić, gdy przestaną spadać bomby – pisze szef misji Caritas Polska.

Pułkownik Avichay Adraee, arabskojęzyczny rzecznik armii Izraela, to dziś najpopularniejszy influencer w Libanie. Jego media społecznościowe śledzą tu wszyscy, gdyż Adraee informuje na nich z wyprzedzeniem o niektórych planowanych izraelskich nalotach i atakach.

W czwartek 5 marca Adraee zamieścił na platformie X bezprecedensowe wezwanie: do ewakuacji całego południowego Bejrutu. Patrzyłem przez kilka minut z niedowierzaniem w telefon. Wcześniejsze wezwania dotyczyły wybranych ulic czy dzielnic. Teraz całe południe Bejrutu było zaznaczone na czerwono, w tym mój dom, znajdujący się w dzielnicy chrześcijańskiej. Adraee jednym wpisem wysiedlił kilkaset tysięcy ludzi.

ULICE BEJRUTU | Chwyciłem, co się dało, i wybiegłem z budynku. Nie było sensu brać samochodu, ulice były zakorkowane, wszyscy próbowali się przedostać na północ. Libańskie służby próbowały zapanować nad sytuacją. Przeciskałem się między samochodami i starałem się robić zdjęcia. Nagle obok pojawił się tajniak w cywilnym ubraniu, który mnie wylegitymował i chciał zniszczyć mój telefon. Skończyło się na usunięciu zdjęć.

Ostatnio Libańczycy reagują nerwowo na obcokrajowców wymachujących telefonami, bo obawiają się izraelskich szpiegów. Przypomniało mi się, że gdy w 2024 r. także miały miejsce codzienne naloty na Bejrut, mój przyjaciel z Byblos zaproponował, że mogę zostać u nich w domu, aż wszystko się uspokoi. Wybrałem numer do niego.

– Cześć! Właśnie pielę z mamą ogródek i sadzimy winorośl. Wiesz, że strona mojego taty o kaligrafii arabskiej ma milion obserwujących na Facebooku? Tutaj na północy żyjemy jakby w innej rzeczywistości niż Bejrut. W Jounieh i Byblos panuje *la vie en rose* – Salim zacytował francuską piosenkę Édith Piaf, tłumaczoną na polski jako „Przez różowe okulary”.

MIĘDZY FRONTAMI | Salim zdobył wykształcenie w języku francuskim, jak wielu chrześcijan w Libanie, będącym w przeszłości terytorium mandatowym Francji. Jounieh i Byblos to nadmorskie miejscowości słynące z turystyki i zamieszkane głównie przez chrześcijan. Pierwsza leży 15 km na północ od Bejrutu, a druga niecałe 40 km.

Izraelskie ataki są wymierzone głównie w południe kraju, zamieszkane w większości przez szyitów. Jedną z dwóch partii reprezentujących szyitów w libańskim parlamencie jest Hezbollah.

Z kolei największą partią chrześcijańską są Siły Libańskie, które obarczają Hezbollah winą za wciąganie Libanu do konfliktu z Izraelem. Dla nich to irańscy agenci, którzy poświęcają Libańczyków na rzecz obcego państwa.

Wielu Libańczyków miało nadzieję, że tym razem Hezbollah nie zaangażuje się w wojnę między USA i Izraelem a szyickim Iranem, ponieważ – jako sprzymierzeniec palestyńskiego Hamasu – został już w 2024 r. zdziesiątkowany przez siły izraelskie, m.in. poprzez ciągłe naloty, zdalne zdetonowanie ładunków wybuchowych w radiokomunikatorach będących na wyposażeniu bojowników i zamach na legendarnego przywódcę partii, Hassana Nasrallaha.

Wbrew powszechnym oczekiwaniom, Hezbollah jednak stanął po stronie wieloletniego sojusznika, czym wywołał izraelskie ataki i po raz kolejny podzielił społeczeństwo. Wielu Libańczyków ma żal do partii za to, że poświęca życie rodaków w obronie obcej, irańskiej racji stanu.

Salim trafnie to podsumował: – Jeśli jesteś przeciwko Hezbollahowi i ich walce, szyici nazwą cię „syjonistycznym zdrajcą”. Jeśli przeciwstawiasz się Izraelowi i współczujesz ofiarom ataków, Siły Libańskie okrzykną cię „irańskim zdrajcą”.

LICZBY I LUDZIE | Nie miałem teraz samochodu, a drogi wyjazdowe były zakorkowane, więc musiałem odpuścić sobie Byblos i szybko zarezerwowałem ostatni dostępny pokój w hotelu w centrum Bejrutu.

Ci, których nie było stać na hotel, szukali miejsca u rodziny i znajomych. Albo zostali na ulicy, śpiąc w samochodach lub pod gołym niebem. Prawie 130 tys. osób trafiło do prowizorycznych schronisk rozsianych po całym kraju (328 z nich urządzono w szkołach). Nie ma tam nic – ani kuchni, ani łóżek, ani materacy. Wszystko trzeba dostarczyć. Część wygnańców uciekła do Syrii.

Dotąd w wyniku izraelskich ataków w Libanie straciło życie ponad 850 osób, w tym 107 dzieci, a dwa tysiące zostało rannych. Ponad 820 tys. ludzi – w pięciomilionowym kraju – musi znów uciekać z domów. Tak jak oni mam nadzieję, że będę miał dokąd wrócić, gdy na Bejrut przestaną spadać bomby. ©

Autor w latach 2016-21 uczestniczył w projektach humanitarnych w Tanzanii, Zambii i w Ugandzie. Obecnie szef misji Caritas Polska w Libanie i Syrii. 9 marca musiał ewakuować się do Polski.

eprasa.pl f1a314a829

Niepotrzebne obciążenia

BARTOSZ HLEBOWICZ

TRUMP I INDIANIE | Gdy obiecują wsparcie, deklaruje im miłość. Ale tubylczy Amerykanie widzą, że prezydent USA nie jest ich sojusznikiem. Gdy podnoszą głos w sprawie swoich praw, mści się. Jego podejście to odwrót od polityki Bidena.

Był rok 2022, gdy spółka Nature and People First wystąpiła do władz federalnych o pozwolenie na budowę trzech pompowni wodnych w rejonie Black Mesa, w północnej Arizonie. Black Mesa to część Płaskowyżu Kolorado, leżąca w obrębie rezerwatu plemienia Nawahów.

Projekt jest imponujący: ma wytwarzać prąd przez cyrkulację wody między dziewięcioma zbiornikami, które zostałyby umieszczone na różnych wysokościach na długości 50 km. Wypełnić miałaby je woda z rzek Kolorado i San Juan, a także ze źródeł podziemnych.

Jedna tylko z tych hydroelektrowni, północna, miałaby generować 5 mld kilowatogodzin rocznie. Wszystkie zbiorniki mogłyby przechowywać 500 bln litrów – to więcej niż stan Nevada pobiera z rzeki Kolorado. Energię można by sprzedawać do okolicznych miast.

Właściciel spółki, Francuz Denis Payre, obiecał Nawahom tysiąc miejsc pracy przy budowie. Jednak powiedzieli „nie". Dlaczego? Każda kropla na tej pustynnej ziemi jest na wagę złota. Bali się, że olbrzymie ilości wody, potrzebne do realizacji projektu, będą oznaczać dalsze ograniczenia dla nich.

Poza tym mają złe doświadczenia. Gdy w latach 60. XX w. otwarto w rezerwacie kopalnie węgla, prowadząca je firma przekraczała limity pompowanej wody gruntowej do płukania surowca, zmniejszając jej dostępność dla Indian.

Nawahowie: „podmioty trzecie"

Wniosek Payre'a rozpatruje Federal Energy Regulatory Commission (FERC). Komisja ta jest formalnie niezależna, ale podlega Departamentowi Energii. Za rządów Bidena przyjęła zasadę niewydawania zgód na projekty, jeśli sprzeciwiają się im plemiona, na których terenie mają być realizowane. Uzasadniono to tym, że są one najlepszymi strażnikami zasobów i wiedzą, co jest korzystne dla nich i środowiska. Wniosek Payre'a odrzucono.

O podejściu Bidena do tubylczych Amerykanów świadczy też fakt, że kierowanie Departamentem Zasobów Wewnętrznych powierzył Indiance, Deb Haaland.

Wszystko wskazuje na to, że dziś projekt znów stanie na agendzie. To Trump nominuje pięciu członków FERC. Zwykle to fachowcy, ale związani z Republikanami bądź Demokratami. Zasada jest taka, że więcej niż trzech nie może należeć do jednej partii.

W 2025 r. Trump wprowadził nowych członków do FERC i Republikanie mają w niej przewagę (3:2). Jesienią szefostwo komisji objęła Laura Swett. Tego samego dnia Chris Wright, szef Departamentu Energii (wcześniej szef firmy naftowej), wysłał do FERC list, wzywając do „usunięcia niepotrzebnych obciążeń dla rozwoju infrastruktury krytycznej (...), aby Ameryka mogła nadal dominować na światowych rynkach energii". Wymienił projekt na ziemi Nawahów i ocenił, że FERC błędnie cedowała swe uprawnienia na „podmioty trzecie", np. plemiona.

Jak dotąd komisja nie wydała decyzji. Jednak trudno się spodziewać, że będzie ona po myśli Nawahów.

Mikosucy: bagna i obóz

Porzucamy Arizonę i wędrujemy 3,7 tys. km na wschód – do Indian Miccosukee na Florydzie. W tej sprawie Trump interweniował osobiście: 30 grudnia 2025 r. zawetował rozszerzenie plemiennego terytorium Mikosuków na bagnach Everglades, które są jednym z największych subtropikalnych ekosystemów na świecie.

Ruch Trumpa był nieoczekiwany, gdyż wcześniej, w lipcu, stosowną ustawę przyjęli jednomyślnie Demokraci i Republikanie, a jej pomysłodawcą był republikański kongresmen z Florydy Carlos Giménez. Zakładała włączenie Osceola Camp – wsi Mikosuków, liczącej kilka rodzin – do „obszaru zastrzeżonego Mikosuków".

Wsi tej grożą powodzie i ustawa miała pomóc Indianom prowadzić prace chroniące (jak podniesienie ośmiu domów i 25 tradycyjnych chatek *chickee*, modyfikację systemów oczyszczania ścieków, usprawnienie studni i pomp, budowę dróg).

„W tej ustawie chodzi o sprawiedliwość i ochronę przyrody – przekonywał Giménez. – Zapewnia plemieniu Mikosuków autonomię w ochronie swych domów, ziemi i sposobu życia".

Ale od lipca wiele się zmieniło. Stan Floryda uruchomił niesławny obóz dla imigrantów, zwany „Alligator Alcatraz", a Mikosucy przystąpili do pozwu przeciw rządowi federalnemu i stanowi Floryda, wskazując, że przed budową obozu nie przeprowadzono badań środowisko-



REBECCA BLACKWELL / AP / EAST NEWS

wych wymaganych prawem. Trump i jego ludzie twierdzili, że Everglades to „niezamieszkana dzicz", gdzie „imigrantów-przestępców" będą pilnować pytony i aligatory. W istocie jest tu kilkanaście osad Mikosuków i Seminoli, jedna tuż obok obozu.

Wieś „nieautoryzowana"

Bagna mają swoją historię. W tej części Everglades przodkowie Mikosuków i Seminoli chronili się w XIX w., by uniknąć deportacji do Oklahomy, dokąd rząd USA spychał tubylcze grupy żyjące na wschód od Missisipi. Osada Osceola Camp powstała nieco później, w 1935 roku.

W listopadzie 2025 r. do zamknięcia „Alligator Alcatraz" wezwała też największa organizacja panindiańska w USA, National Congress of American Indians (NCAI), uzasadniając to tym, że należy „chronić suwerenność plemienną oraz prawo członków plemienia do dostępu do miejsc o znaczeniu kulturowym".

Kwestionując ustawę, Trump nie krył swych motywacji, zupełnie niezwiązanych z meritum sprawy. W uzasadnieniu podał, że plemię „usiłowało przeszkodzić w realizacji racjonalnej polityki imigracyjnej, za którą zagłosował naród amerykański, wybierając mnie". Dodał, że wieś Osceola Camp powstała w sposób „nieautoryzowany".

Talbert Cypress, wódz Mikosuków, odparł, że mają oni „konstytucyjny obowiązek ochrony i obrony ekosystemu Everglades, naszych ziem ojczystych", i że nigdy nie próbowali blokować imigracyjnej polityki Trumpa. Przypomniał, że poprzedni wódz plemienia, Billy Cypress, był przyjacielem Trumpa i wspierał go w jego pierwszej kampanii prezydenckiej.



Lumbee: „nowe" plemię

Jest jednak pewna tubylcza grupa, która cieszy się sympatią prezydenta. „Kocham Lumbee Tribe" – rzekł Trump trzeciego dnia swej drugiej kadencji.

Aby przenieść się z Florydy do Indian Lumbee, musimy przemierzyć 1,2 tys. km na północ: do Karoliny Północnej. Wyznając im miłość, Trump nakazał przygotowanie procedur pozwalających na pełne uznanie tej grupy za plemię. Bo jak dotąd, Lumbee nie mieli takiego statusu. Wprawdzie w 1956 r. ustawę o ich uznaniu podpisał prezydent Eisenhower, ale Kongres, choć ją zatwierdził, to wykluczył jakąkolwiek pomoc dla nich ze strony rządu federalnego.

Pełnego uznania Lumbee doczekali się 18 grudnia 2025 r., gdy Trump podpisał stosowną ustawę. Tak z dnia na dzień „powstało" jedno z największych plemion: 60-tysięczna populacja Lumbee jest pod względem liczebności na dziewiątym miejscu wśród indiańskich grup w USA.

Przeciw ich uznaniu występowały inne plemiona z tego stanu: Katawbowie (3 tys. ludzi) i Eastern Band of Cherokee (14 tys. ludzi). Jako sąsiedzi Lumbee bali się, że uznanie nowego plemienia zmniejszy przyznawane im fundusze federalne, bo teraz będą dzielone na trzy grupy.

Był też inny powód: uznane plemiona mogą na swoim terenie prowadzić kasyna. Czirokezi mają dwa, Katawbowie jedno. Lumbee żyją przy autostradzie I-95, biegnącej wybrzeżem od Florydy po Kanadę. Pod koniec stycznia kupili 100 ha w Lumberton, koło autostrady. Czirokezi i Katawbowie boją się, że Lumbee postawią tam dom gry i odbiorą im klientów.

Status za głosy?

Lumbee są potomkami różnych grup indiańskich, które w czasach kolonialnych osiedlały się w bagiennych okolicach hrabstwa Robeson, z dala od euroamerykańskiej „cywilizacji". Nie mają i nie mieli własnego języka, ich mową jest angielski. Dopiero w 1953 r. przyjęli wspólną nazwę – Lumbee, od rzeki płynącej przez hrabstwo. Do historii przeszła „bitwa nad Hayes Pond" 18 stycznia 1958 r., gdy Lumbee dali łupnia rasistom z Ku Klux Klanu.

Wioska na bagnach Everglades w rezerwacie Indian Mikosuków na Florydzie. Rice Island, lipiec 2024 r.

Stanowią 40 proc. ludności hrabstwa. Ich liderzy są przyjaciółmi Trumpa. John Lowery, wódz plemienia, jest też republikańskim kongresmenem w parlamencie Karoliny Północnej. Zastąpił w nim swego brata Jarroda, który w ekipie Trumpa został doradcą ds. Indian.

To liczebność Lumbee jest źródłem miłości Trumpa, który w czasie kampanii zapowiadał, że doprowadzi do ich uznania. Dzięki temu zyskał przychylność Lumbee. O ile wcześniej głosowali na Demokratów, w 2024 r. w hrabstwie Robeson Trump wygrał wielką przewagą.

Czas pokaże, czy Trump (kiedyś właściciel kasyn, które doprowadził do bankructwa) zechce maczać palce w projekcie kasynowym Lumbee. Muszą jednak uważać: w przeszłości Trump ostro grał z plemionami, które postrzegał jako rywali w biznesie kasynowym. Pekotów z Connecticut, właścicieli wielkiego Foxwoods Casino w Ledyard, nazywał „nieprawdziwymi Indianami", a Irokezów ze stanu Nowy Jork oskarżał o współpracę z mafią.

Kolejne fronty

Na razie ci Indianie, którzy deklarują poparcie Trumpowi, mogą liczyć na jego przychylność. Inni, gdy są przeciwni jego planom, stają się „niepotrzebnym obciążeniem". To grozi np. dwustu grupom z Alaski, u wybrzeży której ekipa Trumpa chce rozwinąć głębinowe wydobycie minerałów. Rdzenni mieszkańcy protestują w obronie swego środowiska.

W styczniu agenci ICE aresztowali kilku Siuksów – wzięli ich za imigrantów. W reakcji kilka odłamów Siuksów zakazało agentom ICE wstępu do rezerwatów. W lutym Szejenowie i Siuksowie zauważyli, że administracja federalna oznaczyła „do poprawy" pomnik bitwy nad Little Bighorn (1876 r.). Konkretnie: tę jego część, gdzie mowa o niedotrzymanych przez rząd USA obietnicach, a także o szkołach z internatem, gdzie prowadzono asymilację Indian.

Tak otwierają się kolejne fronty walki tubylczych Amerykanów z polityką Trumpa. To także opór przeciw postępującej faszyzacji Ameryki spod znaku MAGA. ©

Ten tekst dedykuję Kacprowi Świerkowi, wybitnemu indianiście, zmarłemu tragicznie w styczniu 2026 r.

eprasa.pl f1a314a829

To już są inne Niemcy

ŁUKASZ GRAJEWSKI, AUTOR KSIĄŻKI O ALTERNATYWIE DLA NIEMIEC:

AfD chętnie kapitalizuje emocjonalne tematy. Dlatego w sukcesach, które odnosi, jak w lustrze odbijają się wielkie przemiany, których doświadcza niemieckie społeczeństwo.

JACEK STAWISKI: Dlaczego akurat Alternatywa dla Niemiec?

ŁUKASZ GRAJEWSKI: W 2019 r. obserwowałem wybory landowe w byłej NRD i rozmawiałem ze zwolennikami AfD. Było dużo emocji. Zobaczyłem nie tylko wyborcę AfD z naklejką faszysty. Oni dzielili się traumami wynikającymi z transformacji po 1990 r., problemami, także w rodzinach. Jeden wyznał, że dzieci z nim nie rozmawiają, nie akceptują jego poglądów. Uznałem, że warto zajrzeć głębiej, by przynajmniej zrozumieć fenomen AfD.

Po drugie, AfD rozwija się równolegle z wielkimi zmianami w Niemczech. W Polsce nie do końca zdajemy sobie sprawę, jak wpłynęły one na niemieckie społeczeństwo: od kryzysu migracyjnego, przez pandemię i wciąż widoczny konflikt wewnątrzniemiecki wschód–zachód, po wojnę Putina. Niemcy to dziś inny kraj niż w 2013 r., gdy powstała AfD. Użyłem AfD jako „wytrychu", by opowiedzieć o współczesnych Niemczech.

Jak silne są w AfD środowiska ideologicznej skrajnej prawicy?

W Niemczech istnieje skrajna prawica, to grupy często otwarcie neonazistowskie, które nawiązują do III Rzeszy. Co ciekawe, AfD ma listę organizacji, z którymi nie współpracuje, i których członkowie nie mogą wejść do AfD. Podkreślam to, aby rozdzielić, że nawet jeżeli mówimy, że AfD to skrajna prawica, to na prawo od niej są jeszcze inne skrajności. Z drugiej strony mamy w parlamencie Partię Lewicy, którą niektórzy nazywają skrajną lewicą, a zarazem mamy na lewo od niej duży i zorganizowany ruch, Antifa itd.

Jak powstała AfD?

Zakładało ją grono profesorów, ekonomistów czy publicystów renomowanych gazet, z których większość była związana z chadecją, CDU/CSU. To nie byli ekstremiści, lecz ludzie, którzy uznali, że kanclerz Angela Merkel przesunęła chadecję ideowo za bardzo na lewo. W istocie Merkel przejęła wiele postulatów od koalicjantów z socjaldemokracji.

Z czasem do AfD przyłączało się coraz więcej innych ludzi, zwłaszcza po wybuchu w 2015 r. kryzysu migracyjnego, z kolejnymi postulatami. Wnieśli złość na niekontrolowaną falę migrantów. W efekcie to radykalne skrzydło coraz bardziej odsuwało na bok założycieli i dochodziło do coraz większej radykalizacji AfD.

Na czym ona polega?

Na łamaniu tabu, zajmowaniu skrajnych pozycji. Radykalizacja nie polega na tym, że AfD to skinheadzi, którzy biją. Partia odcina się od agresji, tu jednak jest czerwona linia.

Trzeba przyznać, że w niemieckiej debacie długo unikano krytyki różnych zjawisk, jak np. złych skutków masowej imigracji. To odbiło się czkawką, bo ludzie, którzy stwierdzali, że o pewnych rzeczach nie można otwarcie dyskutować, znaleźli swoje miejsce w AfD. Stąd po części tak duże dziś poparcie dla niej.

Wróćmy jeszcze do powstania AfD. Jaka to była wtedy formacja?

Na początku była to partia jednego tematu. Chodziło o ratowanie strefy euro podczas kryzysu finansowego. Ekonomista Bernd Lucke, jeden z założycieli AfD, polemizował z Angelą Merkel, która mówiła, że nie ma alternatywy dla wspólnego zasypywania greckich długów. Twierdził, że alternatywa jest, że Niemcy mogą wyjść ze strefy euro i wrócić do waluty narodowej. Stąd też pomysł na nazwę.

Jednak ten temat nie poniósł AfD.

W 2013 r. AfD, podnosząc ten temat, nie przekroczyła progu 5 proc. i nie weszła do Bundestagu. Niemniej Niemcy zobaczyli, że jest ruch polityczny, który mówi coś innego niż tzw. mainstream. Wielu ludziom, którzy zaczęli przyłączać się do AfD, nie chodziło już o euro. Oni w końcu znaleźli reprezentację dla siebie, dla swoich problemów, frustracji, dla swojej niezgody, że wszystko musi być wygładzone w mainstreamie polityki i mediów. Wchodzili do AfD z całym plecakiem swoich tematów.

Dlaczego chadecja poszła programowo na lewo? Co stało się z tradycyjnym chrześcijańsko-demokratycznym konserwatyzmem w Niemczech? On długo bronił się przed skrajną prawicą. Co się stało z chadecją, skoro AfD jest tak silna?

To pytanie o ocenę Angeli Merkel. Ona jest symbolem zwrotu chadecji „na lewo od centrum" w czasie, gdy rządziła. Ona podejmowała decyzje. Często mówi się, że Merkel była wielkim strategiem, świadomie kreowała rozwój Niemiec przez 16 lat urzędowania. Myślę jednak, że Merkel raczej reagowała na doraźne sytuacje czy głosy społeczne.

Przykładem atom. Chadecja nigdy nie postulowała zamknięcia elektrowni jądrowych. Gdy w 2011 r., po katastrofie w japońskiej Fukushimie, pojawił się silny odruch społeczny przeciw energetyce atomowej, duże protesty uliczne, Merkel przejęła hasło jej likwidacji. Przejęła też kwestię legalizacji związków homoseksualnych, bo widziała w sondażach, że to temat, który lepiej przejąć i zamknąć, choć to nie był postulat jej partii.

A temat imigracji?

Aż do kryzysu migracyjnego Merkel nie zajmowała się tym tematem. Stroniła od niego, nie dawała się sfotografować przy żadnym ośrodku uchodźczym. Dopiero gdy latem 2015 r. wybuchł kryzys, zaczęła wchodzić w nową rolę, znów doraźnie, reagując na to, że niemieckie społeczeństwo w pierwszych tygodniach hurraoptymistycznie witało przybyszy. Znów nie słuchała polityków z CDU i bawarskiej CSU, lecz wzięła za swoje postulaty już nawet nie SPD, ale wręcz Zielonych.

eprasa.pl f1a314a829



PHILIPP VON DITFURTH / DPA / PAP

„Nasze ulice powinny być piękne" (czytaj: wolne od brudasów) – plakat Markusa Frohnmaiera, lidera AfD w wyborach landowych w Badenii-Wirtembergii, które odbyły się 8 marca. Na zdjęciu miasteczko Lahr koło Fryburga, gdzie AfD dostała 30 proc. głosów – o jedną trzecią więcej niż w całym tym landzie.

Długoterminowo uruchomiła procesy, które teraz się mszczą. Świadczy o tym przecież korekta obecnego kanclerza Friedricha Merza, który w wielu tematach próbuje przybliżyć chadecję do centrum.

Gdzie konkretnie?

W ciągu prawie roku, jaki minął od objęcia urzędu przez Merza, zmieniło się znacznie podejście do kwestii migracji. Są w końcu kontrole na granicach. To tak naprawdę symbol na użytek wewnętrzny, że my już nie wpuszczamy wszystkich. Jest dyskusja, by dokonać reformy socjalnej, tak aby było mniej zasiłków dla migrantów.

Merz rzuca też hasło ważne dla elektoratu konserwatywnego, że musimy podwinąć rękawy i znów więcej pracować, że nasz przemysł musi stanąć na nogi, bo mamy silną konkurencję na świecie. To zasadnicza korekta kursu chadecji. Jednak w sondażach Merz i jego koalicyjny rząd z SPD mają dziś gorsze wyniki niż Olaf Scholz, który był fatalnym kanclerzem, jeśli idzie o jego wizerunek.

Merz zapewnia, że nie będzie współpracować z AfD. To się może zmienić?

Dam przykład. Rok temu, w trakcie kampanii przed wyborami, chadecja jeden raz zdecydowała się w Bundestagu zagłosować razem z AfD w sprawie zaostrzenia polityki migracyjnej. Po tym głosowaniu kilkaset tysięcy ludzi wyszło na ulice, protestując przeciw tej decyzji chadecji. Chadecja straciła wtedy w sondażach i od tego czasu wróciła do polityki „kordonu sanitarnego". Oznacza ona, że nie głosujemy razem z AfD, nie prowadzimy z nią wspólnych działań politycznych.

Trudno sobie wyobrazić, aby Merz stał się ojcem nowego podejścia chadecji do AfD. To ma uzasadnienie, skoro już raz przejechał się na wspólnym głosowaniu. Z drugiej strony ułatwia to AfD podkreślanie: zobaczcie, chadecy znów są w koalicji z socjaldemokratami, wchodzą we wspólne projekty z Zielonymi, zdarza im się głosować razem nawet z Partią Lewicy, tylko z nami nie chcą współpracować dla dobra Niemców.

A jeśli wyborcy zaczną się domagać takiej współpracy? W USA elity Partii Republikańskiej nie znosiły Trumpa, ale wyborcy Republikanów przeszli do jego obozu.

Byłbym ostrożny w porównywaniu niemieckiej polityki do amerykańskiej, bo jednak w USA jest dużo większa otwartość na to, co w biznesie nazywa się innowacją destruktywną – taką, która burzy cały dotychczasowy porządek. Niemcy jako społeczeństwo są nastawione na kompromis i ewolucję, co przekłada się na działania polityczne. Tu wyborcy nie chcą radykalnych zmian. Wprawdzie AfD miewa dziś w sondażach 25 proc. poparcia, ale to oznacza również, że trzy czwarte odrzuca jej radykalizm.

Jednak w byłej NRD to poparcie sięga 40 procent.

Co może być wielkim testem dla całego układu politycznego w Niemczech, to tegoroczne wybory landowe na wschodzie, w Saksonii-Anhalt i Meklemburgii-Pomorzu Przednim. Istotnie sondaże dają tam AfD prawie 40 proc., co oznacza, że jest blisko granicy samodzielnych rządów. Samodzielne rządy AfD, nawet na poziomie landowym, to byłby szok i rewolucja, zerwanie z dotychczasowym porządkiem politycznym.

Dlaczego?

Niemcy są państwem federalnym, rząd landowy decyduje np. o edukacji. Samodzielne utworzenie rządu landowego przez AfD w Magdeburgu czy Schwerinie oznaczałoby, że w skali całego kraju może dojść do masowych protestów. One mogą się różnie skończyć, mogą uruchomić te skrajności z lewa i prawa, o których mówiliśmy, a które są skłonne sięgać po przemoc. W efekcie jeden land może uruchomić nieprzewidywalne zjawiska dla całego kraju.

Dodam, że w przypadku Niemiec warto patrzeć także na historię: zanim NSDAP przyjęła władzę w całych Niemczech, na początku lat 30. XX w. zaczęła rządzić w Turyngii. Z tego landu zrobiła laboratorium dla polityki narodowosocjalistycznej, przygotowując się do tego, co stało się później.

Dlaczego AfD jest tak silna we wschodnich Niemczech?

AfD jest tam partią masową. Nie tylko za sprawą imigracji i sytuacji gospodarczej oraz demograficznej. AfD oferuje ideę „wstawania z kolan", bazując na wciąż żywym bólu fantomowym ↦

eprasa.pl f1a314a829

↦ po transformacji, która miała miejsce po zjednoczeniu Niemiec. Likwidowano masowo miejsca pracy, zakłady przemysłowe kupili zachodni biznesmeni, co aktywniejsi uciekli stąd. Politykom z dawnych Niemiec Zachodnich wydawało się, że starczy dać ludziom zasiłki, wyremontować drogi i jakoś to się rozejdzie po kościach.

Wraz z powstaniem AfD nagromadzona frustracja wśród ludzi z byłej NRD eksplodowała. AfD była pierwszą partią, która politycznie zagospodarowała te emocje. Powiedziała: zostaliście doświadczeni przez los, nikt się wami nie martwił, dopiero my was dowartościujemy.

Ostatnio AfD uzyskuje jednak dobre notowania także w zachodnich landach.

Długo mówiło się, że AfD to przede wszystkim problem na wschodzie. Dziś widać, że to już zjawisko ogólnoniemieckie. Np. o ile w centrum Berlina ludzie pewnie nienawidzą AfD, to jest też cała otulina Berlina, głównie od wschodniej strony, wielkie blokowiska, tam poparcie dla AfD jest bardzo wysokie.

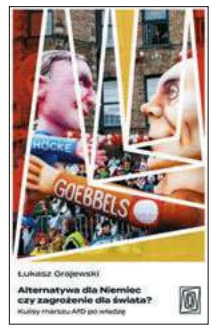
W niedawnych wyborach w Badenii-Wirtembergii, które miały miejsce 8 marca, uzyskała prawie 19 proc. i zajęła trzecie miejsce, po Zielonych i CDU, a przed socjaldemokratami. Skąd taki sukces w tym typowo zachodnim landzie?

To nie jest zaskoczenie. Na takie poparcie AfD może liczyć dziś na całym zachodzie Niemiec. Uderzające jest jednak, że wyborcom z Badenii-Wirtembergii, którzy poparli AfD, nie przeszkadza tak kontrowersyjna postać jak Markus Frohnmaier, który jest tam jej twarzą. Od początku swej kariery zabiegał on o dobre relacje z przedstawicielami Kremla. Nigdy nie wytłumaczył się z oskarżeń o współpracę swego asystenta z rosyjskimi służbami.



JACEK TARAN

ŁUKASZ GRAJEWSKI (ur. 1985) był przez wiele lat korespondentem „Tygodnika Powszechnego" w Niemczech, obecnie pracuje w ambasadzie RP w Berlinie. W Niemczech mieszka od prawie dekady.



W wydawnictwie Szczeliny właśnie ukazała się jego książka „Alternatywa dla Niemiec czy zagrożenie dla świata? Kulisy marszu AfD po władzę".

W Polsce powszechne jest przekonanie, że AfD to partia prorosyjska.

AfD się z tym nie kryje. To partia prorosyjska. O ile od lutego 2022 r. w niemieckiej polityce ma miejsce zasadnicza korekta podejścia do Rosji – bo wcześniej na Rosję orientowały się nie tylko elity SPD, także chadecja uważała, że trzeba z nią współpracować – o tyle AfD cały czas przekonuje, że należy jak najszybciej wrócić do robienia wspólnych biznesów z Rosją. W programie AfD mowa jest o wznowieniu Nord Stream. Wielu ludzi z AfD ma kontakty z Rosją, także ze służbami rosyjskimi.

To nie jest już tylko kwestia azymutów polityki zagranicznej, ale naprawdę podejrzanych kontaktów. Wyborca niemiecki powinien zadać sobie pytanie, na ile partia, która tak mocno akcentuje narodowy interes Niemiec, staje się narzędziem obcego imperium. Np. AfD zgłaszała szereg interpelacji w Bundestagu dotyczących dostaw sprzętu wojskowego na Ukrainę, aby je opóźnić. Wiemy z maili, które wyszły na jaw, że takie działania były inicjowane przez rosyjskie służby.

Jaki AfD ma stosunek do spraw polskich?

Ambiwalentny. Powiedziałbym nawet o braku jasnego stanowiska wobec Polski. Podczas jednej z rozmów z politykiem AfD, gdy skończyliśmy już główne tematy, zaczął się przy mnie głośno zastanawiać, jak by tu podejść do polskich partii, z którą współpracować. Na końcu powiedział: musimy zacząć tworzyć jakiś program związany z Polską. Widać, że dotąd AfD mało interesuje się Polską.

Co dla nas może być powodem do niepokoju: AfD stała się reprezentacją grup ziomkowskich, potomków rodzin wypędzonych z Ziem Zachodnich i Północnych. W Polsce, jak i w Niemczech była nadzieja, że ten temat naturalnie zniknie, że dojdzie do zmiany pokoleniowej i już nikt nie będzie zajmował się kwestią granic i byłych ziem niemieckich. Jednak ona wraca. Także w mediach społecznościowych – tu w jakiś taki zwulgaryzowany, uproszczony sposób, gdzie np. pokazywane są stare granice niemieckie.

Dotąd eksponowanie tego było w Niemczech tematem tabu. Jeśli teraz wróci, jeśli kolejne pokolenia będą się tym interesować, to łatwo można sobie wyobrazić, że zainteresuje się nim także AfD, która chętnie kapitalizuje nośne tematy. Żebyśmy przypadkiem nie obudzili się za parę lat z partią rządzącą w Niemczech, która głośno artykułuje rewizjonistyczne kwestie.

©℗ Rozmawiał JACEK STAWISKI

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

POZNAŃ, poniedziałek, 23 marca, godz. 17.30, parafia pw. św. Jana Vianneya, ul. Podlaska 10, „Wspólnota jako work in progress...", spotkanie autorskie z ks. Bartoszem Rajewskim. Spotkanie moderuje dziennikarz i reporter Stanisław Zasada.

ZIELONA GÓRA, czwartek, 26 marca, godz. 19.00, Klasztor Franciszkanów, sala katechetyczna ul. Kilińskiego 5, Katecheza wielkopostna „Misja chrześcijan w III Milenium". Prowadzenie o. Stanisław Jaromi.

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

eprasa.pl f1a314a829

OLGA

Drenda: *Co może królik*



Jeśli tylko mam chwilę i możliwość, staram się dowiedzieć, co nowego u pewnego królika. Królik ma wielki apetyt, sporo animuszu i przypomina nieco okrąglutkie, toczone zabawki pana Manitiusa, przedwojennego warszawskiego wytwórcy drewnianych cudowności. Ale sam fakt, że o nim wiem, że śledzę o nim wieści, i wreszcie jego charakterystyczna sylwetka – to wszystko rezultat dwóch wydarzeń. Jedno z nich uderza w ten przycisk w głowie, który przypomina, że w oprogramowaniu człowieka znajduje się także tryb „bezinteresowne bestialstwo". Drugie zaś, zupełnie odwrotnie, przypomina, że są i jego rewersy: odpowiedzialność, gotowość do pomocy i cierpliwa praca.

Królik Marcyś został strasznie okaleczony i porzucony w krakowskim parku przez kogoś, kto – co w takich przypadkach rzadkie – został zidentyfikowany i zatrzymany. Został też, na wielkie szczęście, znaleziony przez nieobojętną Krakowiankę na tyle szybko, by dało się mu udzielić pomocy. Dziś wraca do siebie w nowym domu, i choć nie wiadomo jeszcze, w jakim stopniu uda się trwale ustabilizować jego stan, zdumiewa swoją czystą, stężoną wolą życia. Na szczęście swoje i nie tylko, bo jego historia widocznie wydobyła coś w ludziach.

Jestem od lat miłośniczką królików (choć, niestety, nie mam żadnego) i śledzę pilnie wiadomości okołokrólicze. Widzę, że sprawa Marcysia ujawniła kilka zjawisk.

Po pierwsze – od tego zacznijmy, bo to element krzepiący, radosny – wielu ludzi jest gotowych spieszyć z pomocą, jedynie wcześniej nie wiedzieli, że można. Marcyś otrzymuje w prezencie paczki siana (bo to właśnie zielenina, nie marchewka jest podstawą króliczej diety) i odręcznie pisane listy.



OLGA DRENDA

Niech żyje wola życia

Po drugie, uświadamia wielu ludziom królicze potrzeby. Skala porzuceń tych zwierząt w parkach, na klatkach schodowych, na trawnikach jest niemała; do właściwych organizacji regularnie dostarcza je straż miejska. Królik jest zwierzęciem towarzyszącym, żyjącym około dziesięciu lat i mimo milutkiej powierzchowności – czasem charakternym, wymagającym sporej wyrozumiałości. Wielu dowiedziało się o tym dopiero po raz pierwszy, choć w tak drastycznych okolicznościach.

Wreszcie – absurdalna, niezrozumiała podłość skierowana wobec małego królika sprawiła, że dziwnie ucichli cynicy, którzy zazwyczaj na wieść o krzywdzie zwierząt czują dziwne podniecenie i spieszą, by leczyć bliźnich z rzekomej naiwności. Nie mogą żyć bez przypominania, że są ważniejsze sprawy na świecie niż jakiś królik. Kochają demonstrować bezduszną postawę, bo twierdzą, że dzięki temu wręczają innym niezbędną pigułkę gorzkiej prawdy – żeby nie było im przypadkiem za wesoło. Nie przychodzi im do głowy, że sami żyją w fałszu, tylko nieco innym – nie pokolorowanym na różowo, a z nałożonym filtrem *à la* film „Joker".

Zawsze przypomina mi się w takich sytuacjach anegdota, którą mógłby napisać staromodny satyryk, lecz przyniosło ją samo życie. Pewien człowiek uwielbiał być wyręczany we wszystkim przez swoich bliskich i uważał, że należy mu się to z tytułu samego istnienia; wrobił szereg ludzi w usługiwanie mu, sam jednocześnie nie robiąc dla nich absolutnie nic poza dyrygowaniem. Oczywiście tak to wyglądało dla chłodnego zewnętrznego obserwatora (i zmęczonych bliskich), bo człowiek ten był przekonany, że akurat bardzo się poświęca i czyni, co może.

Zapytany, na czym polega jego zaangażowanie, odpowiedział zupełnie poważnie, z samego środka swojego podniebnego poczucia wyższości moralnej: „No jak to? Martwię się".

Pomyślmy zatem o nieszczęśnikach, którzy swoim martwieniem się dźwigają (we własnym mniemaniu oczywiście) na udręczonych głowach cały świat. Niechże dźwigają, skoro ich krucha miłość własna tak tego potrzebuje. Realna pomoc doskonale się bez martwienia obchodzi. Wymaga za to wysiłku zatrzymania się i zwrócenia uwagi: czy ten dziwny kształt na trawniku to nie porzucony królik, czy niezbornie zachowujący się człowiek na przystanku akurat nie dostał udaru, dlaczego znajomy, którego imię przypadkiem przemknęło nam przez głowę, tak dziwnie ucichł. To uważane przez cyników za „naiwne" reakcje, chęć obrony bezbronnego, oburzenie podłością – są godne ochrony, bo pozwalają robić to, co trzeba. I to faktycznie robić, w namacalnym, istniejącym, prozaicznym realu. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl f1a314a829

Rozmowa
na Wielki Post (5)

WIARA

RACHUNEK WDZIĘCZNOŚCI

MARIA MAJ, AKTORKA:

Na różnych etapach życia łapałam się czegoś, co byłoby większe ode mnie. Moja duchowość formowała się przez doświadczenia.



MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl f1a314a829

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jak to jest zastąpić Ewę Dałkowską?

MARIA MAJ: Mówisz o spektaklu „Kofman. Podwójne wiązanie"? Poprosiła mnie o to reżyserka Kasia Kalwat. Akurat w moim teatrze, Rozmaitości, miałam wolne. Dla starych aktorów własny teatr zawsze stoi na pierwszym miejscu. To była propozycja z Teatru Nowego. Zabrałam się za czytanie sztuki i podjęłam decyzję, że gram. Tyle że ze słuchawką.

To jest duża różnica?

Ze słuchawką sufler cały czas podaje do ucha kwestię, a aktor za nim powtarza. Propozycja przyszła w poniedziałek, we wtorek rano była próba generalna, w czwartek premiera. Nie dałabym rady nauczyć się całego tekstu w jedną noc.

Zastępstwo w ostatniej chwili?

Ewa na próbie generalnej przewróciła się i została przewieziona na SOR. Zadzwoniłam wtedy do niej, rozmawiałyśmy. Teraz, gdy gram tę postać, czuję, że ona jest na scenie. Czasem do niej zwracam się: „Ewcia, Ewcia, pomóż, pomóż, proszę cię".

Pomaga?

A jakże. Śmierć Ewy była dla nas wszystkich szokiem. Chorowała, była słaba, nie mówiła o tym nikomu. To był znakomity człowiek, charakterny. I fenomenalna aktorka – wszechstronna, wykształcona. Odważna. Gotowa machać starym biustem na ekranie, jak to zrobiła w „Body".

Nie każda aktorka to zrobi?

Ja bym nie zrobiła.

Ty nie?

Ćwierć wieku temu była we mnie jeszcze odwaga. W „Bachantkach" grałyśmy – Magda Kuta, Staszka Celińska i ja – pomalowane na różne kolory. Kiedyś miałyśmy występować w Antwerpii. Jak jesteśmy na wyjeździe, to przychodzi ochota, by przekroczyć jakąś granicę. Rozmawiamy z Magdą, że trzeba się trochę bardziej rozebrać. Reżyser – Krzyś Warlikowski – był zachwycony pomysłem. Nie wiemy tylko, czy Staszka się zgodzi. A Staszka na to: „Dziewczynki, musicie obejrzeć ten mój biust, bo ja nie wiem, czy on się nadaje". Oczywiście, że się nadawał.

Ewa Dałkowska przychodziła na próby mimo ciężkiej choroby. To aktorski etos?

Podobno Ewa na SOR-ze powiedziała; „Panie doktorze, ale ja muszę grać, ja mam premierę".

Też byś tak mówiła?

Bez przesady. Całe życie jest dla mnie interesujące, niekoniecznie tylko granie. Aktorką jestem prawie 60 lat i jednak trochę czuję się tym zmęczona. Poza tym nie mam temperamentu gwiazdy, raczej jestem bachantką. Istotniejsze są spotkania, przygody, wyzwania niż potrzeba bycia w świetle, na scenie, przed kamerą.

Naprawdę mogłabyś żyć bez aktorstwa?

W latach 90. jako aktorka nie miałam zbyt wielu propozycji. Z całym zespołem Janusza Wiśniewskiego przenieśliśmy się z Poznania do Warszawy. Graliśmy, ale wciąż nie starczało na życie, musiałam dorabiać. Janusz Stokłosa zaproponował mi wtedy posadę sekretarki w Teatrze Buffo, za co będę mu zawsze wdzięczna. Oficjalnie to się nazywało, że jestem asystentką Stokłosy w wydawnictwie muzycznym. I ja się w tym sprawdzałam, ba, nawet mnie to bawiło. Co prawda raz przelałam dwa tysiące złotych zamiast dwustu, ale na szczęście trafiłam na uczciwych ludzi i pieniądze zwrócili.

Na asystentkę to się kompletnie nie nadawałaś.

Ciągle dowiaduję się czegoś nowego o sobie. Jak mówi Sarah Kofman, cytując samego Sartre'a: „Jestem tym, kim nie jestem, i nie jestem tym, kim jestem".

Jaka była Warszawa lat 90. dla aktorki?

Tej z prowincji? Nieprzyjazna. Kiedy dla Warszawy opuszczałam Poznań, koledzy mówili, że to szaleństwo. Jechałam w nieznane: nie miałam mieszkania, znajomości. Nic nie miałam.

Miałaś imponujący dorobek: grałaś ważne role u Tomaszewskiego, Lupy, Grabowskiego, Cywińskiej...

Ale kto w Warszawie słyszał o Henryku Tomaszewskim, z wyjątkiem garstki teatrologów i paru krytyków? Tu obowiązywały inne kryteria. Trzeba było grać w filmach, serialach, teatrze telewizji. Prowincja w tym czasie nie za bardzo się liczyła, tylko najwięksi zapaleńcy jeździli na spektakle do Wałbrzycha, Jeleniej Góry, Kalisza czy nawet Wrocławia i Poznania. W Warszawie musiałam zaczynać wszystko od nowa.

I jak to się robi?

Ciężko. Potrzeba dużo samozaparcia, wysiłku i być gotowym na poniesienie rozlicznych strat.

Tobie się udało: od lat praktycznie nie schodzisz z planu i sceny. I zarażasz entuzjazmem.

On mnie prowadzi przez życie. Jest tak, że ja się w twórcy zakochuję. Staję się fanką, podziwiam dzieło, chcę pracować z tym człowiekiem. I udaje mi się. Ale kiedy widzę, że współpraca się wyczerpuje, formuła już się nie sprawdza, to odchodzę. Wolę iść dalej, rozwijać się. Pod tym względem jestem interesowna. A tym interesem jest robienie dobrej sztuki.

Co jeszcze jest interesem?

Poszukiwanie sensu.

Jak?

Spójrz na te książki leżące w przedpokoju. Rozdaję je, bierz, jak coś cię interesuje. Jest Prokopiuk, Jung, Cioran, Eliade, Uspieński, Tischner... To dobrze obrazuje moją ścieżkę duchową. Tu gnoza, tam ezoteryka, tu psychoanaliza, tam chrześcijaństwo. Na różnych etapach życia łapałam się czegoś, co byłoby większe ode mnie, jakiejś idei, która objaśniałaby mi świat, nie tylko ludzki.

A teraz czytam kryminały. To wszystko mi przeszło.

Nie wierzę.

Wiesz, że ja nawet przez trzy lata byłam buddystką? Chodziłam do sanghi, medytowałam. W buddyzmie tybetańskim wizualizuje się różnych świętych, no to, proszę ciebie, mnie się pokazywały Jezuski i Matki Boskie. Moja matka ofiarowała mnie Matce Boskiej Gromniczej ↦

MARIA MAJ (ur. 1948) jest aktorką, od lat w zespole TR Warszawa. Zagrała m. in. w filmach „Wszystkie nasze strachy" i „Grzyby" oraz serialach „Planeta singli" i „Wielka woda".

eprasa.pl f1a314a829

↦ i dała na imię Maria, więc co zrobić? Stwierdziłam jednak, że buddyzm to nie mój świat, wychowałam się w innej kulturze. I powróciłam do chrześcijaństwa. Choć poza instytucją Kościoła i tym wszystkim, co się w niej okropnego wyczynia. Przez jakiś czas prowadził mnie Richard Rohr, franciszkanin. Czytałam jego „Prostotę. Sztukę odpuszczania" , „Rzeczy ukryte"... Mam do niego słabość, może dlatego, że św. Franciszek jest dla mnie wiarygodnym świętym. A poza tym moją duchowość formowały życiowe doświadczenia. Choroba i śmierć córki to przekroczenia zmieniające myślenie.

Jak to dźwignęłaś?

Śmierć Kasi była już wyzwoleniem, ale sama choroba to straszne doświadczenie. Patrzysz, jak cierpi twój najbliższy człowiek, i nie możesz pomóc. Samo odchodzenie Kasi trwało trzy miesiące, nie wiadomo było, ile to potrwa. Każdy dzień był wyzwaniem. Żyłam między teatrem a Kasią. A na tym ostatnim odcinku jej życia porozumiewałyśmy się już tylko gestami, spojrzeniami... Słowa nie były potrzebne. Ja byłam przy Kasi. A przy mnie byli przyjaciele.

Ci z teatru?

Okazywali mi serdeczność, pomagali, jak mogli. Adaś Woronowicz chyba nawet nie miał świadomości, że to robi. Może dlatego, że inni trochę się ze mną cackali, nie za bardzo wiedzieli, jak rozmawiać, o co zapytać. A Adaś był konkretny, bezpośredni, nie bał się konfrontacji. Trzy tygodnie po śmierci Kasi powiedział coś, czego dokładnie nie pamiętam, ale co wywołało we mnie szloch potworny. Wyłam nieludzkim wyciem. I poczułam ulgę, jakbym kłąb bólu z siebie wyrzuciła. Bo wcześniej nie było czasu na jakiekolwiek przeżycie. Choroba, pogrzeb, stypa. Musiałam to wziąć na klatę.

By się nie rozsypać?

Odkąd pamiętam, sama wszystko organizowałam. Kiedy wyszłam za mąż – a byłam młodziutka i naprawdę niewiele wiedziałam o życiu – to sądziłam, że wszystko się samo zorganizuje. Jakoś to będzie... A okazało, że nic się nie zorganizowało, tylko ja musiałam to organizować. Mieszkanie, łączenie aktorstwa z rodzicielstwem. Kasię urodziłam dość wcześnie i prawdę powiedziawszy, nie bardzo

Moja matka ofiarowała mnie Matce Boskiej Gromniczej i dała na imię Maria, więc co zrobić? **Wróciłam do chrześcijaństwa.**

byłam gotowa na macierzyństwo. Podobnie było z moją mamą, która wcześniej urodziła mnie. Kasia też zrobiła to samo. Kiedy urodziła swoją córkę, powiedziała: „Daję ci lepszą mnie".

Co to właściwie znaczyło?

Nie miałyśmy łatwej relacji. Kasia nie mogła mi darować wyjazdu z Jeleniej Góry. Miała 8 lat, a ja wyrwałam ją ze środowiska, z domu pełnego ludzi. Ona czuła się tam wolna i szczęśliwa. Przeniosłyśmy się do Opola, gdzie miał powstać Teatr Pokolenia. Guzik z tego wyszło. No właśnie: mnie wiódł entuzjazm.

Entuzjazm równa się ryzyko?

Mnie też ciężko było opuścić Jelenią Górę, przecież to tu zagrałam w sześciu spektaklach u mojego ukochanego Tomaszewskiego. Tam też Krystian Lupa stworzył swoją „utopię". Z teatru praktycznie nie wychodziłam, żyłam w nim i nim.

A Opole?

Pierwszy szok: mieszkamy w bloku. Drugi: brak towarzystwa. Trzeci: jeśli w Jeleniej Górze byłam królową, to w Opolu byłam aktoreczką prowincjonalną. A kiedy Kasia już się do Opola trochę przyzwyczaiła, miała krąg znajomych, to po dwóch latach pojechałyśmy do Poznania. I znowu to samo: wchodzenie w nowy świat. Kasia nie mogła się w tym wszystkim odnaleźć. Coraz trudniej było nam się dogadać. Tylko krzyczałyśmy, każda forsowała swoją rację. To było nieznośnie.

Udało się?

W pewnym momencie zaczęłyśmy pisać do siebie listy. Emocje opadały, powoli zaczęło się między nami układać. A potem Kasia sama została mamą, miała problemy z własnymi dziećmi. Szczególnie ze starszą córką, która teraz jest ideałem. Więc nie o naszej relacji, tylko o jej kłopotach rozmawiałyśmy – co zrobić, jak zaradzić. Choć, prawdę powiedziawszy, ja zawsze obwiniałam się za każde niepowodzenie, błąd. No i niestety przekazałam to mojej córce. Kasia, która była obdarzona wspaniałym poczuciem humoru, w trudnych chwilach mówiła: „Boże, i nawet to moje ukochane poczucie winy mnie opuściło".

Ono wszystkie nas zamęcza.

Gdyby Kasi udało się wyjść z tej choroby, to miałabym teraz najwspanialszą córkę na świecie. Bardzo mi jej brakuje.

Największa utrata, jakiej człowiek może doświadczyć.

Przez chorobę i śmierć Kasi nabrałam innego stosunku do życia i do śmierci. Nie, nie powiem, że jestem pogodzona z czymś, z czym trudno się pogodzić. Wokół tylu ważnych ludzi odchodzi. Jadzia Jankowska-Cieślak umarła trzy miesiące przed Ewą Dałkowską. To aktorki z mojego pokolenie. Pewien świat się kończy... Ale trzeba iść dalej.

Działać?

Nie poddawać się. Można zgrzybieć, zgorzknieć, usiąść i narzekać. Ale po co? Ile zostało ci życia? Wiesz, ja nadal jestem pełna entuzjazmu. Tak samo jak Joasia Braun, znakomita scenografka i moja przyjaciółka – ten entuzjazm nas scala. Joasia, ze względu na to, że jest odrobinę starsza, stała się moją mistrzynią i przewodniczką, której słucham. Ona nie wyprzedza mnie o 100 km, tylko o parę kroków, więc mogę za nią nadążyć. Dwa razy w tygodniu dzwonimy do siebie wieczorem i rozmawiamy: o jej wystawach, o moich sztukach, o przeczytanych książkach, o spotykanych ludziach. I mam ogromną wdzięczność do ludzi, nawet tych, z którymi nie utrzymuję już kontaktu, bo mieliśmy jakiś spór i coś się rozpadło, urwało. Ale przecież na którymś odcinku życia los nas połączył.

Od zawsze tak myślisz?

Z czasem złagodniałam, jest we mnie więcej wyrozumiałości. Mam mniej pretensji nie tylko do ludzi, ale i do siebie. Trzy, może cztery lata temu nawet się polubiłam. Przed zaśnięciem robię rachunek sumienia, że dumna jestem na-

eprasa.pl f1a314a829



LESZEK STRZELEC / ARCHIWUM MARII MAJ

Maria Maj z Henrykiem Tomaszewskim podczas próby przedstawienia „Protesilas i Laodamia", Jelenia Góra, lata 70.

wet z jakichś drobiazgów. Ale jak w tym rachunku myślę, że jestem wdzięczna komuś, to zaraz się upominam: hola, hola, przede wszystkim sobie samej jestem wdzięczna... Przeszłam jakby na drugą stronę z tej pokory, poczucia, że jest się niepraktyczną bidą, bo nie prowadzę samochodu, nie mam willi pod Warszawą.

Już Cię widzę w tej willi.

Kiedyś z moją koleżanką gadałyśmy przy winie i ona w pewnym momencie wypaliła: „Bo ty jesteś lepsza ode mnie". Ja na to: „To ty przecież jesteś lepsza ode mnie". No i uzgodniłyśmy to, że obie jesteśmy lepsze. Bo ona stworzyła dom, a ja z kolei mam wspaniałą pracę. Każda z nas podziwia u drugiej to, czego sama nie ma.

Nie da się mieć wszystkiego?

Im wcześniej sobie to uświadomisz, tym mniej czasu stracisz.

Ciekawią mnie jeszcze te Twoje spotkania z ludźmi.

Przykład z Anią Dymną dobrze pokazuje, jak działa taki łańcuszek. Przez ponad rok grałyśmy w serialu „Licencja na wychowanie". Całkiem to było fajne, potem nas wygryzła „Rodzinka.pl". Ania kiedyś mówi: „Maja, może byś przyjechała do Krakowa, do Salonu Poezji, prowadzę go w Teatrze Słowackiego. Teraz planujemy czytanie wierszy wielkopostnych". Ja na to: „Ale ja od dawna jestem poza Kościołem, nie wiem, czy powinnam. Poza tym, jak czytam wiersze, to płaczę. Więc w ogóle się nie nadaję". Ania: „To dobierz sobie kogoś i przeczytajcie w dwójkę". Ja: „Dobra, to zrobię to z Adasiem Woronowiczem, który też jest człowiekiem wierzącym". Poprosiłam jeszcze Tomka Cyza: „Przygotuj mi jakieś heretyckie wiersze, ale takie duchowe". Tomek podsunął mi Różewicza, Adaś zaś wybrał głęboką poezję krzyża.

Zrobiliśmy próbę, poprosiliśmy Magdą Kutę, by powiedziała, czy to, co robimy, jest w porządku. Ale co ja zaczynam czytać wiersz, to płaczę. I Magda też płacze. Trudno, jest jak jest, jedziemy do Krakowa. Pełna sala, sporo sióstr zakonnych, które przyszły na Adasia, bo on kiedyś grał Popiełuszkę. Czytamy. Ja oczywiście płaczę. Patrzę: Adaś też płacze. Potem mi mówi: „Majka, my byśmy teraz mogli zrobić trasę z tymi wierszami po wszystkich plebaniach i kościołach Małopolski".

Specjalnie mnie rozśmieszasz.

Pytałaś mnie na początku, jak to jest przejąć rolę po Ewie Dałkowskiej. Wiesz, myśmy się spotkały na scenie, grałyśmy w „Dybuku" Krzyśka Warlikowskiego. Z tym spektaklem byłyśmy w Edynburgu, Jerozolimie, Bukareszcie, Rio, Francji... Z Ewą lubiłyśmy się z racji wieku, ale też łączyło nas podobne poczucie humoru. I z Ewą dobrze się grało, ona była na scenie partnerką. Bo istnieje typ aktorów tak przejętych sobą, że nie zważają na kolegów. A w graniu zespołowym kluczowe jest zaufanie, uwaga, współpraca.

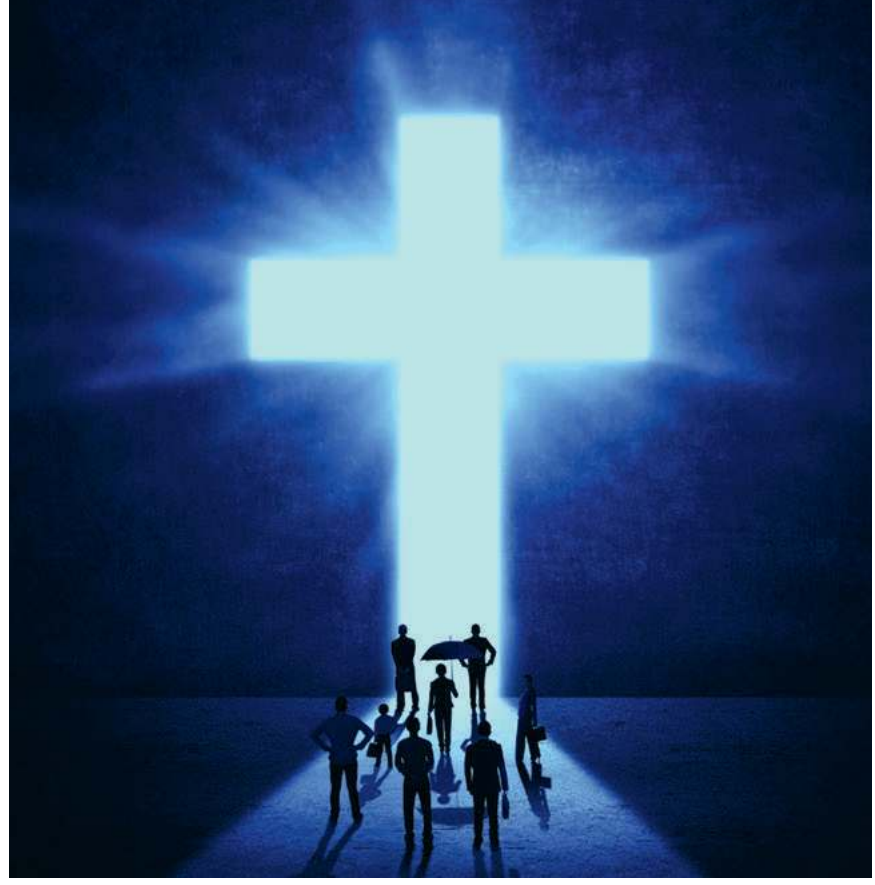
Nie wiem, czy ja bym mogła pracować w zespole, w którym aktorzy nie łapią ze sobą kontaktu. A w samym „Kofman" gra wspaniała Maja Ostaszewska, którą znam od jej szesnastego roku życia. Więc łączy nas szczególny rodzaj więzi. Umocniony i tym, że w „Kofman" gramy matkę i córkę. W „Bziku tropikalnym" też grałyśmy matkę i córkę.

Niebywałą aktorką jest też Małgosia Hajewska-Krzysztofik. Talent, charyzma. I ta energia, która tworzy się na scenie i która decyduje o sukcesie lub porażce. Tu się udało. Więc jestem Ewie Dałkowskiej za to wszystko bardzo, bardzo wdzięczna...

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

eprasa.pl f1a314a829

Niebo Dobrego Łotra



SHUTTERSTOCK

MARTA GLANC

REPORTAŻ | **Obowiązkowa dziesięcina, rozkazy od Ducha Świętego i kontrola życia prywatnego. Członkowie radomskiej wspólnoty św. Dobrego Łotra przerywają milczenie.**

Gdy zobaczyłam kadry z serialu „Niebo", zamarłam. Oni noszą tam takie duże krzyże na szyi. Ja też w pewnym momencie nosiłam różaniec z bardzo podobnym. Ludzie dziwnie się na mnie patrzyli, ale ja się tym nie przejmowałam – mówi Magda.

Sebastian Keller, autor wspomnień, na podstawie których zrealizowano serial (dostępny na HBO Max), usłyszał od Bogdana Kacmajora, guru sekty Niebo, że ma specjalny dar i może uzdrawiać innych. Magda też została wybrana: dostała pod opiekę osobę uzależnioną, młodego chłopaka. Miała się modlić o jego uzdrowienie, zdjąć z niego wszystkie „obciążenia". Bała się, że gdy przestanie prosić o to Boga, chłopak zginie.

Prawie ją to zabiło.

RODZINA | Gdy dołączała do wspólnoty św. Dobrego Łotra, działającej w Radomiu, czuła się zagubiona. Był 2016 rok, niedawno skończyła studia. Pierwsza praca i pierwsze rozczarowania dorosłym życiem. Szukała drogowskazu. Właśnie wtedy trafiła na kurs „Nowe życie", organizowany przez wspólnotę.

Na początku spotkania raz w tygodniu w radomskiej katedrze. Potem zaproszenie do siedziby wspólnoty przy parafii św. Kazimierza w Radomiu. – Podzielono nas na grupy, każdej przydzielono animatora. Czułam się zaopiekowana. Jakby przyjęto mnie do rodziny – wspomina Magda.

Słyszała: „Gdybyś czegoś potrzebowała, to jesteśmy". Odwdzięczała się, coraz więcej poświęcając wspólnocie. Czuła, że to jej powołanie, że w ten sposób służy Bogu. Zostało to zauważone: dostała propozycję prowadzenia grupy. – Na początku byłam gospodynią grupy na kursie Alpha, czyli tak naprawdę koordynatorką dyskusji – opowiada.

Z tej ekipy wyłoniła się później grupa formacyjna, którą wspólnota również oddała pod skrzydła Magdy. – Były tam osoby z różnymi trudnościami. Jedna w żałobie, inna zmagała się z chorobą dziecka, kolejna z uzależnieniem. Szybko zaczęłam żyć ich problemami, chociaż moja kondycja psychiczna również nie była najlepsza – wspomina.

Z czasem została też gospodynią kolejnej grupy. Oprócz tego jeździła na konferencje, weekendowe kursy – praktycznie nie miała chwili dla siebie. Rzadko mówiła „nie", bo nigdy nie odmówiłaby Duchowi Świętemu. A przecież to jego polecenia wykonywała.

– Przychodził do mnie lider wspólnoty i mówił, że Duch Święty przekazał mu, abym w ten weekend odpowiadała za kuchnię w czasie kursu. Brałam na siebie kolejne obowiązki, aż do wycieńczenia.

Wszystko za darmo. Po czasie nawet zaczęła przekazywać dziesięcinę na wspólnotę – 10 proc. swoich dochodów, jakieś 300-400 zł.

– Od wspólnoty przez kilka lat wzięłam pieniądze raz, to było 50 zł na paliwo. A tak – wszystko robiłam za darmo, często też, oprócz comiesięcznych składek, dokładałam ze swoich pieniędzy na sprzątanie siedziby, dekoracje czy rekwizyty na rekolekcje – zaznacza.

WSPÓLNOTA | Diecezjalna Szkoła Nowej Ewangelizacji św. Dobrego Łotra w Radomiu powstała z początkiem 2014 r. Kilka miesięcy wcześniej zarejestrowano Fundację Dobrego Łotra, która jest podmiotem prawnym i organem prowadzącym szkołę. Na czele fundacji stoi Jakub Popiel, do niedawna świecki lider wspólnoty św. Dobrego Łotra. W radzie fundacji zasiada ks. Sławomir Płusa, egzorcysta diecezji radomskiej, były duszpasterz wspólnoty.

To właśnie ks. Płusa uznawany był za najważniejszą osobę we wspólnocie. Wielu widziało w nim ojca, mentora.

STYGMATY | Opieka duchowa nad uzależnionym chłopakiem też była traktowana jako obowiązek od Ducha Świętego. – Słyszałam od osób ze wspólnoty, w tym od księdza Sławka, że zostałam wybrana, aby pomóc mu poprzez intensywną modlitwę o uzdrowienie. Codziennie msze święte, nocne adoracje. Byłam

eprasa.pl f1a314a829

przekonana, że muszę go ratować – mówi Magda.

Była u kresu sił. Pracowała zawodowo od godziny 7 do 15, potem wykonywała obowiązki we wspólnocie. Czasami jeszcze całą noc modliła się, a rano jechała do pracy. Zaczęło boleć ją całe ciało. Poszła z tym do ks. Płusy. Usłyszała, że współodczuwa rany Chrystusa. Wzięła to za niewidzialne stygmaty.

– Księdzu ufałam w stu procentach, chociaż miał niewiele czasu, żeby ze mną rozmawiać. Czasami spotykaliśmy się w parku, mówił, że ma tylko 15 minut i musi lecieć – wspomina.

U Magdy pojawiły się też silne lęki. Była przekonana, że jak przestanie się modlić za swojego podopiecznego, to on zginie. Wciąż sprawdzała, czy jest dostępny w sieci, czy wstał i poszedł do pracy.

Pewnego dnia wracała autem po nocnej adoracji do domu. Było po 4 rano. – Wcześniej umówiłam się na spotkanie z tym chłopakiem, ale on nie przyszedł. Płakałam, byłam wykończona. Noc, las, nagle urwał mi się film – przysnęłam. Obudziły mnie światła samochodu jadącego z naprzeciwka, zdążyłam wrócić na swój pas – relacjonuje.

Ale nie zwolniła tempa. Jej rodzina była coraz bardziej zaniepokojona. Siostra powiedziała jej później: „Magda, nikt spoza wspólnoty nie miał do ciebie dostępu".

RATUNEK | Zdrowie Magdy było w coraz gorszym stanie. Nie wiedziała już, co się z nią dzieje. Postanowiła porozmawiać z młodym księdzem wikariuszem ze swojej parafii. – Był wyraźnie wstrząśnięty tym, co usłyszał. Opieprzył mnie, w co ja się w ogóle wpakowałam – wspomina.

Ksiądz zaczął jej zadawać pytania. Gdzie jest jej życie prywatne? Kiedy ostatnio była u rodziców? Czy zna swoich sąsiadów? Pierwszy raz zastanowiła się nad tym, co powiedział jej ktoś spoza wspólnoty. Bo to był w końcu ksiądz. – Moje życie wisiało na włosku. On mnie uratował – zaznacza.

Tydzień po tej rozmowie trafiła do szpitala z rozpoznaniem boreliozy i zaburzeń lękowych. Po wyjściu rozpoczęła psychoterapię. Gabinet był niedaleko radomskiej katedry, terapeutka słyszała o Dobrym Łotrze. Zasugerowała Magdzie, aby zastanowiła się, czy chce być dalej we wspólnocie.

– Teraz już wiem, że byłam w sekcie, której ideologia zawładnęła mną całkowicie. Tam wciąż podlegaliśmy formacji, czyli kształtowaniu na wzór apostołów. A ja przeszłam deformację.

Magda odeszła ze wspólnoty w 2021 roku. Do dziś leczy się psychiatrycznie. Swoją wiarę w Boga przeżywa już samotnie. – Staram się nie przywiązywać tak do ludzi. Zwłaszcza ludzi Kościoła.

AGRESJA | Ilona była w grupie Magdy, ale nie wiedziała, co przeżywa jej animatorka. – Trzymała nas od tego z daleka, chciała nas chronić. Wiedziałam, że dzieje się coś złego z jej zdrowiem, ale nie łączyłam tego z Dobrym Łotrem. Słyszałam raz, jak jedna z osób wyżej we wspólnocie skomentowała pogardliwie: „A jej co znowu jest?" – wspomina.

Ona sama trafiła do Dobrego Łotra będąc w kryzysie po śmierci rodziców, najpierw ojca, potem matki. Ilona nie wiedziała, dokąd zmierza jej życie. Szukała pocieszenia w wierze. Podczas jednej z mszy w radomskiej katedrze usłyszała, że wspólnota św. Dobrego Łotra organizuje kurs.

Poczuła się wśród nich jak u siebie. – Ksiądz Sławek był wspaniałym mówcą, porywał ludzi. Wszyscy go szanowali, był naszym ojcem – przyznaje Ilona.

Zachwyt trwał aż do momentu, gdy została bardziej zaangażowana w życie wspólnoty i zbliżyła się do „odpowiedzialnych", jak nazywano liderów i osoby, które nieoficjalnie miały wyższą rangę we wspólnocie. Ilona zaczęła zwracać uwagę na zachowanie jednej z nich – Doroty (imię zmienione).

– Pamiętam przygotowania kolacji, w których brały udział matki nieuleczalnie chorych dzieci. Dorota wpadła do kuchni i zaczęła się wydzierać, że kolacja jest beznadziejna. Dziewczyny się rozpłakały, ja byłam w szoku. Czy tak się zachowuje osoba, która głosi słowo Boże?

Podobnych sytuacji z Dorotą było więcej. Do tego rozpuszczanie plotek, krytyka, rozkazy „od Ducha Świętego", które otrzymywała m.in. Magda. Ilona zaczęła zgłaszać to liderowi i ks. Płusie, ale żaden nie stanął po jej stronie.

PĘTLA | Gdy pojawił się pomysł podpisania reguły, wraz z obowiązkową dziesięciną, ksiądz Sławek mówił, że wspólnota „to ziemia obiecana i jak ktoś odmawia przyjęcia tej reguły, to jakby do tej ziemi obiecanej nie chciał wejść" – opowiada Ilona.

Pieniądze były potrzebne m.in. na pensję dla świeckiego lidera, który nie miał pracy zarobkowej jak reszta, zatrudniała go wspólnota. Podobnie miało być z Dorotą.

– Sporo osób wtedy odeszło – dodaje Ilona. Ona została, chociaż czuła się coraz gorzej we wspólnocie. – Wykorzystywano historię mojego życia, aby mną manipulować. Bo jak czemuś się sprzeciwiłam, to od Doroty słyszałam, że moje rany z przeszłości rzutują na moje zachowanie. Ks. Sławek zresztą też wykorzystywał tę metodę.

Pojawiły się także nowe zasady: zakaz szemrania i spotykania się prywatnie, nakaz zaproszenia księdza i liderów świeckich do wszystkich grup członków wspólnoty na Messengerze. Pętla się zaciskała.

Gdy Ilona powiedziała przy Dorocie, że poznała nowego mężczyznę, liderka stwierdziła: „Ale my nie wiemy, czy to jest człowiek dla ciebie. Musimy to rozeznać, czy wolą Boga jest to, abyś z nim była".

Ilonie udało się w końcu odejść ze wspólnoty. – Sygnałem alarmowym był dla mnie atak paniki w momencie, gdy Dorota zaczęła do mnie dzwonić. Zaczęłam brać leki na zaburzenia lękowe, a później rozpoczęłam terapię. Dzisiaj wiem, że doświadczałam przemocy psychicznej.

DOTKNIĘCIE | Paweł w Dobrym Łotrze działał blisko 10 lat. – Byłem zapatrzony w księdza Sławka prawie jak w Boga. Podczas jednej z modlitw otworzył Pismo Święte i przeczytał z pozoru losowy fragment. Pamiętam, że się rozpłakałem, bo dokładnie pasował do tego, co przeżywałem – mówi.

Przez modlitwę o uzdrowienie organizowaną przez wspólnotę przeszła połowa Radomia – mówi Paweł. Ludzie od Dobrego Łotra pojawiali się w szpitalach i w więzieniu. Podczas mszy w katedrze wierni doświadczali „jakby dotknięcia Boga".

Z czasem Paweł zaczął zauważać, że ludzie we wspólnocie są eksploatowani, a ich życie prywatne nie ma znaczenia ani dla lidera, ani dla duszpasterza. Rodzina Pawła też musiała konkurować ze wspólnotą o jego czas. – Wprawdzie słyszeliśmy, że hierarchia jest następująca: Bóg, rodzina, praca, wspólnota. Ale w praktyce Bóg oznaczał właśnie wspólnotę – wyjaśnia. ↦

eprasa.pl f1a314a829

ŚLISKA SPRAWA | Najbardziej bulwersująca była dla Pawła sprawa obowiązkowej dziesięciny. – Mówiłem o tym głośno. Rozumiałem, że można przekazywać pieniądze wspólnocie, ale tylko dobrowolnie. Zorganizowałem nawet spotkanie, by o tym porozmawiać. Później nawet tego nam zakazano – opowiada.

Pamięta też zakaz szemrania. – Czułem, że ksiądz i lider chcą mieć władzę absolutną i idą po trupach do celu. Jak ktoś zapytał, co w sytuacji, gdy małżonek nie zgodzi się na płacenie dziesięciny, ksiądz odpowiedział: „Przecież nie musi o tym wiedzieć".

Przyznaje jednak, że nie widział żadnego konkretnego powodu, z którym mógłby iść do biskupa. – Gdyby był gwałt, kradzież, przemoc, sprawa byłaby prosta. A tutaj wszystko było takie... śliskie. Więc po prostu odszedłem. Ksiądz później do mnie dzwonił, próbował porozmawiać, ale gdy zacząłem mówić, co mnie bolało, zbywał mnie – mówi.

Paweł naprawdę wierzy, że Kościół to coś więcej niż tradycja i rytuały. Ale boi się, że teraz każda wspólnota będzie postrzegana przez pryzmat Dobrego Łotra, a biskup i księża będą blokować podobne inicjatywy. – Tymczasem to ważne, by nie gasić w ludziach Ducha.

DEKRET | Z inicjatywy jednej z byłych działaczek wspólnoty udało się zebrać grupę osób, które złożyły świadectwa przed księżmi wyznaczonymi przez bp. Marka Solarczyka, ordynariusza diecezji. Z moich informacji wynika, że o nieprawidłowościach w Dobrym Łotrze opowiedziało około 20 byłych i aktualnych członków, w tym Ilona i Magda, która usłyszała, że jej doświadczenia były kluczowe przy podjęciu decyzji o rezygnacji ze świeckiego lidera we wspólnocie.

6 lutego księża przedstawili grupie dekret biskupa radomskiego. Ks. Sławomir Płusa został odwołany z funkcji duszpasterza wspólnoty. Od wspólnoty zostało też odsuniętych dwoje świeckich – Dorota i Jakub Popiel. Księża obiecali, że oficjalny komunikat w tej sprawie pojawi się na stronie diecezji. Do momentu publikacji tego artykułu tak się jednak nie stało. Na stronie wspólnoty św. Dobrego Łotra również nie znajdziemy informacji na ten temat. „Z wdzięcznością patrzymy na to, co było, z nadzieją i ufnością na to, co przed nami" – brzmi ostatni wpis na Facebooku wspólnoty. Pochodzi z 30 stycznia.

CISZA | Do rzecznika diecezji radomskiej, ks. Damiana Fołtyna, wysłałam szereg pytań dotyczących tego, o czym opowiadali byli członkowie wspólnoty. Na żadne z nich nie otrzymałam odpowiedzi. Ks. Fołtyn poinformował mnie jedynie, że wspólnota ma nowego duszpasterza i jest nim ks. Piotr Nojek.

„Każda wspólnota działająca w Kościele przechodzi różne etapy, które również oznaczają wprowadzenie zmian służących umocnieniu i przynoszeniu duchowych owoców dla jej członków" – wyjaśnia ksiądz rzecznik.

Do grupy osób pokrzywdzonych dochodzą jednak informacje, że lider i Dorota nadal mają wpływ na wspólnotę, podobnie jak ks. Płusa. „Prawda okazała się zbyt trudna. Biskup wydał dekret i miał on w teorii zakończyć działalność osób, które z imieniem Jezusa na ustach niszczyły ludzi duchowo i psychicznie. Jednak nie podano publicznie informacji, co dzieje się we wspólnocie, są za to kolejne zranienia i zwątpienia" – skomentowała na swoim profilu inicjatorka akcji.

MECHANIZM | Psycholożka i psychoterapeutka Angelika Szelągowska-Mironiuk, autorka książki „Wspólnota, która leczy – wspólnota, która rani", zaznacza, że choć przynależność do zdrowej wspólnoty religijnej może być cenna dla osoby wierzącej, to zdarza się, że grupa taka staje się powodem problemów psychicznych i duchowych.

– Grupy destrukcyjne, obecne także w Kościele, tłumią wątpliwości i pojawiające się u członków rozterki, a jakakolwiek ich krytyka wiąże się z ostracyzmem. Charakteryzują się też wysokim stopniem kontroli życia swoich członków, którzy bywają rozliczani z tego, na kogo głosują w wyborach, z kim się spotykają, jak spędzają czas. Osoby w zdrowych wspólnotach są uczone zaufania do własnego sumienia. W grupach destrukcyjnych – do bycia podwykonawcami zaleceń lidera i wybranych przez niego osób.

Jakub Popiel, którego poprosiłam o rozmowę, odmówił komentarza. Na moje prośby nie odpowiedzieli też Dorota i ks. Sławomir Płus. © MARTA GLANC

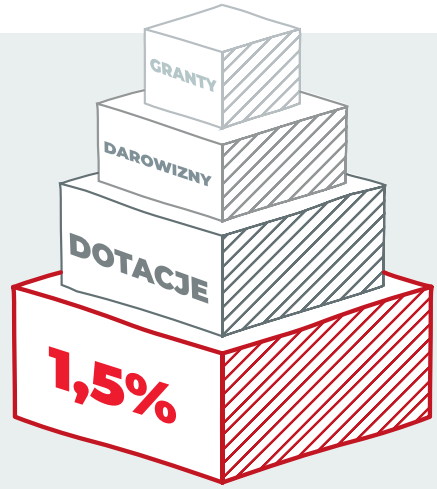
Imiona byłych członków wspólnoty zostały zmienione.

OPP

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Każda podarowana przez Ciebie złotówka wzmacnia fundament naszej działalności. To, co możliwe, zależy od Twojego wsparcia.

Dowiedz się, skąd organizacje pożytku publicznego pozyskują fundusze na swoje działania



» KRS 0000 125 605

eprasa.pl f1a314a829

Głód Boga, post od Boga

KS. JACEK PRUSAK SJ

KSIĄŻKA | Duchowość nie jest troską o dobrostan. Integracja ducha i psyche to kluczowe wyzwanie dla współczesnego człowieka.



DUCH I PSYCHE. RAZEM CZY OSOBNO?
Z Bogdanem de Barbaro i ks. Grzegorzem Strzelczykiem rozmawia Dominika Tworek, Znak, Kraków 2025

Religia zmienia człowieka, a duchowość poprawia mu samopoczucie" – powiedział kiedyś rabin Jonathan Sacks. Może dlatego rozmowy o duchowości poza kontekstem religijnym są tak ryzykowne. Najczęściej brakuje im spojrzenia, które nie redukowałoby duchowości wyłącznie do dobrostanu i samoaktualizacji. W naukach o zdrowiu dominuje ujęcie duchowości jako czegoś uniwersalnego, a więc inkluzywnego („dla wszystkich religii i żadnej"), a zarazem na wskroś zindywidualizowanego i osobistego („moja duchowość"). W takim ujęciu duchowość to zdolność i możliwość dokonywania wyborów dotyczących tego, co ma „ostateczny sens i wartość", ponieważ bycie w pełni człowiekiem staje się synonimem bycia sobą. Na tej zasadzie duchowość staje się nowożytną strategią zaspakajania swoich potrzeb i realizacji własnych celów. Kwestia Boga jest w niej dopiero kolejną opcją. Nie ma większego znaczenia, czy Bóg istnieje – liczy się to, że mogę wybrać Boga jako opcję dla siebie samego. Do kogo ten „Bóg" jest wtedy podobny, nietrudno się domyślić.

Gdzie zatem jest tu miejsce na „ducha i psyche", które nie są różnymi określeniami tego samego, a więc ludzkiego potencjału i ludzkich projekcji, ale wskazują na coś poza nim samym? Z tym problemem mierzą się rozmówcy Dominiki Tworek, dobrze znani czytelnikom „Tygodnika Powszechnego" – prof. Bogdan de Barbaro (psychiatra i psychoterapeuta) oraz ks. dr Grzegorz Strzelczyk (teolog i duszpasterz). Rozmawiają zarówno o miejscu duchowości w psychoterapii, jak i o roli psychoterapii w rozwoju duchowym. Zastanawiając się, czy wiara może pomagać w osiąganiu dobrostanu, a terapia leczyć „chorą" wiarę.

NAPIĘCIE | Rozmowa toczy się wokół kilku centralnych zagadnień na styku psychologii i wiary, psychoterapii i kierownictwa duchowego. Wiedza i doświadczenia obu rozmówców zachęcają do głębszego przyjrzenia się kilku pewnikom, jak i kilku uprzedzeniom. Myślę, że obaj podpisaliby się pod deklaracją Dietricha Bonhoeffera: „Boskość, której nie towarzyszy rozkwit człowieczeństwa, nie zasługuje na to, aby się jej oddawać. Nie interesuje nas boskość, która nie prowadzi do rozkwitu człowieczeństwa". Jak jednak zdefiniować ten „rozkwit człowieczeństwa"? W tym miejscu pojawia się rzeczywiste napięcie pomiędzy psychoterapią a duszpasterstwem, widoczne miejscami także w dyskusji obu rozmówców: psychologiczny dobrostan i dojrzałość to odmienne osiągnięcia rozwojowe, jedynie umiarkowanie ze sobą połączone. Podobnie jak dobrostan i dojrzałość duchowa oraz ich obustronne interakcje.

DWA PORZĄDKI | Relacyjny paradygmat rozwoju ludzkiego, pod którym obaj rozmówcy się podpisują, pozwala jednak na zbliżenie perspektyw. Dojrzałość emocjonalna i duchowa wymagają poszukiwania, eksplorowania i tolerowania napięć, prowadzących do przemian rozwojowych. Nie oznacza to, że święty musi być w pełni dojrzały, albo że dojrzały człowiek to niekanonizowany święty. Duch i psyche mają swoje prawa, ale ani psychoterapia, ani kierownictwo duchowe nie zastąpią działania „siły wyższej", o ile tylko nie utożsami się jej błędnie z efektem placebo. Jak powiedzieliby analitycy jungowscy, powtarzając za mistykami, istnieje „duchowe libido", które popycha nas w kierunku stania się tym, kim „w głębi najskrytszego jestestwa mamy się stać".

Udana psychoterapia, jak i skuteczne kierownictwo duchowe mogą pomóc nam odkryć, że mamy „podwójne pochodzenie". „Uczestniczymy – jak wyraził to kiedyś Karlfried Graf Dürckheim – w porządku ziemskim i niebiańskim. W obydwu musimy wypełnić swoje obowiązki (...) Jesteśmy rozciągnięci pomiędzy obejmującymi naszą całość sprzecznościami. Integracja to nasza odpowiedzialność i życiowe zadanie". Skoro tak, to „siłowe" rozdzielanie ducha od psyche nikomu nie wyjdzie na dobre, ale ich integracja nie jest sprawą prostą, o czym świadczą objawy pacjentów w gabinetach psychoterapeutów i grzechy penitentów w zaciszu konfesjonałów. „Zamieszkując obie rzeczywistości, ducha i psyche, musimy zachować – jak mawiał Abraham Heschel – podwójną wierność".

POMIĘDZY | Jeśli szukać będziemy w tej rozmowie odpowiedzi na pytanie, jak terapeuci i duszpasterze mogą współpracować, żeby pomóc człowiekowi zmierzyć się z wyzwaniami współczesności, to odpowiedź może pójść w dwóch kierunkach zarysowanych przez rozmówców. W odpowiedzi na „głód Boga po poście od Boga" nie chodzi o powtórne i powierzchowne „zaczarowanie świata duchowością", powiązane z „uzależnieniem od duchowości" albo zdominowane przez religijny fundamentalizm. Chodzi o świadome wejście w „przestrzeń przejściową" tego „królestwa pomiędzy", gdzie nie jest się już tym, kim się było, ani jeszcze tym, kim można się stać. Krakowski psychiatra i psychoterapeuta oraz śląski teolog i duszpasterz dzielą się z Czytelnikiem swoimi pomysłami na to, jak to zrobić, by żaden z tych światów reprezentowanych przez ducha i psyche nie był ucieczką od drugiego, ani jego substytutem. ©

eprasa.pl f1a314a829

O. WACŁAW

Oszajca: *Krokodyle łzy*



„Córki jerozolimskie, nie płaczcie nade Mną. Płaczcie raczej nad sobą i nad swoimi dziećmi”. No i jak zwykle – Jezus swoje, a my swoje. Przez cały wielki post nic tylko płaczemy nad Jezusem, użalamy się nad Nim, pocieszamy, a Jego cierpienie i śmierć ofiarowujemy Bogu Ojcu „na przebłaganie za nasze i całego świata grzechy”. Choć z wyjątkiem jednego grzechu – bogobójstwa, o które przez wieki oskarżaliśmy Żydów. Płaczemy nad Jezusem tak, jakby to ktoś inny był winny Jego śmierci, a nie my – po prostu ludzie. Z wielkim rozrzewnieniem pytamy też Maryję: „Czemuś, Matko Ukochana, / Ciężko na sercu stroskana? / Czemu gorzkie łzy lejesz?”. Czyżbyśmy naprawdę nie zdawali sobie sprawy, że to, co złego działo się z jej Synem dawniej, dzieje się również dzisiaj? Czyżbyśmy nie chcieli już pamiętać, że cokolwiek dobrego, ale i złego zrobimy człowiekowi, zwłaszcza takiemu, którego mamy za nic, to samo robimy Jezusowi, a przez Niego – Bogu? Co więc sprawia, że odpowiedzialność za śmierć Jezus zrzucamy na innych? Nawet na Jego Ojca. Śpiewamy przecież, że Jezus umierając na krzyżu: „Ojcu swojemu uczynił już zadość”, przez co nam „niesie radość”.

„Naród niewierny trwoży się, przestrasza”. I ma ku temu powód, gdyż Jezus po powstaniu z martwych: „Już nie przestaje z narodem niewiernym, / Samym się tylko ukazuje wiernym”.

Na piątą niedzielę postu zasłaniamy krzyże, dawniej również obrazy, rzeźby, a nawet okna. Ten prawie zapomniany obrzęd niesie jednak ważne wyzwanie, zachętę. Zasłaniamy wszystko, żeby wreszcie przypatrzeć się sobie i pomyśleć, czy przypadkiem my również, zamiast płakać nad sobą, ronimy łzy nad Jezusem. Krokodyle w dodatku. A przecież Paweł Apostoł mówi: „Wy jesteście Ciałem Chrystusa, a każdy z was jest Jego częścią”. Skoro tak, to znaczy, że godząc w drugiego człowieka, idziemy śladem Kaina i krzywdzimy siostry i braci, a więc i Kościół, który przecież w zamyśle Boga ma być Najświętszym Sakramentem, Znakiem realnej obecności Jezusa w świecie.

Jeśli ludzie w Kościele nie znajdą Jezusa, a tym samym Boga, albo znajdą jedynie mniej lub bardziej udaną podróbkę, odejdą szukać gdzie indziej. Ale wtedy nie miejmy do nich pretensji, nie ekskomunikujmy ich, nie nazywajmy apostatami. Jeśli już, do siebie miejmy pretensję. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Ojciec zamiast sędziego*



Liturgia przypomniała nam niedawno przypowieść o nielitościwym dłużniku (zob. Mt 18, 23-35). Mocna historia o człowieku, któremu pan podarował dług wręcz niewyobrażalny (10 tysięcy talentów, czyli ok. 270 ton złota!). Człowiek ten – po wyjściu sprzed oblicza pana – „odszukał” (raczej niż „spotkał”, jak mamy w Lekcjonarzu) kogoś, kto był mu winien 100 denarów (trochę ponad 3-miesięczną pensję niewykwalifikowanego robotnika) – „Chwycił go, zaczął dusić i... wtrącił go do więzienia”. Poinformowany o tym pan konsekwentnie odwołał swoją miłosierną decyzję. Ostatni werset zawiera już nie tyle opowiadanie, co jego objaśnienie udzielone przez samego Jezusa: „Podobnie uczyni wam Ojciec mój niebieski, jeżeli każdy z was nie przebaczy z serca swemu bratu”.

Przypowieść jest pełna znaczących detali, mnie jednak tym razem uderzyła dokonująca się w niej zmiana kategorii: od przypowieści do objaśnienia. Bohaterami przypowieści są: król („człowiek królewskiego rodu”), niewolnik (grec. *doulos*) oraz dosł. „współ-niewolnik” (*syndoulos*). Możemy sobie wyobrazić, że zwłaszcza pierwsza i ostatnia rozmowa przypowieści toczą się przed jakimś trybunałem – król jest najwyższym i jedynym sędzią, a na horyzoncie wyraźnie rysuje się perspektywa więzienia. W objaśnieniu przypowieści najpierw król staje się „niebieskim Ojcem”, współniewolnicy stają się braćmi, a miejsce trybunału zajmuje serce: „Podobnie uczyni wam Ojciec mój niebieski, jeżeli każdy z was nie przebaczy z serca swemu bratu”. Jezus wyraźnie zaprasza nas do takiej zmiany myślenia i działania: od wyroku króla-sędziego do oceny ojcowskiej. Od patrzenia na drugiego (na przeciwnika? dłużnika?) jako kogoś obcego, do zobaczenia w nim brata (siostry). Od szukania sprawiedliwości przed sądem do wejścia we własne serce (by poznać własne winy, a potem w ich świetle ocenić własne krzywdy).

Chciałbym się mylić, ale wydaje mi się, że obecnie – niestety również wśród chrześcijan – odwracamy ten kierunek: z nadzieją biegamy po sprawiedliwość do sądów; paragrafy stają się dla nas ważniejszym punktem odniesienia niż więzi braterstwa wynikające z ojcostwa Boga. Podróż do sumienia i do osądu serca wydaje się nam po prostu nieskuteczna – niczego nie zmieni w naszych wzajemnych relacjach i sporach. Ale może się mylę... ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl f1a314a829

ZUZANNA

Radzik: *Leginsy z falbaną na pupie*



Jaki ładny chłopiec – mówili przechodnie, kiedy z córką w odziedziczonym po innych dzieciach niebieskim wózku i kombinezonie wyszłam po raz pierwszy na miasto. A potem znowu. I znowu. Zastanawiałam się: prostować czy dziękować. Jakie ma znaczenie, czy płeć noworodka zgadza się w oczach przechodnia? Zwłaszcza gdy się słabo mówi w lokalnych językach, pozostaje uśmiech i krótkie dziękuję.

Minął rok, teraz już na własnych nogach zwiedza place zabaw i salki domów kultury. Najchętniej w najwygodniejszych dresowych spodniach w kolorze mlecznej czekolady i sweterku morskim niczym ocean. I choćbym w rozmowie z innymi matkami używała żeńskich zaimków, to i tak tytułują ją chłopcem. Siła brązowego dresiku jest wielka.

Dziwi mnie to, ciut wkurza, ale też łapię się na tym, że zaczynam na takie wyjścia wybierać kwieciste leginsy. Bingo! Od razu została dziewczynką.

Zachęcona, kupiłam drugie, kwieciste z falbaną na pupie, ale trochę się waham, bo falbana na pupie jest nieco dziwaczna, trochę jak kupry XIX-wiecznych sukni. Przeglądam też ubranka wyprzedawane przez inne matki, niektóre mają starannie dobrane kolekcje kwiatów i pasteli, można tam szukać w ciemno czegoś, co bezdyskusyjnie udziewczynkowi ci dziecko.

Jakoś nie umiałam wejść w ten klimat wcześniej. Dominowała wygoda i to, co odziedziczyła po starszych dzieciach znajomych czy dostała od bliskich.

Łapię ten dziwny moment, kiedy roczniak zaczyna mieć życie publiczne, placowo-żłobkowe, i kiedy jednak zaczynam zwracać uwagę, w co jest ubrana i jak będzie identyfikowana. Ona jeszcze nie ma zdania. Może jednak pójdziemy w jakiś rodzaj kompromisu: wygodne spodnie w kolorach przyjaznych błotu, ale falbana, róż lub bufa na bluzce? Zaskoczyło mnie, że już zaczynamy mieć te dylematy i że już, jak ma się rok, dziewczyńskość i komfort nie zawsze idą w parze.

Przecież już niejedna dziewczynka na świecie apelowała do niejednej firmy odzieżowej o to, by zadbały o komfort ciuchów dla dziewczynek. Zwykle chodzi o kieszenie, a raczej ich brak.

W zeszłym roku ośmioletnia Georgia z Ipswich świętowała sukces po tym, jak odzieżowa firma brytyjskiego marketu zareagowała na jej prośbę, by spodnie do żeńskich mundurków też miały prawdziwe kieszenie.

Wcześniej, w 2021 r., siedmioletnia Kamryn Gardner z Bentonville w Arkansas napisała do amerykańskiej marki odzieżowej: „Nie podoba mi się, że przednie kieszenie w dziewczęcych szortach są udawane. Chciałabym móc włożyć w nie ręce i nosić w nich rzeczy". Firma odpisała, wysyłając dwie pary spodni z kieszeniami i obiecując, że wkrótce takie trafią do sklepów.

Zabrakło mi podobnej hucpy, gdy w popularnym sportowym markecie szukałam spodni turystycznych dla siebie. Pozazdrościłam funkcjonalności kilku głębokich kieszeni w męskich bojówkach towarzysza moich wakacji, ale ku mojemu zaskoczeniu, w dziale żeńskim podobnych nie było. Tak jakby męska noga w górach mogła nosić w wypakowanej kieszeni, co trzeba mieć pod ręką.

Natomiast żeńska noga nie może, bo udo musi wyglądać szczupło za wszelką cenę. Nie widzę innego uzasadnienia, by kieszonka damskich spodni była symboliczna, z minimalną pojemnością, jak na kartę bankową lub chusteczkę. Jednak zamiast wziąć przykład z tych dziewczynek i napisać petycję, poszłam po prostu do działu męskiego.

Historycznie sporo starć feministek z modą dotyczyło właśnie komfortu i swobody ruchu. Wczesne sufrażystki w połowie XIX w. zaproponowały strój z kobiecymi spodniami, rodzajem szarawarów pod krótszą suknią, który wręcz nazywały strojem reformatorskim.

Ponieważ jednak przychodzono nie tylko ich słuchać, ale też obejrzeć ten skandalizujący strój, powoli się z niego wycofały. Kobiece spodnie elektryzowały w czasie wojny secesyjnej, gdy zakazano pielęgniarkom ich noszenia, podczas gdy inne zespoły sanitariuszek twardo służyły w takich strojach na polach bitwy, a nawet w szpitalach. Czytając o tym, próbuję sobie wyobrazić pielęgniarki w terenie w XIX-wiecznych sukniach.

Kolejną odsłoną życia spodni kobiecych były lata 80. XIX wieku, gdy szarawary powróciły jako strój kobiet-rowerzystek. Przeciwnicy jazdy kobiet na rowerze nie sprzeciwiali się jednak tylko ich strojom, tak naprawdę chodziło o swobodę ruchu.

I tak do dziś, bo projekty strojów pokazują często, co autor myśli o kobietach, ich rolach społecznych, autonomii, wolności oraz o tym, czy widzi komfort jako wartość nadrzędną wobec zaspokajania trendów mody.

Oprócz własnych modowo-feministycznych zagwozdek doszła mi zatem nowa: zakładać dziecku leginsy z falbaną na pupie do piaskownicy czy nie? ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

eprasa.pl f1a314a829



HISTORIA

STUDIUM PODDAŃSTWA

190 lat temu po raz pierwszy wystawiono „Rewizora”.
Dlaczego carska cenzura puściła sztukę,
która obnaża rosyjskie podejście do władzy?
I dlaczego dzieło przerosło mistrza? Bo Gogol nie zamierzał krytykować caratu.

SYLWIA FROŁOW

eprasa.pl f1a314a829

Przedstawienie „Incognito" Omskiego Teatru Dramatycznego na podstawie „Rewizora" Nikołaja Gogola, 2018 r.

Zasada była prosta: w spektaklach, które w XIX wieku wystawiały rosyjskie teatry, cenzura zabraniała krytykować wojsko, policję i w ogóle urzędników. Dlatego gdy w 1836 r. pod jej ocenę trafiła komedia „Rewizor" Nikołaja Gogola, cenzor zareagował żywiołowo: przestraszył się i surowo zabronił publikacji.

Trudno się temu dziwić. Gogol w prześmiewczy sposób sportretował prowincjonalne miasteczko rosyjskie, które ogarnia panika na wieść, że ze stolicy przybywa na inspekcję rewizor, czyli przedstawiciel władzy najwyższej.

Paradoks sytuacji polega na tym, że tak naprawdę do miasteczka zjeżdża petersburski hulaka, tylko przez pomyłkę wzięty za rewizora. Birbant Chlestakow początkowo traktując to z niedowierzaniem, z czasem dochodzi do wniosku, że trzeba korzystać z okazji, i z coraz większą satysfakcją przyjmuje hołdy i prezenty od miejscowej elity.

Ten portret systemowej służalczości, tchórzostwa i korupcji, czyli podejścia Rosjan do władzy, okazał się na tyle trafny, że komedia weszła do kanonu najważniejszych dzieł literatury rosyjskiej. Do dziś grana jest na deskach wszystkich teatrów świata.

Car się śmieje

Wróćmy do początku roku 1836, kiedy to cenzor surowo zabronił publikacji. Zdarzyła się bowiem rzecz zaskakująca. Gogol poprosił o interwencję pisarza Wasilija Żukowskiego, wspomógł go też książę Wiaziemski – obaj znali sztukę i ją doceniali. Dołączył do nich hrabia Michaił Wielgorski, postać ważna – członek Komitetu Teatrów Imperatorskich i przyjaciel domu carskiego.

We trzech udali się na rozmowy z dworem. W efekcie Wiaziemski został poproszony o odczytanie komedii przed carem Mikołajem I w Pałacu Zimowym. Zrobił to dobrze. Imperator reagował wesołością zwłaszcza na historie Bobczyńskiego i Dobczyńskiego – dwóch miejscowych plotkarzy, którzy po spotkaniu Chlestakowa w przydrożnej karczmie wzięli go za rewizora i zanieśli tę arcyniemiłą wieść do miasta.

Car od dziecka uwielbiał teatr, zwłaszcza wodewile i farsy. Rozbawiony do łez, zgodził się na publikację. Paradoks? W żadnej mierze – mimo że Vladimir Nabokov nazwie to później cudem pasującym „do praw fizycznych gogolowskiego świata odwróconego do góry nogami".

Po pierwsze, car uśmiał się serdecznie – co było podstawowym warunkiem zgody. Po drugie, uznał to, co Gogol chciał powiedzieć: że „Rewizor" nie uderza we władzę, lecz w złych wykonawców woli tejże władzy. Gogol zwerbalizuje to założenie w epilogu zatytułowanym „Po premierze": „Czyż nie jest oczywiste, że po takim przedstawieniu lud nabierze większej wiary w rząd? Tak, potrzebne mu są takie widowiska. Niech odróżni rząd od złych wykonawców woli rządu".

A więc: pełna symbioza samodzierżawia z ludem.

Władza się zgadza

Po carskiej rekomendacji decyzja cenzury była już formalnością. Jednak procedura musiała być zachowana.

Tekst „Rewizora" trafił więc do słynnego cenzora Jewstafija Oldekopa. Ten zanotował, po francusku, że sztuka jest dowcipna i pięknie napisana, a jej autor należy do wybitnych rosyjskich powieściopisarzy. I co najważniejsze: że sztuka nie zawiera treści budzących zastrzeżenia.

Zgodę musiał wyrazić jeszcze przedstawiciel III oddziału, którego rolą był nadzór nad prawomyślnością obywateli. Generał Nikołaj Dubelt napisał w raporcie: „Zezwalam".

Z czasem Gogol przekona się, że ingerencja cara to miecz obosieczny. W 1843 r. sytuacja się bowiem odwróci. Dyrekcja teatru przekaże do cenzury tekst „Rewizora" z odautorskimi poprawkami. Wówczas cenzor zawyrokuje: „Komedia mogła zostać wprowadzona na scenę tylko w wyniku najwyższego pozwolenia, a więc na żadne zmiany lub dodatki w niej się nie zezwala". Potwierdzi to ten sam generał Dubelt wpisem: „Nie wolno".

Aktorzy mają problem

Podczas prób na scenie stołecznego Teatru Aleksandryjskiego Gogol kazał wynieść luksusowe meble, które stały w pokoju Horodniczego. Zastąpił je prostymi, dodając klatkę z kanarkami i butlę z trunkiem przy oknie. Służący Osip był ubrany w liberię z galonami, co nie pasowało do autorskiego założenia. Gogol kazał aktorowi włożyć zakopcony kaftan człowieka obsługującego na scenie światło.

Chlestakowa miał zagrać Nikołaj Diur, Horodniczego Iwan Sosnicki, Horodniczą jego żona Jelena. Nie obyło się bez problemów.

Pisarka Awdotia Panajewa notuje we „Wspomnieniach": „Pamiętam, że podczas pracy nad »Rewizorem« wszyscy aktorzy biorący udział w tym nowym spektaklu poczuli się nagle zupełnie zbici z tropu. Przekonani, że postaci, jakie nakreślił w swej sztuce Gogol, są czymś zupełnie nowym, zrozumieli, iż komedii tej nie można grać w sposób, w jaki grywano zazwyczaj większość francuskich wodewilów, przerobionych zgodnie z rosyjskimi obyczajami".

Aktorzy mieli problem, bo autor zmuszał ich do zmiany wodewilowych nawyków. Autor miał problem, bo obawiał się, że tych nawyków nie zmienią. Jego obawy zaś, całkiem słusznie, wynikały z tego, że Teatr Aleksandryjski od pewnego czasu specjalizował się właśnie w wodewilach.

Gogol jest nerwowy

Próby rozpoczęto w klimacie informacji przekazywanej z ust do ust, że cenzura zakazała komedii, ale zezwolenie dał, za protekcją, sam car. To ciekawiło i niepokoiło, budowało napięcie i zapowiadało sensację.

Pierwsze czytanie, osobiście przez Gogola, odbyło się w domu Sosnickiego, w obecności wszystkich aktorów. Czuli dyskomfort. Gogol był dla nich Małorosjaninem (jak nazywano Ukraińców; urodził się pod Połtawą w ziemiańskiej rodzinie), który rok temu opublikował śmieszne historie pod tytułem „Mirgorod" – i tylko z tym go kojarzyli.

Zastanawiali się, czy to w ogóle komedia i dlaczego postaci mówią tak dziwnym językiem: lokaj po lokajsku, a zwykła baba jak zwykła baba. Co fascynującego dojrzeli w tym protektorzy autora? No i car... Przecież nie takich rzeczy zabraniano w imię ochrony tronu.

Kolejne problemy sprawiło przygotowanie kostiumów. Bo Gogol oczekiwał strojów prostych, czysto rosyjskich. Piotr ↦

GERARUS / CC-BY-SA-4.0

eprasa.pl f1a314a829



Car Mikołaj I



↦ Karatygin, który od czwartego przedstawienia dostanie rolę sędziego Lapkina-Tiapkina, wspomina, że autor na próbach był nerwowy. Rozmawiał po cichu prawie wyłącznie z Sosnickim. Z Aleksandrem Chrapowickim, inspektorem (nadzorcą z ramienia władz), tylko gdy musiał.

Chrapownicki zanotuje: „Sztuka bardzo zabawna, ale po co te nieznośne obelgi pod adresem szlachty, urzędników i kupców".

Młodzi aktorzy chwilami się podśmiechiwali – jednak nie z treści sztuki, lecz z Gogola. „Niewysoki blondyn z ogromnym lokiem, w złotych okularach na długim ptasim nosie, ze zmrużonymi oczami i mocno zaciśniętymi wargami, jakby je przygryzał (...) – wszystko to nadawało jego postaci rys karykaturalny" – wspomina Karatygin.

Publika klaszcze, gdy klaszcze car

Prapremierę zaplanowano na 19 kwietnia 1836 r. Teatr Aleksandryjski od czterech lat cieszył się nowym budynkiem w stylu empire, zaprojektowanym przez Carla Rossiego.

Potężny gmach, z wielokolumnową loggią w stylu korynckim, obsadzony po bokach ośmiokolumnowymi portykami. Pięciopiętrowa widownia, doskonała akustyka, niebieska tapicerka krzeseł komponująca się ze złotymi rzeźbieniami lóż. Nazwę teatr otrzymał na cześć żony Mikołaja I, cesarzowej Aleksandry Fiodorowny.

Na prapremierę przybył car. W odświętnym mundurze z epoletami, jak zwykle zapięty na ostatnią dziurkę w pasku, dzięki czemu miał talię baletnicy i pierś wypiętą niczym kogut. Wraz z nim w głównej loży zasiadł 18-letni następca tronu. W innych lożach i rzędach też widoczne były mundury, ale dominowały fraki i suknie w mocnych barwach. Widownia budziła zainteresowanie równie duże co sztuka. Rok 1836 to schyłek biedermeieru w modzie.

Pośród przytłumionych rozmów i uśmiechów, w ruch poszły wachlarze i lornetki, a płomień lamp naftowych mienił się w naszyjnikach z pereł, najmodniejszych w tym sezonie.

Wyfraczeni ministrowie w pierwszym rzędzie „musieli bić brawo, kiedy klaskał władca, który trzymał obie ręce na barierce loży. Rozległ się głośny śmiech. Kisieliow [Pawieł, wkrótce minister mienia państwowego] najgłośniej, bo nie miał sobie nic do zarzucenia" – opisuje ten wieczór przyszła protektorka Gogola, Aleksandra Smirnowa-Rosset.

Widzowie się oburzają, a autor cierpi

Car śmiał się z całego serca – zanotuje Chrapownicki. Karatygin zaś, stojący za kulisami, usłyszał komentarz wychodzącego z loży imperatora: „Ale sztuka! Wszystkim się podobało, a mnie najbardziej!". Jest i taka wersja słów cara: „Wszystkim się oberwało, a mnie najbardziej!". Ile prawdy w obu przekazach? Nie wiadomo.

Zaprzyjaźniony z Gogolem Pawieł Annienkow, w późniejszych latach znany historyk literatury, już po pierwszym akcie widział zdumienie na wszystkich twarzach. Z każdym kolejnym aktem to zdumienie rosło. Publiczność uspokajała się przekonaniem, że to tylko farsa. I raz po raz wybuchała śmiechem.

„Coś zgoła innego zaszło podczas czwartego aktu – wspomina Annienkow – śmiech czasem jeszcze przelatywał z jednego końca sali na drugi, ale był to śmiech lękliwy, szybko cichnący; oklasków niemal w ogóle nie było, lecz napięta uwaga, gorączkowe, baczne śledzenie akcji z jej wszystkimi niuansami, niekiedy martwa cisza dobitnie świadczyły

POŻEGNANIE

Przyjaciołom, Sąsiadom i Znajomym
za obecność w trudnych chwilach po śmierci

Ś.†P.

mgr Barbary Zgorzelskiej

a także za uczestnictwo we Mszy św. i wyrazy współczucia
składają podziękowanie

PRZYJACIELE

eprasa.pl f1a314a829



DOMENA PUBLICZNA x2

Teatr Aleksandryjski w Petersburgu, litografia Adolfa Bezemana, 1840 r.

o tym, że to, co się dzieje na scenie, trafia do serc widzów".

Początkowe zdumienie na koniec przeobraziło się w oburzenie. Wprawdzie wywoływano autora w podzięce za możliwość pośmiania się, ale dominowały komentarze: „To niepojęte, to oszczerstwo i farsa".

Wzywany na scenę Gogol nie pojawił się... Ale był, przez całe przedstawienie siedział skulony w jednej z lóż, a na przedstawienie patrzył jak na coś obcego.

Annienkow tłumaczy: „Kłopoty autora ze sztuką, która wydawała się dziwna, bo zrywała ze wszystkimi przyzwyczajeniami, a nawet – jak mówiono – z wszelką przyzwoitością, boleśnie spotęgował wodewilowy charakter głównego bohatera komedii i pospolicie, karykaturalnie odmalowane pozostałe postacie. Gogol cierpiał przez cały wieczór". A potem uciekł z teatru.

Rodzina carska mówi Gogolem

A przecież car był zachwycony. Aktorów nagrodzono: Sosnicki od dworu w ramach wdzięczności dostał pierścień z ametystem wart 781 rubli, Diur pierścień ze szmaragdem wart 701 rubli. Gogol otrzymał z rozkazu imperatora 800 rubli.

Wpływ komedii na rodzinę carską był na tyle duży, że rok później, gdy następca tronu, przyszły Aleksander II, ruszył w podróż po Rosji, z jednego z wizytowanych miasteczek donosił ojcu, że tutejszy „horodniczy swoją turniurą przypomina horodniczego z »Rewizora«".

Na co Mikołaj odpisał: „Zobaczysz nie jedną, a wiele twarzy podobnych do twarzy z »Rewizora«, uważaj jednak i nie pokazuj publicznie, że wydają ci się śmieszni; niektórzy są śmieszni z wyglądu, ale posiadają dużo ważniejsze zalety, musisz w tej materii być niezwykle ostrożny".

Kilka dni później Aleksander donosił ojcu, że syn gospodyni, u której nocował, przypomina Bobczyńskiego i tak jak on prosi o przysługę powiadomienia cara, że następca spędził noc w jego domu. Ojciec odpisał, że śmiał się z tego do łez.

Postaci z „Rewizora" na stałe weszły do życia Romanowów. Ostatni car Mikołaj II kilka razy zanotuje w swoim dzienniku, że grywa z rodziną w grę „Bobczyński, Dobczyński". Część tych wpisów pochodzi z okresu Wielkiej Wojny. Z dziennika Mikołaja wynika, że gra niby głupia, ale potrafili w carskiej rodzinie zabawiać się tak do późnych godzin nocnych.

Rząd próżno popiera sztukę

Wróćmy do prapremiery. Cenzor i zarazem profesor Uniwersytetu Petersburskiego Aleksandr Nikitienko notował w dzienniku pod datą 28 kwietnia 1836 r.: „Komedia Gogola »Rewizor« narobiła wiele hałasu. Jest grana bez przerwy, prawie co drugi dzień. Car był na pierwszym przedstawieniu, dużo klaskał i śmiał się".

„Poszedłem na trzecie przedstawienie – pisze dalej Nikitienko. – Byli tam caryca z następcą tronu i wielkie księżne. Ich również bardzo rozbawiła ta komedia. Car nawet kazał ministrom pójść na »Rewizora«. Przede mną w fotelach siedzieli książę Czernyszew (minister wojny) i hrabia Kankrin (minister finansów). Pierwszy wyraził pełne zadowolenie; drugi powiedział tylko: »Warto było przyjść, by zobaczyć tę głupią farsę«. Wiele osób uważa, że rząd na próżno popiera sztukę, w której jest tak okrutnie potępiany".

I dodaje: „Widziałem wczoraj Gogola. Sprawia wrażenie wielkiego człowieka, którego prześladuje urażone ego. Ale on naprawdę dokonał czegoś ważnego".

Siła rażenia

Nie mylił się cenzor Nikitienko: Gogol dokonał czegoś ważnego. Ta historia „mówi bowiem nie o zabawnej pomyłce i jej praktycznych skutkach – pisze jego polski biograf Bohdan Galster – lecz obnaża sam proces powstawania zwyrodnień w organizmie społecznym".

Andrzej Walicki, historyk idei i wybitny znawca Rosji, tłumaczy to dosadniej: „Gogol nie pozostawił suchej nitki na urzędnikach carskich, zdemaskował ich formalizm biurokratyczny, służalczość w stosunku do »władz« i despotyzm w stosunku do podwładnych, łapownictwo, korupcję, kołtuństwo umysłowe, pogardę dla ludu".

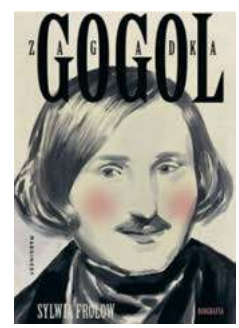
Lecz tak naprawdę siła rażenia tej sztuki leży gdzie indziej. Obnażenie procesu powstawania zwyrodnień nie polega na wskazaniu efektów – a układy w prowincjonalnym miasteczku są tylko efektem. Obnażenie procesu to wskazanie przyczyn, których w przypadku „Rewizora" szukać należało w tej najznamienitszej loży nadającej rytm oklaskom całej widowni.

Gogol dzielił śmiech na kilka kategorii: „lekki", „wulgarny" i „zły". Przeciwstawiał im śmiech „elektryzujący, ożywczy", który „rodzi się z cichej radości duszy, a powstaje w subtelnym, wysoko rozwiniętym umyśle".

Którym śmiechem zaśmiewał się car? Czy był świadom, że zaśmiewa się z siebie i nie tylko z siebie? Że w lipcu 1918 r. ten śmiech dosięgnie jego prawnuka, zabawiającego się wieczorami w głupawą grę „Bobczyński, Dobczyński"? Bo to ci Bobczyńscy na rozkaz Chlestakowów zabiorą prawnukowi tron, zdegradują do rangi szeregowca i zamordują z całą rodziną w piwnicy.

Na tym polega moc przekazu „Rewizora". Nawet jeśli Gogol twierdził coś innego.

©℗ SYLWIA FROŁOW



▪ *Książka Sylwii Frołow* **ZAGADKA GOGOL** *ukaże się nakładem wydawnictwa Marginesy 25 marca.*

eprasa.pl f1a314a829

MATEMATYCZNA SZKLANA KULA

Fizyk i ekonomista Doyne Farmer pracuje nad modelem teoretycznym symulującym działanie niemal wszystkich firm świata. Ma to pozwolić przewidywać kryzysy gospodarcze. I ich unikać.

KAROLINA SAFARZYŃSKA



METAMORWORKS / ADOBE STOCK

KAŻDY Z NAS CODZIENNIE WYKONUJE wiele czynności o skutkach ważnych dla gospodarki: robimy zakupy, oddajemy swój czas pracodawcy, by wytwarzać towary albo świadczyć usługi w zamian za wynagrodzenie, płacimy podatki, bierzemy i spłacamy kredyty itd. Ekonomię, która jako dyscyplina naukowa narodziła się w czasach nowożytnych, od początku interesowało, czy tego rodzaju zjawiskami, w ujęciu globalnym, rządzą jakieś prawa. Poznanie tych praw pozwalałoby nie tylko lepiej rozumieć zjawiska ekonomiczne, ale też je przewidywać. Jak to istotne, boleśnie przekonujemy się za każdym razem, gdy na świecie wybucha kryzys.

Tradycyjna ekonomia opisuje, co kieruje decyzjami konsumentów i producentów (to dziedzina mikroekonomii) oraz bada, co determinuje globalne trendy (tym zajmuje się makroekonomia). W ostatnich latach, dzięki rozwojowi mocy obliczeniowej komputerów, popularność zyskało jednak inne podejście, w którym próbuje się badać i przewidywać zjawiska makroekonomiczne, modelując zachowania olbrzymiej liczby ekonomicznych agentów – czyli jednostek podejmujących własne wybory.

Ekonomia złożoności

Jednym z pionierów ekonomii opartej na wielu agentach jest Doyne Farmer, profesor Uniwersytetu Oksfordzkiego, którego najnowszy pomysł wywołał w środowisku duże poruszenie. Farmer zaplanował stworzenie modelu globalnej gospodarki, w którym decyzje każdej firmy na świecie byłyby symulowane w oparciu o wielkie zbiory danych. Koszt całego przedsięwzięcia: 100 milionów dolarów.

Taki model miałby moc predykcyjną, z którą nie mógłby konkurować żaden istniejący model makroekonomiczny. Do czego można by go wykorzystać? Zdaniem Farmera, mógłby on przewidywać kryzysy finansowe, a także posłużyć do ograniczania zmian klimatycznych. Globalny kryzys finansowy z 2008 r. kosztował świat około 10 bilionów dolarów. 100 milionów dolarów to przy tym mała suma – zaledwie jedna stutysięczna tej kwoty.

Doyne Farmer jest nietuzinkowym ekonomistą. Ma doktorat z fizyki, obroniony na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Cruz. W latach 70., będąc jeszcze na studiach, zbudował z kolegami przenośny komputer, który ukryli w podeszwie buta i używali do obliczeń pozwalających im pokonać ruletkę. Osiągnęli 20-procentową przewagę nad kasynem, chociaż borykali się z ciągłymi problemami technicznymi. Ostatecznie Farmer poświęcił się badaniom rynków finansowych. Fizyk od lat jest związany z Santa Fe Institute, instytucją postrzeganą jako „klub dla geniuszy", gdzie od 1984 r. badacze, których zainteresowania wykraczają poza ramy dyscyplin, spotykają się, by odkrywać prawa rządzące dynamiką systemów złożonych – w fizyce, biologii i społeczeństwie.

W Oxfordzie Farmer jest dyrektorem programu Ekonomii Złożoności w założonym w 2012 r. Institute for New Economic Thinking – ufundowanym przez powstały w 2009 r. w Nowym Jorku think tank o tej samej nazwie, którego celem jest tworzenie nowych teorii ekonomicznych, mających na celu naprawić „zepsuty" system gospodarczy. Stworzenie super modelu świata opartego na bardzo szczegółowych danych jest tylko jednym z przykładów tego, jak Farmer próbuje zrewolucjonizować metody używane w ekonomii. Wcześniej jego pionierskie modele rynków finansowych wyjaśniały anomalie ruchów cen akcji oraz to, jak

eprasa.pl f1a314a829



„racjonalne" decyzje inwestorów mogą doprowadzić do kryzysów finansowych. Badał też związek pomiędzy wahaniami cen akcji a skłonnością inwestorów do wyprzedawania swoich aktywów finansowych. Jeśli wielu inwestorów zachowa się w ten sam sposób, powoduje to dalszy spadek cen akcji i może doprowadzić do fali niewypłacalności firm, które posiadają takie wyprzedawane aktywa.

Super model Doyne'a Farmera

Farmer w modelowaniu rynków finansowych używa modeli agentowych. Są to modele, w których agenci, reprezentujący różne osoby – np. producentów, inwestorów lub konsumentów – są opisywane za pomocą rozmaitych cech i zasad zachowań. Oddziałują na siebie, naśladują zachowania innych i konkurują z sobą. Interakcje te generują pewne wzorce, do których poszczególne osoby dostosowują swoje wybory. Zjawisko to dobrze ilustruje model segregacji stworzony przez ekonomistę Thomasa Schellinga, który pokazał, że jeżeli ludzie chcą, by przynajmniej jedna trzecia sąsiadów była do nich podobna (np. pod względem rasowym, etnicznym czy majątkowym), to w efekcie doprowadzi to do całkowitej segregacji miasta. Segregacja przestrzenna, która pojawiła się w modelu w wyniku interakcji agentów, była właśnie takim wzorcem, którego wystąpienie w modelu zaskoczyło samego Schellinga. Pozornie niewinna potrzeba, by przynajmniej trzech na dziesięciu sąsiadów było do mnie podobnych, prowadzi do niespodziewanych efektów na poziomie makro.

Ekonomia głównego nurtu jest bardzo konserwatywna i nie akceptuje łatwo nowinek naukowych, także takich, a może szczególnie takich, które podważają zasadność założeń, na których opierają się tradycyjne modele. Dlatego modele agentowe przez kilkadziesiąt lat znajdowały się na uboczu ekonomii. ↦

eprasa.pl f1a314a829

↦ Doyne Farmer, dzięki swoim pracom na temat rynków finansowych oraz wytrwałości w tłumaczeniu zalet modeli agentowych w ekonomii i finansach, sprawił, że niektóre banki, np. Bank Anglii, zaczęły używać takich modeli. Było to nie lada wyzwaniem, jako że banki od lat opierały swoje polityki na modelach równowagi, aby oceniać stabilność gospodarczą i finansową. W takich modelach złożoność systemów ekonomiczno-społecznych jest zredukowana do jednego agenta, który reprezentuje wszystkie osoby w społeczeństwie i podejmuje zawsze optymalne decyzje.

Modele używane przez banki nie uwzględniały zatem decyzji indywidualnych inwestorów ani finansowych instrumentów pochodnych (derywat), które służą do ograniczenia ryzyka inwestycji, ale są także wykorzystywane do spekulacji giełdowych. W rezultacie modele te nie były w stanie przewidzieć kryzysów wynikających z interakcji na rynku finansowym ani narastania ryzyka systemowego, które pojawia się na zasadzie efektu domina (nagłe niewypłacalności dużych instytucji wpływają na aktywa innych instytucji, które szybko także stają się niewypłacalne).

Idea kreatywnej destrukcji

Obecnie zespół Farmera buduje agentowe modele makroekonomiczne dla wielu krajów świata, w których decyzje indywidualnych firm są modelowane w oparciu o szczegółowe dane przedsiębiorstw. Modele agentowe rynków finansowych przyniosły rewolucję w przewidywaniu kryzysów – czy podobną rewolucję w makroekonomii zrodzą modele złożoności zasilane wielkimi zbiorami danych?

Propozycja Farmera nie jest pierwszym rozwiązaniem tego rodzaju. Od innych odróżnia go skala tego projektu. Tradycja modelowania agentowego w makroekonomii sięga lat 80., kiedy powstała pierwsza praca Richarda R. Nelsona i Sidneya G. Wintera. Badacze ci odwzorowywali reguły decyzyjne przedsiębiorstw inwestujących w innowacje i imitujące inne firmy działające na rynku.

Ich model opierał się na tzw. idei kreatywnej destrukcji, spopularyzowanej przez austriackiego ekonomistę Josepha Schumptera. Zgodnie z nią każda innowacja jest twórczym przełomem: firma, która ją wprowadza, zyskuje silną pozycję na rynku i ponadprzeciętne korzyści, a jednocześnie odbiera przewagę tym, którzy wcześniej zarabiali na starszych rozwiązaniach (przykładem są maszyny do pisania, całkowicie wyparte przez komputery).

Od czasu pracy Nelsona i Wintera powstało wiele makroekonomicznych modeli agentowych, które pokazywały, jak proces kreatywnej destrukcji wyjaśnia dynamikę cykli gospodarczych (np. przejście od recesji do rozkwitu). Większość takich modeli zadowalała się wyjaśnianiem procesów gospodarczych i zależności pomiędzy nimi, a nie próbą przewidywania przyszłości. Jest samo w sobie nie lada wyzwaniem, aby model wyjaśniał kilka zjawisk naraz, np. rosnące PKB i cykle gospodarcze, wymaga to często wielu miesięcy żmudnej pracy poprzez dopasowanie parametrów i zmienianie założeń modelu – czyli „poprawiania równań".

Doyne Farmer już stworzył model, który obejmuje wszystkie firmy energetyczne, platformy wiertnicze, elektrownie i inne aktywa. **Pozwala to na precyzyjne modelowanie cen i podaży paliw.**

Czy można przewidzieć przyszłość?

Pierwszy model agentowy oparty na wielkich zbiorach danych, o mocy predykcyjnej przekraczającej tradycyjne modele makroekonomiczne, stworzył Sebastian Poledna z zespołem z Międzynarodowego Instytutu Stosowanej Analizy Systemowej (IIASA) w Wiedniu. Ekonomista ten opracował model Austrii liczący tyle samo agentów, co mieszkańców tego państwa. Parametry zostały skalibrowane przy użyciu danych ze spisu powszechnego i badań ankietowych przedsiębiorstw. W prognozowaniu wzrostu gospodarczego na kilka lat w przód model Poledny pokonał modele makroekonomiczne używane przez banki, także przez NBP. Badacz użył swojego rozwiązania do oszacowania potencjalnych strat spowodowanych przez powodzie (tradycyjne modele ekonomiczne mogą tylko szacować w przybliżeniu skalę strat).

Projekt z Wiednia wzbudził wiele ekscytacji w środowisku ekonomistów zajmujących się modelowaniem agentowym. Został on zreplikowany dla kilku krajów. W tym samych czasie zaczęły się pojawiać głosy krytyczne badaczy, którzy uważali, że modele agentowe nie po to zostały stworzone, aby służyć przewidywaniom, ale raczej odkrywaniu mechanizmów wyjaśniających złożone zjawiska. Oraz że nie da się przewidywać przyszłości, ponieważ z samej swej natury innowacje są nieprzewidywalne.

Nie zniechęca to Doyna Farmera. Chociaż innowacje mogą wydawać się z natury nieprzewidywalne, to ich pojawianie się podlega pewnym empirycznym prawidłowościom. Dowodu na to dostarczył sam Farmer. Wspólnie z kilkoma współpracownikami opracował teorię uogólniającą prawa Moore'a, aby wyjaśnić, jak koszty nowych technologii spadają wraz ze wzrostem produkcji.

Prawo Moore'a pochodzi od Gordona Moore'a, współzałożyciela firmy Intel, który zauważył, że liczba tranzystorów w mikroczipie podwaja się mniej więcej co dwa lata. Według Farmera, jeśli zgromadzimy szczegółowe dane dotyczące wielu różnych technologii, będziemy mogli je wykorzystać do sporządzania wiarygodnych prognoz dotyczących postępu technologicznego. Na przykład będziemy mogli przewidywać dynamikę spadku cen energii odnawialnych, na czym koncentruje się Farmer.

Dlatego nie ustaje on w zbieraniu danych. Jego zespół już stworzył model, który obejmuje wszystkie istniejące na świecie 30 tys. firm energetycznych oraz 160 tys. platform wiertniczych, elektrowni i innych aktywów. Pozwala to na precyzyjne modelowanie cen i podaży paliw. „Dosłownie modelujemy procesy decyzyjne wszystkich przedsiębiorstw energetycznych na świecie" – mówił Farmer w rozmowie z brytyjskim „The Guardian".

Wśród możliwych zastosowań swojego wymarzonego super modelu całej gospodarki Farmer wymienia ograniczenie zmian klimatycznych. Uważa on, że modele klimatyczne głównego nurtu przeszacowują koszt transformacji ener-

eprasa.pl f1a314a829

getycznej, bo nie uwzględniają postępu technologicznego na rynku energii odnawialnej. Dlatego jego model, jeżeli powstanie, będzie mógł bardziej realistycznie niż dotychczasowe modele przewidywać zarówno zmiany klimatyczne, jak i opracowywać polityki, które miałyby im przeciwdziałać.

Granice ekonomii

Brzmi to wszystko niesamowicie, jednak nie wszyscy ekonomiści podzielają optymizm Farmera. Problemem jest to, że nie da się modelować wszystkiego. Sukces transformacji energetycznej jest zdeterminowany dostępnością metali rzadkich – a niektóre z nich, jak kobalt, mogą się wyczerpać do 2050 r. Jeśli nie odkryjemy nowych złóż tego metalu lub pierwiastków zastępczych, to wystarczającej ilości paneli słonecznych nie da się wyprodukować nawet przy największym spadku cen energii odnawialnej. A przy tym nawet najlepszy model nie jest w stanie przewidzieć nowych „radykalnych" technologii, niepolegających na ulepszaniu już istniejących rozwiązań technologicznych.

Zaniepokojenie budzi także fakt, że uproszczone wersje modelu Poledny, w których jeden „agent" reprezentuje tysiąc lub dziesiątki tysięcy osób, dawały podobne wyniki jak modele odwzorowujące każdego człowieka osobno. Mimo ogromnej szczegółowości supermodele w praktyce i tak upraszczają ludzkie zachowania, więc ich przewaga może być mniejsza, niż przekonują ich zwolennicy. Ich dużym osiągnięciem jest modelowanie różnorodnych agentów, np. gospodarstw domowych, które różnią się majątkiem, aktywami i zarobkami.

Słabością tych modeli jest jednak to, że wszyscy zachowują się tak samo, np. taką samą część dochodu przeznaczają na jedzenie czy rozrywkę, niezależnie od dochodu lub etapu życia. Zatem nie są te modele tak uniwersalne, jak postulują to ich autorzy, i nie da się za ich pomocą analizować polityk w skali mikro, np. tego, jak rozwiązaniami urzędowymi wpływać na wybory konsumpcyjne gospodarstw domowych. Super modele pozwalają odpowiadać na pewne pytania, ale nie pozwalają symulować rzeczywistych decyzji konsumpcyjnych milionów osób. W rezultacie przeskalowanie modelu w celu zredukowania liczby agentów nie zmienia znacząco jego wyników.

I jeszcze jedna wątpliwość. Super model świata Doyna Farmera obiecuje niespotykaną dziś moc predykcyjną dzięki połączeniu modeli agentowych, szczegółowych danych i wielkich mocy obliczeniowych. Pytanie: do przewidywania czego potrzebujemy takich modeli? „Małe" modele agentowe rynków finansowych doskonale wyjaśniały mechanizmy prowadzące do kryzysów finansowych, takich jak ten z 2008 r., tylko wcześniej nikt nie zwracał na nie uwagi. Natomiast prognozowanie np. wzrostu gospodarczego jest zawsze obciążone błędem spowodowanym różnego rodzaju szokami w gospodarce i nawet model Poledny dokładnie „widzi" PKB tylko na kilka kwartałów do przodu. Żaden model ekonomiczny nie przewidzi choćby pandemii czy wojny na Bliskim Wschodzie, których skutki możemy analizować tylko *ex post*.

Pytanie za 100 milionów

W pracy pod kierunkiem prof. Tatiany Filatovej z Uniwersytetu w Delfcie, opublikowanej w czasopiśmie Amerykańskiej Akademii Nauk („PNAS"), proponujemy inne rozwiązanie – łączenie różnego rodzaju modeli. Idea jest następująca: skoro istnieją już rozwiązania teoretyczne, które dość dobrze przewidują wzrost gospodarczy czy skutki zmian klimatycznych dla ekonomii, to użyjmy ich. Poprawmy jednak ich słabości, czyli nierealistyczne założenia na temat interakcji społecznych – dla przypomnienia, mają one tylko jednego agenta reprezentującego całe społeczeństwo. Zamieńmy więc te komponenty na sieci agentów, których sparametryzujemy w oparciu o rzeczywiste dane.

Modele klasyczne zakładają istnienie racjonalnych podmiotów gospodarczych optymalizujących swoje decyzje, np. firm minimalizujących koszty czy decydentów planujących polityki, aby poprawić dobrobyt społeczny. Z kolei modele agentowe doskonale sprawdzają się w analizie funkcjonowania instytucji społecznych i zróżnicowanych zachowań ludzkich, w tym np. decyzji dotyczących inwestycji w ubezpieczenia na wypadek katastrof klimatycznych, czy zachowań proklimatycznych, takich jak zakup samochodów elektrycznych lub paneli słonecznych.

Wybory te nie podlegają często prostej logice optymalizacji – bo są podejmowane pod wpływem decyzji innych osób. We wspomnianej pracy przekonujemy, że łączenie modeli, które sprawdziły się w wyjaśnieniu zjawisk na różnych poziomach decyzyjnych (globalnym, sektorowym i indywidualnym), ma szansę pomóc w analizie bardziej skutecznych niż dotychczasowe polityk klimatycznych, a przy tym nie wymaga angażowania olbrzymich mocy obliczeniowych.

Ale czy łączenie różnych modeli sprawdzi się lepiej w rozwiązywaniu problemu zmian klimatycznych niż jeden super model Doyne'a Farmera? To pytanie za 100 milionów dolarów.

© KAROLINA SAFARZYŃSKA

Autorka jest profesorką ekonomii, pracuje na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się ekonomią złożoności i ekonomią behawioralną. Tworzy modele teoretyczne, które służą projektowaniu rozwiązań politycznych i ekonomicznych wykorzystywanych w przeciwdziałaniu zmianom klimatycznym.

POŻEGNANIE

Dnia 5 marca 2026 r. odeszła do Pana

Ś.†P.

mgr Barbara Zgorzelska

Absolwentka KUL-u w groźnych latach stalinizmu,
wierna do końca życia czytelniczka „Tygodnika Powszechnego".
Żegnamy Ją ze smutkiem, bo nie ma Jej wśród nas, ale i z ufnością,
że Pan przyjmie Jej życie na chwałę Swoją.

Przyjaciele

eprasa.pl f1a314a829

WOJCIECH

Bonowicz: *Powrót*



No to wracam. Powiedzmy, że z wiosną. Wiosna – wiadomo: buchnęła zielenią, ciepły deszcz spłukał zimowe brudy, koty dostają małpiego rozumu. Wszystko jest, jak być powinno, chociaż niezupełnie. Człowiek dziś nie może już być pewien, czego się po której porze roku spodziewać. To, o czym uczyliśmy się w przedszkolu (a ja od mamy i taty, bo do przedszkola mnie nie posłano), jakoś takie mało adekwatne się zrobiło: zima jest wiosną, wiosna latem, w dodatku zdarzają się nawroty, cykl doroczny to ciągłe niespodzianki. Nawiasem mówiąc, w przedszkolu (a mnie mama i tata) uczyli też, żeby nie kłamać, nie przezywać, ładnie się wyrażać, po cudze nie sięgać, po sobie posprzątać... I podobnie jak z tą wiedzą o wiośnie, także i te umiejętności rzeczywistość ostatnimi czasy nieprzyjemnie weryfikuje.

No ale wracam. Wracam z nadziejami, które starałem się tu na miarę swoich możliwości rozniecać, i wątpliwościami, które nigdy mnie nie opuszczały. Wracam w atmosferze coraz bardziej krzykliwej i krwiożerczej, ze świadomością, że tym bardziej trzeba się zatroszczyć o słowo nieutytłane, myślenie niezaśmiecone, nowinę dobrą. Tak ambitnie, ale jakże by to wyglądało, gdybym wracał bez ambicji?! Może i nie jest w cenie to, czego mnie mama i tata nauczyli, ale jakoś się do tego przywiązałem. Wracam, bo jeszcze mam dość sił, by wrócić, zresztą mierzę te siły na zamiary, a zamiary mam dalekosiężne. Człowiek chciałby ten świat zostawić lepszym, niż zastał, albo chociaż niegorszym. Wracam zatem nasłuchiwać, co piszczy w trawie, i o tych piskach, szmerach, jękach i westchnieniach z dołu dobiegających pisać. Czy słuch mi się nie pogorszył, to się okaże. Mnie się wydaje, że w trawie, na dole, wszystko trochę inaczej przebiega – a więc też inaczej się artykułuje – niż na powierzchni. Ale może się łudzę. Nie wiadomo dziś, czy to „góry" naśladują „doły", czy też „doły" „góry". Tu też wszystko pozamieniało się miejscami.

Lewitujemy. Tak o Polakach pisał kiedyś Konwicki. Kiedyś? Przeszło pół wieku temu! Tadeusz Konwicki to był pisarz pełną gębą, więc nawet jak napisał coś od niechcenia, to się to czytało. I zawsze było coś na rzeczy, także w tym, co od niechcenia napisane. „Lewitacja to nasz ulubiony środek lokomocji", twierdził Konwicki. Poruszamy się raczej górą, niż po ziemi, bo ta ziemia błotnista, przez obcych zadeptana, nie kocha nas, mówimy, i „stale się nam usuwa spod nóg". „Więc lewitujemy sobie wysoko nad ziemią w stratosferze naszych rojeń. W skromnym kosmosie naszej gorączkowej, chorobliwej wyobraźni, gdzie sami dla siebie jesteśmy Opatrznością".

Wysoko powiedziane, może trochę za wysoko, zwłaszcza jak na standardy dzisiejsze, ale czy nieprawda? Lewitujemy. Peron nam odjechał. Samych siebie wystrzeliliśmy w kosmos. I pewnie inne jeszcze podobne metafory znalazłyby się na opisanie naszej sytuacji. Wykazujemy straty, ale obiecujemy miliardy. Jak nam urosną koszty, obniżymy ceny. Nikt się z nami nie liczy, ale tupniemy nogą i świat zadrży. Jeszcze się na dobre nie zaczęła kampania wyborcza, a już lewitujemy na całego. Jeden drugiego łapie za klapy i szarpie. Gdzie Polska? Została gdzieś tam, w dole. Ważne, żeby za klapy złapać, kogo trzeba. I szarpać, szarpać, szarpać...

Bo też przecież nie wszyscy lewitować mogą. Ktoś to widowisko z dołu ogląda. Może i ziemia nas nie kocha, ale życie w dole trwa w najlepsze. A jeśli nie w najlepsze, to z cierpliwą determinacją. Tyle że to lewitowanie kusi strasznie i człowiek co rusz, zamiast się ziemi trzymać, wzrok ku górze wznosi i zazdrości. I zaczyna żyć tym, co tam widzi, zamiast żyć życiem swoim, a na tamto się nie oglądać. A prawda jest taka, że najbardziej lewitują ci, którzy powinni służyć. Ale „służyć" to już jest słowo ze słownika tylko, a ten słownik na półkę odłożony kurzem zarasta. Zresztą wielu z nas podoba się tamto lewitowanie. Zawsze to jakaś rozrywka, a największa rozrywka wtedy, jak ktoś na łeb, na szyję spadnie. Więc to nie takie proste, o nie. Konwicki napisał, że wszyscy lewitujemy. I „dół", i „ góra". I „sami dla siebie jesteśmy Opatrznością". Mocne.

Jak mówił klasyk: skrzydła rzecz dobra, ale człowiekowi do życia potrzeba też ołowiu. Może się w tym, co się dzieje, nie pogubię. A nawet jeśli się pogubię, to z wami, którzy tu na mnie czekaliście. Z naszego wspólnego pogubienia zrobię temat. I kto wie, może z czasem się okaże, że temat tak naprawdę jest inny. Może właśnie nadzieja... Może odwaga... No więc wracam. Wracam – na swoje miejsce. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

eprasa.pl f1a314a829



TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY „TP” 12/2026

JÓZEF MAKSYMILIAN OSSOLIŃSKI

200 LAT DZIEDZICTWA



ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH

Przetrwamy kolejne 200 lat

ŁUKASZ KAMIŃSKI, DYREKTOR ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH:

Naszym zadaniem jest służyć wszystkim – niezależnie od poglądów czy sporów politycznych. I cieszy mnie, że także klasa polityczna to dostrzega i traktuje Ossolineum jako instytucję stojącą ponad bieżącymi podziałami.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Właśnie obchodzimy 200. rocznicę śmierci Józefa Maksymiliana Ossolińskiego. Kim był założyciel Zakładu Narodowego i co właściwie stworzył?

ŁUKASZ KAMIŃSKI: To niewątpliwie wybitna postać swojej epoki – i ktoś, kto może inspirować także dziś. Ossoliński był uczonym: historykiem, badaczem literatury, tłumaczem autorów starożytnych, a zarazem sprawnym politykiem. Dzięki swojej pozycji na dworze cesarskim w Wiedniu mógł realizować ambitne projekty.

Najważniejszym z nich był oczywiście Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Sama idea nie była całkowicie nowa – podobnie myśleli choćby Tadeusz Czacki czy Izabela Czartoryska – ale Ossolińskiemu udało się stworzyć instytucję najbardziej wszechstronną i trwałą.

eprasa.pl f1a314a829



Fragment mapy świata Klaudiusza Ptolemeusza, z przedstawieniem Europy. „Cosmographia", Ulm 1482; Ze zbiorów Narodowej Biblioteki Ossolineum.

Od początku myślał o niej bardzo nowocześnie: nie tylko jako o bibliotece, lecz o całym systemie obejmującym muzeum, działalność naukową i wydawniczą oraz mechanizm finansowy, który miał zapewnić instytucji funkcjonowanie przez pokolenia. W tym sensie była to jedna z pierwszych polskich fundacji – projekt długiego trwania, powstały w czasie, gdy po utracie państwowości trzeba było na nowo odpowiedzieć na pytanie, czym jest Polska i jak naród może przetrwać bez własnego państwa.

Co było trzonem jego kolekcji – wokół czego Ossoliński zaczął budować całe przedsięwzięcie?

Początek kolekcji był związany z jego własną działalnością naukową. Ossoliński stworzył rozległą bibliotekę. Na marginesie – zajmował się nią Samuel Bogumił Linde, przy okazji zbierając materiały do swojego „Słownika języka polskiego". Ossoliński szybko dostrzegł, że ten księgozbiór ma znacznie większy potencjał i powinien służyć nie tylko jemu, lecz całemu narodowi.

Już na przełomie XVIII i XIX wieku myślał o tym, by nadać temu projektowi trwałą formę instytucjonalną. W 1804 r. podpisał umowę ze Stanisławem Zamoyskim – pierwotnie planowano, że przyszła instytucja będzie działać w Zamościu, przy tamtejszej akademii, tak aby księgozbiór służył badaniom i kształceniu młodych ludzi. Po zmianach granic po epoce napoleońskiej trzeba było jednak szukać nowego miejsca. Ostatecznie Ossoliński zdecydował się na Lwów.

Gdy w 1817 r. uzyskał zgodę cesarza na powołanie instytucji, jej rdzeniem była właśnie biblioteka. Miała ona jednak bardzo szeroki charakter – obok książek znajdowały się w niej grafiki, rękopisy czy zbiory przyrodnicze. Ossoliński zdawał sobie przy tym sprawę, że brakuje w niej sztuki, dlatego w 1823 r. zawarł umowę z Henrykiem Lubomirskim. Dzięki temu powstał drugi filar instytucji – Muzeum Książąt Lubomirskich.

Od początku zakładano też działalność naukową i wydawniczą. Ossoliński przewidywał wydawanie czasopisma naukowego, a w 1827 r. – już po jego śmierci – zaczęło działać wydawnictwo Ossolineum.

Ossolineum to jedna z nielicznych instytucji w polskiej kulturze o tak długim trwaniu. Jak udało się jej przetrwać tyle historycznych burz?

Sama idea, która przyświecała Ossolińskiemu – przekonanie, że kultura pozwala narodowi przetrwać nawet bez własnego państwa – okazała się niezwykle trwała. Co więcej, ta idea przez kolejne pokolenia znajdowała ludzi, którzy byli gotowi ją podtrzymywać. W momentach kryzysowych zawsze znajdowali się Ossolińczycy, którzy potrafili znaleźć wyjście z trudnej sytuacji i jednocześnie cieszyli się rosnącym zaufaniem społecznym.

Najbardziej dramatycznym momentem był oczywiście koniec II wojny światowej i zmiana granic. Dla wielu ludzi polskiej kultury i nauki było jednak oczywiste, że Ossolineum musi dalej istnieć. Udało się wywrzeć presję na władze komunistyczne, które podjęły negocjacje ze stroną sowiecką. W ich wyniku część zbiorów udało się sprowadzić do Polski, a nową siedzibą instytucji stał się Wrocław. Gdyby nie wcześniejsza pozycja Ossolineum, ta historia mogłaby się po prostu zakończyć w 1945 r.

Także w kolejnych dekadach instytucja zachowała wyjątkową pozycję. Nawet po nacjonalizacji w 1953 r. kolekcje stale się wzbogacały. Wielu ludzi uważało Ossolineum za miejsce szczególne – bezpieczne dla dokumentów związanych z Armią Krajową czy emigracją. Stąd trafiały tu materiały, których gdzie indziej nie można było przechowywać.

Warto też pamiętać, że trzon powojennego zespołu we Wrocławiu stanowili Ossolińczycy ze Lwowa. To oni przenieśli ze sobą nie tylko doświadczenie, ale też etos tej instytucji.

To niezwykła historia – że w ogóle udało się wywieźć ze Lwowa część zbiorów.

Tak, choć była to tylko część kolekcji. Dużą rolę odegrali tu ludzie, którzy byli gotowi wiele poświęcić dla ratowania Ossolineum. Jedną z ważnych postaci był profesor Mieczysław Gębarowicz, konspiracyjny dyrektor instytucji, który pozostał we Lwowie i przez lata opiekował się zbiorami, starając się ocalić jak najwięcej z tego dziedzictwa. ↦

eprasa.pl f1a314a829



ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH X4

Powyżej: widok barokowego gmachu Ossolineum od strony ogrodu, poniżej: złote medale z kolekcji założycielskiej J. M. Ossolińskiego ze zbiorów Muzeum Książąt Lubomirskich w Ossolineum.

↦ Ossolineum odegrało też ogromną rolę w powojennej historii Wrocławia. Była to przez wiele lat właściwie jedyna instytucja z polskimi zbiorami, która mogła stać się fundamentem dla rozwoju miejscowej humanistyki. Trudno sobie wyobrazić powojenny rozwój nauki i kultury we Wrocławiu bez Ossolineum – bez jego książek, rękopisów i zbiorów sztuki.

Nieprzypadkowo więc w tym roku Wrocław ogłosił Rok Ossolineum. To forma uznania dla roli, jaką ta instytucja odegrała w historii miasta i całej kultury polskiej.

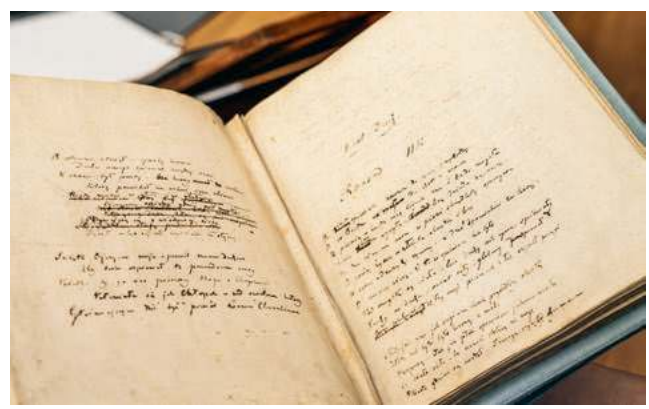
Wchodzimy dziś w epokę cyfrowych archiwów, która zmienia funkcjonowanie instytucji takich jak Ossolineum. Czy to dla Was bardziej wyzwanie, czy szansa?

Do dziś w dużej mierze kierujemy się myślą Ossolińskiego i misją, którą wyznaczył. Jasne jest jednak, że w każdej epoce trzeba ją odczytywać na nowo. Inaczej rozumiano ją w XIX wieku, inaczej w II Rzeczypospolitej, a jeszcze inaczej dziś.

Świadectwem tej zmiany jest choćby to, że dziesięć lat temu powstała nowa część Ossolineum – Muzeum Pana Tadeusza, w którym obok oryginalnych obiektów wykorzystujemy też multimedia. Z jednej strony wpisujemy się w nowe tendencje, z drugiej staramy się je realizować na własny sposób. Bardzo ważnym elementem naszej działalności jest digitalizacja zbiorów. Szczególne znaczenie ma



Poniżej: autograf „Króla Ducha" Juliusza Słowackiego z ok. 1846 r. W okresie międzywojennym Ossolineum nazwano Domem Słowackiego ze względu na ilość posiadanych rękopisów poety.



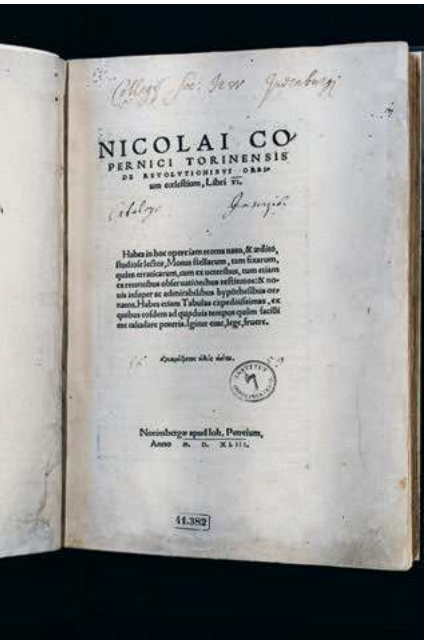
TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 12/2026

REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | SKŁAD: Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara

Na okładce: portret Józefa Maksymiliana Ossolińskiego autorstwa Józefa Brodowskiego, olej wg pasteli Gabrieli Bertrand-Beyer (XIX w.), fotografia obrazu oraz współczesne podkolorowanie cyfrowe: Jacek Dziubiński

eprasa.pl f1a314a829



Mikołaj Kopernik, „De revolutionibus orbium coelestium", Norymberga 1543. Pierwsze wydanie słynnego dzieła Kopernika jest w zbiorach Biblioteki Ossolineum od 1845 r.

tu współpraca ze Lwowem – choćby projekt „Wspólne dziedzictwo w zagrożeniu", realizowany już w warunkach wojennych. Wojna uświadomiła nam dodatkowo, jak ważne jest zabezpieczanie zbiorów także w formie cyfrowej.

Jesteśmy obecni w świecie cyfrowym – prowadzimy digitalizację, udostępniamy zbiory, organizujemy wystawy online. Ale jednocześnie wiemy, że ten świat potrzebuje także swojego materialnego zaplecza. Muszą istnieć miejsca, w których przechowywane są oryginalne artefakty kultury. Dzięki nim można weryfikować to, co krąży w obiegu cyfrowym, sprawdzać autentyczność źródeł, a także budować rzetelną wiedzę.

W internecie można dziś zobaczyć niemal wszystko, ale bezpośrednie spotkanie z dziełem sztuki czy historycznym rękopisem pozostaje doświadczeniem wyjątkowym. Paradoksalnie więc znaczenie klasycznych bibliotek i muzeów może w przyszłości jeszcze wzrosnąć.

Ta cyfryzacja sprawia, że takie miejsce jak Ossolineum jeszcze mocniej wpisuje się w obieg kultury światowej?

To rzeczywiście ułatwia prowadzenie dialogu na poziomie międzynarodowym. Dobrym przykładem jest nasza współpraca ze Lwowem. Docelowo projekt realizowany z tamtejszymi partnerami ma doprowadzić do tego, że historyczna kolekcja Ossolineum – dziś fizycznie podzielona między Lwów, Wrocław i kilka innych miejsc – będzie w przestrzeni cyfrowej dostępna w jednym wspólnym repozytorium. To bardzo ważne, bo ułatwia wymianę naukową i wspólne badania, choć w praktyce i tak często konieczne jest obejrzenie fizycznego obiektu.

Skoro mówimy o Lwowie – trudno dziś nie zapytać także o kontekst wojny w Ukrainie. Czy wpłynęła ona na współpracę wokół tego dziedzictwa?

Tak, przede wszystkim staramy się tę współpracę kontynuować. Chcemy pokazać naszym partnerom, że agresja Rosji jej nie przerwie. Nie traktujemy tych zbiorów wyłącznie jako dziedzictwa jednej strony – stąd nazwa naszego projektu: „Wspólne dziedzictwo w zagrożeniu".

W pierwszych miesiącach wojny najważniejsza była oczywiście pomoc: wsparcie w zabezpieczaniu zbiorów, także w ich digitalizacji, dostawy generatorów prądu. ↦

Przeciw szaleństwu zacności

Jednym z paradoksów historii literatury jest to, że dzieła powstałe w odległych epokach wciąż potrafią być zaskakująco aktualne.

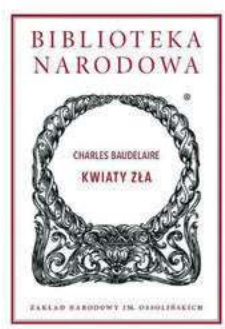
CHOĆ OD PIERWSZEGO WYDANIA „Kwiatów zła" Charles'a Baudelaire'a minęło ponad półtora wieku, ich lektura wciąż potrafi prowokować i zaskakiwać świeżością. Nie dziwi więc, że ten kanoniczny tekst – jeden z najważniejszych, gdy mowa o narodzinach nowoczesnej wrażliwości literackiej – doczekał się kolejnego opracowania. Zbiór został ponownie wydany przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich w drugiej serii „Biblioteki Narodowej", w edycji przygotowanej przez Tomasza Swobodę. Jak często bywa w przypadku wydań z tej serii, lektura wstępu i komentarzy w przypisach okazuje się niemal równie fascynująca jak konfrontacja z samymi wierszami paryskiego mistrza.

DZIĘKI TEMU APARATOWI KRYTYCZNEMU czytelnik otrzymuje również pełniejszy obraz samego autora. Portret Baudelaire'a wyłaniający się z jego biografii i twórczości jest bowiem pełen sprzeczności: to zarazem poeta klasycznej dyscypliny formy i prowokator, dandys i moralista, jeden z pierwszych krytyków romantyzmu, a jednocześnie twórca głęboko uwikłany w romantyczne imaginarium. Właśnie te napięcia sprawiają, że „Kwiaty zła" pozostają dziełem tak wymagającym dla kolejnych pokoleń tłumaczy i interpretatorów.

W KONSEKWENCJI lektura Baudelaire'a nie jest jedynie powrotem do dziewiętnastowiecznego klasyka. Jego poezja wciąż może otwierać nas na to, co zarówno dawniej, jak i dziś bywa marginalizowane: brzydotę, grzech, dekadencję, chorobę czy erotyczny niepokój. Stawka tej estetycznej prowokacji bynajmniej nie przeminęła – przeciwnie, wciąż pozwala rozpoznawać ciemniejsze obszary ludzkiej kondycji.

AUTOR „KWIATÓW ZŁA" jawi się jako człowiek, który przez całe życie walczył o własny styl, własny głos i własne miejsce w literaturze. Czynił to, nie stroniąc od autokreacji i budowania mitów, z którymi przez dziesięciolecia musieli mierzyć się badacze jego twórczości. Dziś jednak, dzięki pracy kolejnych pokoleń interpretatorów, obraz Baudelaire'a staje się coraz wyraźniejszy – a przestrzeń domysłów stopniowo ustępuje miejsca rzetelnej rekonstrukcji jego życia i dzieła.

©℗ JACEK NAPORA



Charles Baudelaire
KWIATY ZŁA
Wstęp i opracowanie:
Tomasz Swoboda
przekład zbiorowy

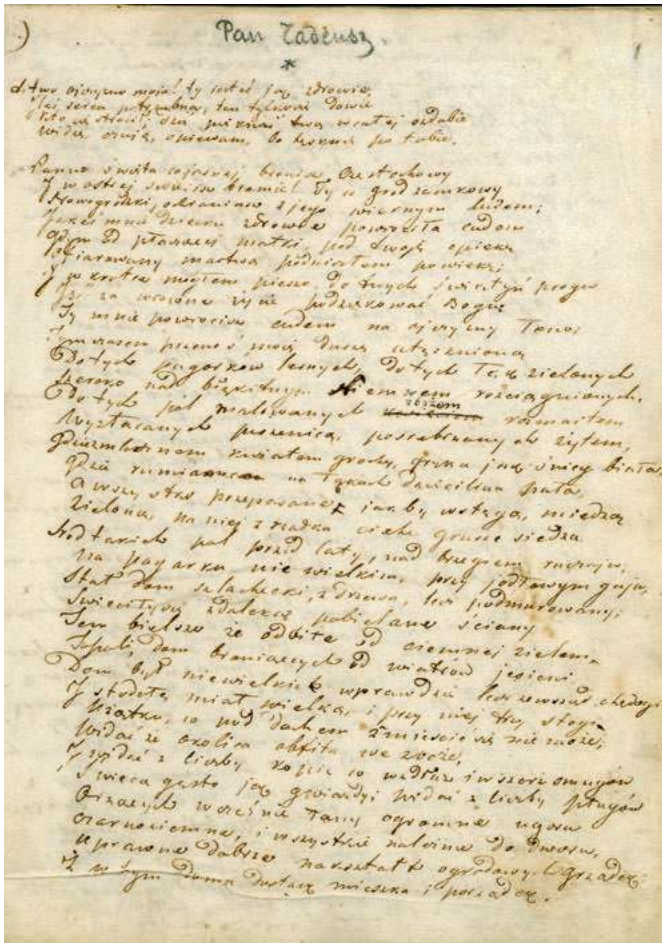
eprasa.pl f1a314a829





ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH X3

Poniżej: Rękopis „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza, który trafił do ossolińskiej kolekcji po wybuchu II wojny światowej. Pierwsza strona tekstu z inwokacją.



Pan Tadeusz

↦ Równocześnie staramy się jednak utrzymywać regularne kontakty naukowe. Kontynuujemy choćby cykl spotkań ossolińskich we Lwowie, który trwa już dwadzieścia lat.

Powstają też nowe formy współpracy. Zapraszamy naszych lwowskich kolegów – dziś są to głównie kobiety, jako że mężczyźni nie mogą opuszczać kraju – na pobyty studyjne we Wrocławiu. Dzięki temu mogą poznawać pracę Ossolineum i innych wrocławskich instytucji, wymieniać doświadczenia i przygotowywać się na czas po wojnie.

Ta sytuacja przypomina też coś bardzo ważnego z naszej historii. W XIX wieku troska o kulturę była w istocie troską o przetrwanie narodu. Dziś widzimy, że podobna walka toczy się w Ukrainie – Rosja próbuje niszczyć także kulturowe fundamenty ukraińskiej tożsamości. To pokazuje, że pytania, które stawiał Ossoliński ponad dwieście lat temu, niestety pozostają aktualne.

Ossolineum ma też niezwykłą zdolność przetrwania politycznych burz. Mam wrażenie, że jedną z jego sił jest to, że potrafi zachować pewien dystans wobec bieżących sporów.

Pomaga nam w tym nasz szczególny status. Ossolineum jest fundacją prawa publicznego, więc funkcjonuje trochę inaczej niż wiele innych instytucji kultury. Przede wszystkim jednak staramy się pamiętać, że naszym zadaniem jest służyć wszystkim – niezależnie od poglądów czy sporów politycznych. I cieszy mnie, że także klasa polityczna to dostrzega i traktuje Ossolineum jako instytucję stojącą ponad bieżącymi podziałami.

eprasa.pl f1a314a829



Czytelnia główna Biblioteki Ossolineum we Wrocławiu w połowie lat 70.

Po lewej: rozpakowywanie zbiorów przywiezionych ze Lwowa. Wrocław, 1948 r.

Powiedzmy jeszcze kilka słów o wydawnictwie Ossolineum – jednym z najstarszych działających wydawnictw w Polsce, które zachowało swój profil, a jednocześnie rozwija nowe obszary.

Rzeczywiście, historia wydawnictwa w dużej mierze odzwierciedla historię całej instytucji – były w niej zarówno okresy rozkwitu, jak i momenty trudne. Jednym z najważniejszych etapów był koniec XIX wieku, kiedy Ossolineum uzyskało monopol na druk podręczników w Galicji. To dawało stabilne finansowanie i pozwalało rozwijać działalność wydawniczą.

Bardzo ważny był też okres II Rzeczypospolitej. Wtedy Ossolineum stało się wydawcą serii „Biblioteka Narodowa", a także uzyskało prawa do publikowania dzieł takich autorów jak Sienkiewicz czy Reymont. Dzięki temu wydawnictwo dysponowało bardzo silnym katalogiem.

Po roku 1953, wraz z nacjonalizacją zakładu, wydawnictwo zostało oddzielone od Ossolineum i włączone do struktur Polskiej Akademii Nauk. Wówczas jego profil się zmienił – stało się wydawnictwem ogólnonaukowym, publikującym prace z różnych dziedzin. Ten model nie przetrwał jednak realiów wolnego rynku. Ostatecznie wydawnictwo zostało ponownie włączone w struktury Ossolineum i dziś znów funkcjonuje jako integralna część instytucji.

Dziś jego markę wciąż budują takie serie jak „Biblioteka Narodowa", ale także nowe projekty – choćby seria poetycka „Wygłosy" czy prozatorska „Z Kraju i ze Świata", prezentująca literaturę polską i przekłady. W kolejnych latach chcielibyśmy w większym stopniu rozwinąć wydawanie prac naukowych, oczywiście tylko z szeroko rozumianej humanistyki.

↦

Wirujący sens

Anne Carson – kanadyjska pisarka, autorka wierszy i książek eseistycznych – od kilku lat wymieniana jest wśród najważniejszych kandydatek do Literackiej Nagrody Nobla. Zapewne dlatego polscy wydawcy chętniej wydają jej kolejne tytuły, dając nam szansę nadrobienia lektury urodzonej w 1950 r. autorki.

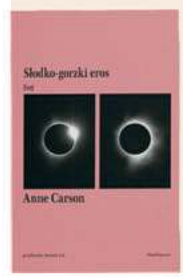
NAPISANY w połowie lat 80. „Słodko-gorzki eros" to zarówno pierwsza książka Carson, jak i pierwsza pozycja, która ukazała się w polskim tłumaczeniu w roku 2020 (autorką świetnego przekładu jest Renata Lis). Zaraz potem dostaliśmy trzy bardzo różne pozycje z dorobku Kanadyjki: „Autobiografię czerwonego" (Ossolineum, 2022), „Piękno męża" (Słowa na wybiegu, 2022) oraz tom „Dekreacja. Wiersze, eseje, opera" (Ossolineum, 2024).

„SŁODKO-GORZKI EROS" to sięgająca do źródeł europejskiej literatury opowieść o ruchu znaczeń i uczuć, nieustannym wirowaniu sensów. Punktem wyjścia opowieści Carson jest scena zaczerpnięta z jednego z tekstów Franza Kafki, w którym pewien filozof próbuje pochwycić kręcącego się bączka, dziecięcą zabawkę. Gdy to wreszcie następuje, mężczyzna wydaje się rozczarowany. Tak samo działa w nas stan zakochania i proces lektury, tłumaczy Carson. Dopóki próbujemy pochwycić sens naszych uczuć albo sens lektury, w której jesteśmy zanurzeni, świat wokół zdaje się błyszczeć i skrzyć niczym obracający się bączek. Gdy jednak uczucie obumiera, a lektura zostaje ostatecznie zinterpretowana, pochłania nas pełen goryczy smutek. Zabawa się kończy.

WYCHODZĄC od najstarszych tekstów literackich – rozpracowywanych wers po wersie utworów Safony, dialogów Platona, fragmentów z Homera – Carson pokazuje, jak literatura potrafi nas skutecznie zwodzić i uwodzić. W swych prapoczątkach (a warto pamiętać, że klasyczna powieść wywodzi się z gatunku zwanego romansem) opowiadała nam ona przecież o losach rozdzielonych kochanków. Dwójka bohaterów za wszelką cenę pragnęła być ze sobą, a kapryśny los albo złośliwy bożek rzucał ich miłości nieustanne wyzwania, co rusz ich od siebie oddalając.

WSZYSTKO TO, co dzieje się podczas rozłąki, wszelkie awantury i przygody, stanowią właściwą treść literatury. Dlatego właśnie zadanie pisarza bądź pisarki polega na umiejętnym odwlekaniu rozkoszy dwójki bohaterów. W tym sensie twórca prowadzi grę nie tylko z postaciami, które tworzy, ale również czytelnikami kibicującymi parze. Podczas gdy czytelniczka i czytelnik trzymają kciuki za szczęśliwe zakończenie, autor, paradoksalnie, robi wszystko, by je uniemożliwić.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA



Anne Carson
SŁODKO-GORZKI EROS. ESEJ
przełożyła Renata Lis

eprasa.pl f1a314a829

Dom na końcu czasu

Aidan Higgins stworzył jedną z najbardziej osobliwych powieści irlandzkiego modernizmu – język, dzięki któremu można opowiedzieć o smutku przemijania i świecie, który dawno już przestał istnieć.

ŚWIAT, KTÓRY ZAMIESZKUJĄ trzy siostry Langrishe – bohaterki powieści „Zejdź na dół, Langrishe" z 1966 r. – choć jeszcze trwa, jest już właściwie martwy. Chodzi zarówno o sam dom Springfield House na irlandzkiej prowincji, jak i o porządek społeczny, który przez wieki tworzyło tamtejsze ziemiaństwo.

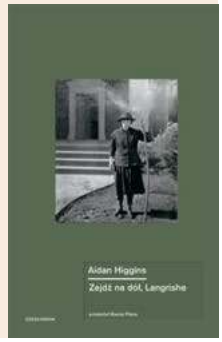
HIGGINS W SWOJEJ DEBIUTANCKIEJ POWIEŚCI wydanej w 1966 r. próbuje opowiedzieć o tamtym miejscu i czasie, które jeszcze pamięta z dzieciństwa. Nie ma tu jednak ani śladu nostalgii, jest raczej gęsta, przenikająca wszystko melancholia – pozostaje już tylko pozbawione nadziei trwanie.

HIGGINS NAWIĄZUJE TU do ważnej w Irlandii tradycji opowieści o „dużych domach" – dawnych siedzibach ziemiaństwa, symbolach pozycji i prestiżu. W czasach sióstr Langrishe są one już tylko widmem dawnego porządku, które nawiedza gwałtownie i niepokojąco zmieniający się świat. Bo nawet na tych odległych peryferiach Europy czuć zbliżającą się wojnę.

TA RZECZYWISTOŚĆ – choć niemal całkowicie statyczna – wciąż przeniknięta jest napięciami: niewyjaśnionymi krzywdami i urazami między siostrami, których przyczyny dawno zatarły się w pamięci. Czasem pojawiają się jednak momenty wzruszenia, małe olśnienia (irlandzka literatura zawsze miała do nich szczególną słabość). Higgins potrafi ocalić je od zapomnienia dzięki niezwykle precyzyjnemu i oszczędnemu językowi, który jest zarazem niezwykle wyczulony na sensualną warstwę rzeczywistości. Niemniej centralną osią powieści pozostaje zawsze dom – a życie jego mieszkanek dogasa w półmroku pustych pokoi.

HIGGINS, ZALICZANY do najważniejszych irlandzkich modernistów (a w Polsce dotąd niemal nieznany), ciekawie eksperymentuje też z formą – miesza plany czasowe i perspektywy, zamiast konkluzji pozostawia wieloznaczne elipsy, odwlekając rozstrzygnięcie losów swoich bohaterek. Dzięki temu udało mu się uchwycić bolesną esencję przemijania – dojmujący smutek towarzyszący końcowi świata, za którym, jak się zdaje, nikt nie będzie tęsknił.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI



Aidan Higgins
ZEJDŹ NA DÓŁ, LANGRISHE
przełożył Maciej Płaza



ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH

Wejście do Ossolineum od Zaułka Ossolińskich

Jakie są dziś największe wyzwania w zarządzaniu instytucją takiego długiego trwania jak Ossolineum?

Oczywiście są kwestie budżetowe, które dotyczą wszystkich instytucji kultury. W przypadku Ossolineum dochodzi jednak jeszcze jedna specyfika – nietypowa struktura organizacyjna. Mamy bibliotekę, dwa muzea i wydawnictwo, czyli instytucje, które zwykle funkcjonują osobno, a u nas muszą działać razem. To jednocześnie nasza siła i pewne wyzwanie zarządcze.

Najbliższym dużym wyzwaniem jest budowa nowej siedziby Muzeum Książąt Lubomirskich. Zlikwidowane przez władze sowieckie w 1940 roku, po przywróceniu Ossolineum statusu fundacji w 1995 r. jest stopniowo odbudowywane, ale do dziś nie ma własnego gmachu. Wkrótce się to zmieni – przed nami duża inwestycja w centrum Wrocławia.

Szerszym wyzwaniem jest dialog z odbiorcami. Jako biblioteka naukowa widzimy, że liczba czytelników odwiedzających nas fizycznie jest mniejsza niż kilkanaście lat temu, co wiąże się z rosnącą dostępnością zasobów cyfrowych. Dlatego coraz większego znaczenia nabiera działalność muzealna i wystawiennicza – liczba odwiedzających nasze muzea rośnie z roku na rok.

Instytucje takie jak Ossolineum muszą stale szukać nowych sposobów opowiadania historii i kultury.

eprasa.pl f1a314a829



MIROSŁAW KOCH / ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH

ŁUKASZ KAMIŃSKI (ur. 1973) jest historykiem i dyrektorem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. W latach 2011-2016 prezes Instytutu Pamięci Narodowej. Specjalizuje się w historii Polski XX wieku.

Przykładem jest przygotowywana wspólnie z Niemieckim Muzeum Romantyzmu we Frankfurcie duża wystawa poświęcona polskiemu romantyzmowi, skierowana do publiczności międzynarodowej.

Gdyby Józef Maksymilian Ossoliński mógł dziś zobaczyć swoje dzieło po dwóch stuleciach – co, Pana zdaniem, ucieszyłoby go najbardziej?

Myślę, że przede wszystkim ucieszyłoby go to, że jego dzieło przetrwało. Ossoliński myślał bardzo perspektywicznie i nie stawiał przed swoją instytucją żadnych ograniczeń czasowych, ale z pewnością ogromną satysfakcją byłoby dla niego to, że Ossolineum istnieje dziś w wolnej Polsce. Jednym z jego marzeń było przecież to, aby naród mógł kiedyś sam decydować o swoim losie i rozwijać swoją kulturę w warunkach niepodległości.

Zapewne zmartwiłoby go natomiast to, że jego kolekcja jest dziś rozproszona. Myślę jednak, że zrozumiałby, dlaczego tak się stało, i doceniłby wysiłki podejmowane, by współpracować z partnerami we Lwowie i na różne sposoby tę spuściznę na nowo łączyć – choćby w przestrzeni cyfrowej.

Mam też nadzieję, że spodobałoby mu się to, że staramy się wciąż na nowo odczytywać zadanie, które przed nami postawił. Nie jesteśmy jedynie strażnikami tego, co stworzył, ale rozwijamy jego ideę w nowych warunkach i odpowiadamy na wyzwania kolejnych epok.

Oby więc Ossolineum mogło istnieć przez kolejne wieki.

Jeśli przetrwaliśmy tak trudne dwieście lat polskiej historii, to jestem przekonany, że przetrwamy także następne.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Mroki niepamięci

Zbiór „Pić się chce. Opowiadania" wprowadza polskiego czytelnika w świat prozy Wolfganga Hilbiga – jednego z najbardziej osobnych głosów literatury niemieckiej drugiej połowy XX wieku.

JEGO TEKSTY wyrastają z doświadczenia powojennych Niemiec i realiów NRD. Nie jest to jedynie literacki zapis epoki. Hilbig wykorzystuje ten kontekst raczej jako tło dla opowieści o pamięci, samotności i niepewności ludzkiego doświadczenia.

AKCJA WIELU OPOWIADAŃ (choć w wypadku Hilbinga trudno mówić o akcji w dosłownym, fabularnym znaczeniu) rozgrywa się w przestrzeniach naznaczonych przemysłową przeszłością: na obrzeżach miast, w pobliżu fabryk, w krajobrazach ruin i opuszczonych zakładów. To świat ciężki, przesycony zapachami wilgoci, sadzy i rozkładu. Narratorzy często wracają do miejsc dzieciństwa („Kiedy zabrakło burz") albo próbują zrozumieć przestrzeń, w której żyją. Im bardziej jednak starają się uporządkować wspomnienia i doświadczenia, tym bardziej rzeczywistość zaczyna się rozpadać na fragmenty obrazów, skojarzeń i niepewnych wspomnień. Tak dzieje się choćby w makabrycznym i mrocznym opowiadaniu „Sen sprawiedliwych".

PROZA HILBIGA jest gęsta i powolna, oparta na długich, rozwijających się zdaniach. Autor nie prowadzi czytelnika prostą fabułą – raczej stopniowo buduje atmosferę i pozwala, by znaczenia wyłaniały się z powracających obrazów. W tej niepewnej, nieco mrocznej rzeczywistości można usłyszeć echo Franza Kafki – podobne poczucie zagubienia bohaterów i napięcie między jednostką a trudnym do uchwycenia porządkiem świata.

JEDNOCZEŚNIE HILBIG potrafi bardzo sugestywnie opisywać materialność otoczenia. Jego teksty pełne są zmysłowych szczegółów – zapachów, faktur i obrazów rozpadającego się krajobrazu. Pod tym względem jego sposób obrazowania może przywodzić na myśl Brunona Schulza, choć u niemieckiego pisarza jest on bardziej surowy i związany z realiami przemysłowego świata.

„PIĆ SIĘ CHCE" to proza wymagająca, ale zarazem bardzo spójna. Zebrane tu opowiadania pokazują pisarza, który bada granice pamięci i języka. Hilbig przypomina, że opowiadanie nie musi być tylko historią – może być także próbą opisania doświadczenia, które trudno uchwycić w jednoznacznej formie. ©℗ JACEK TARAN



Wolfgang Hilbig
PIĆ SIĘ CHCE. OPOWIADANIA
przełożył Ryszard Wojnakowski

eprasa.pl f1a314a829

NOWA POWIEŚĆ LAUREATA NAGRODY BOOKERA

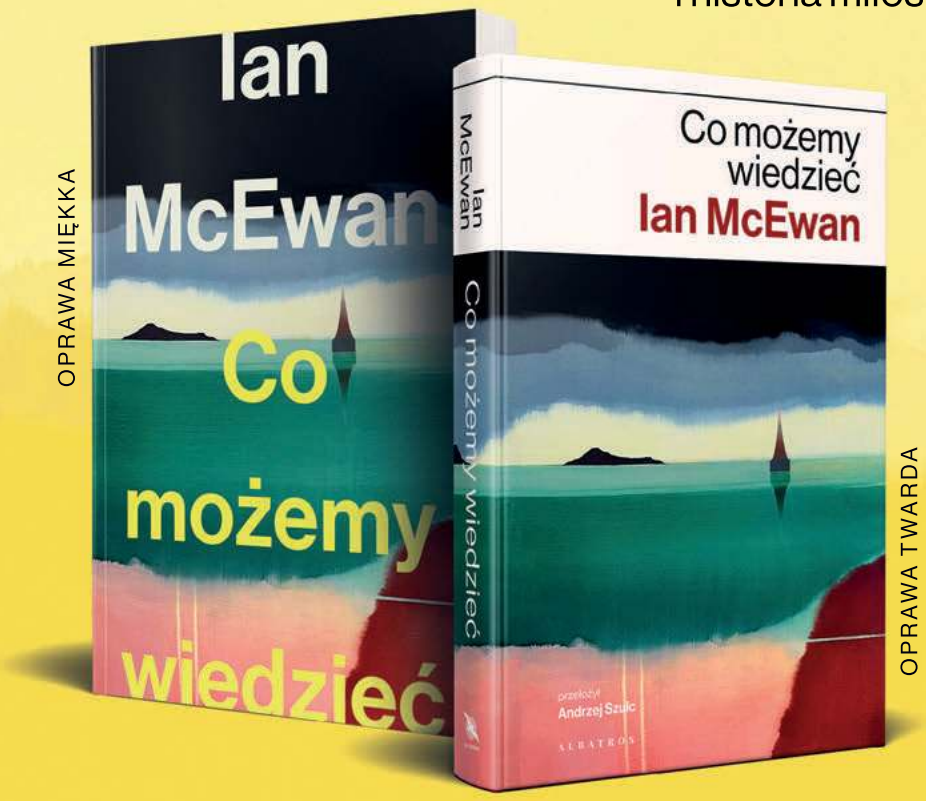
Iana McEwana

JEDNEGO Z NAJBARDZIEJ CENIONYCH WSPÓŁCZESNYCH PISARZY BRYTYJSKICH

Wciągająca podróż przez czas i historię, stawiająca fundamentalne pytanie o to, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy.

Powieść przygodowa, thriller literacki i historia miłosna w jednym.

OPRAWA MIĘKKA



OPRAWA TWARDA

Rok 2119.

Większość zachodniego świata została zatopiona na skutek podnoszącego się poziomu mórz. Na Archipelagach Wysp Brytyjskich historyk literatury Thomas Metcalfe podąża tropem zaginionego przed ponad stu laty mistrzowskiego poematu.



WYDAWNICTWO ALBATROS

REKLAMA

eprasa.pl f1a314a829

Wersja Judasza

To jedna z najbardziej tajemniczych i intrygujących postaci biblijnych. Nic dziwnego, że doczekała się kolejnego filmu.





MATERIAŁY PRASOWE X2

Kim był Judasz? Dlaczego zdradził? Czy w ogóle istniał? Wiele pytań prowokuje ta intrygująca postać – jedna z najbardziej tajemniczych i dramatycznych w Nowym Testamencie. Wymieniany jest wśród dwunastu apostołów – zawsze z przydomkiem Iskariota i z dopowiedzeniem, że zdradził Jezusa. Czy jego przydomek określa miejsce, z którego pochodził? Jest taka hipoteza. W Judei niedaleko Jerozolimy istniało miasto Kariot. Jeśli Judasz z niego pochodził, oznaczałoby to, że był jedynym Judejczykiem wśród pochodzących z Galilei apostołów.

Jest też inna hipoteza. Przydomek ten oznacza przynależność do sykaryjczyków, najbardziej radykalnego odłamu zelotów walczących o niepodległość Izraela. Ta hipoteza działała zwłaszcza na wyobraźnię niektórych pisarzy. Na przykład Amos Oz dostrzegł w zdradzie Judasza próbę sprowokowania Jezusa do dokonania cudu uwolnienia narodu izraelskiego spod rzymskiej okupacji. Ponieważ to się nie udało, odebrał sobie życie.

Problem w tym, że nie wiadomo, czy taka postać rzeczywiście istniała. Na taką wątpliwość wskazuje historyczno-krytyczna lektura Biblii. W najwcześniej zredagowanych pismach Nowego Testamentu, czyli Listach św. Pawła, imię Judasza się nie pojawia. Im później powstawały księgi Nowego Testamentu, tym oskarżenia kierowane do Judasza są mocniejsze. W najpóźniej zredagowanym piśmie – Ewangelii według św. Jana – Jezus, zwracając się do apostołów, mówi o Judaszu wręcz: „A jeden z was jest diabłem".

Istnieje podejrzenie, że postać Judasza została wymyślona, gdyż stała się przydatna w pierwotnej gminie chrześcijańskiej wraz z narastaniem napięcia i niechęci wobec Synagogi. Historia zdrajcy Jezusa – symbolizującego cały naród żydowski – usprawiedliwiała narastający wśród chrześcijan antyjudaizm. Hipotezę tę wzmacnia imię Iskarioty, gdyż po hebrajsku Juda to po prostu Żyd.

Zwraca się także uwagę na pewne sprzeczności czy nielogiczności. Na przykład arcykapłani, chcąc pojmać Jezusa, nie potrzebowali wcale Judasza, gdyż Nauczyciel z Nazaretu nauczał publicznie, nie ukrywał się. Pocałunek Judasza, który w naszej kulturze stał się symbolem zdrady, był zatem nieuzasadniony, a owe słynne trzydzieści srebrników to zupełnie niepotrzebny wydatek. Poza tym ewangelie i Dzieje Apostolskie podają różne wersje końca życia Judasza.

Te wszystkie niejasności wcale jednak nie gaszą naszego zainteresowania tą postacią. Przeciwnie, tym bardziej staje się ona intrygująca i pobudzająca wyobraźnię. Oprócz Amosa Oza o Judaszu pisał Jorge Borges. W ostatnim czasie powstało też kilka filmów o tajemniczej postaci Nowego Testamentu. W jednym z nich Judasz zazdrości popularności Jezusowi, dlatego Go zdradza. Co wyróżnia włosko-polską koprodukcję zatytułowaną „Wersja Judasza"?



MATERIAŁ PROMOCYJNY

W produkcji udział wziął Tomasz Kot, wcielając się w postać apostoła Szymona Gorliwego. Reżyser i scenarzysta Giulio Base zastosował interesujący zabieg filmowy, sprawiający, że widz długo nie widzi twarzy Judasza, będącego narratorem, co wzmaga jego ciekawość, a także sprawia, że na wydarzenia patrzy się niejako oczami głównego bohatera. Głos narratorowi w polskiej wersji użycza Wojciech Mecwaldowski.

Bibliści mogliby co prawda wytknąć reżyserowi połączenie w postaci Marii Magdaleny aż trzech różnych kobiet: nie tylko uczennicy Jezusa, z której – jak głoszą ewangelie – wyrzucił siedem duchów, ale także jawnogrzesznicy obmywającej Jezusowi nogi drogocennym olejkiem i kobiety cudzołożnej uratowanej przed ukamienowaniem. Zabieg ten zapewnił – jak się wydaje – większą zwartość i dramatyczność narracji.

Czy kolejna opowieść o historii Judasza jest przekonująca? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba po prostu film zobaczyć. (SA)

WERSJA JUDASZA (Il Vangelo di Giuda)
– reż. Giulio Base.
Prod. Włochy/Polska 2025.
Dystryb. Balance Film sp. z o.o.
W kinach od 27 marca.

eprasa.pl f1a314a829



JONATHAN OLLEY / AMAZON CONTENT SERVICES

KULTURA

Ryan Gosling w filmie „Projekt Hail Mary", reż. Phil Lord i Christopher Miller, dystr. UIP. W kinach od 20 marca.

BYŁ SOBIE CHŁOPIEC

Każdy szanujący się aktor musi ponoć zaliczyć katalog tradycyjnych ról. Zostać kowbojem, astronautą, jazzmanem, policjantem i zranionym kochankiem. Ryan Gosling był każdym z nich. Niektórymi – dwa razy.

MICHAŁ WALKIEWICZ

Oparty o werandę motocykl, fortepian na hollywoodzkim bulwarze, dmuchana lalka, księżyc zawieszony w kosmicznej próżni, holograficzna dziewczyna górująca nad miejskim labiryntem, kubek z kawą, winda, pusty fotel. To tylko niektóre z tysiąca rzeczy, na które w milczeniu spoglądał Ryan Gosling.

Jak to jest? Kiedy ja wbijam wzrok w pojedynczy punkt i delikatnie mrużę oczy, ludzie pytają, czy wszystko ze mną w porządku. Kiedy robi to Gosling, cały świat wariuje i rzuca w niego pieniędzmi.

Gosling w kosmosie

Obserwowanie ludzi i przedmiotów w zadumie nie jest techniką z elementarza Stanisławskiego. Trudno też dostrzec w podobnym zachowaniu koło zamachowe jakiejkolwiek produkcji – w kinie chodzi raczej o ruch, tempo, zmienną dynamikę, nawet na wykrzywianej grymasami twarzy. Jakimś cudem kanadyjski aktor był w stanie uczynić z tego rodzaju fotogenicznej bierności swoją wizytówkę, a jednocześnie zrobić karierę w filmach wszelkich wag i gatunków.

Przez ostatnie lata widzieliśmy go w wystawnych hollywoodzkich blockbusterach („Barbie" i „Kaskader"), u żywych klasyków formatu Terrence'a Malicka („Song to Song") oraz w krojonych pod Oscary dramatach biograficznych

eprasa.pl f1a314a829

(„Pierwszy człowiek”). Aktor stroił się w netfliksową konfekcję („Gray Man”) i zadawał szyku w ostrych jak brzytwa satyrach („Big Short”). Strzelał też do złoczyńców, spadał z wieżowców, uczył podrywu, no i kochał się na zabój – w ludziach, robotach i plastikowych lalkach. Obnosił się z tym szczególnym rodzajem nonszalancji, który zamienia dobrego aktora w gwiazdę.

We wchodzącym właśnie na ekrany kin filmie „Projekt Hail Mary” Phila Lorda i Christophera Millera znów leci w kosmos. Jako cierpiący na amnezję nauczyciel rozwiąże zagadkę wypalonego słońca. I jest to kolejny film, który uświadamia, że naprawdę trudno dziś traktować karierę Goslinga inaczej niż w kategoriach sentymentalnej podróży do czasów złotej ery Hollywood.

W zgodzie z tą optyką każdy szanujący się aktor musi zaliczyć katalog tradycyjnie „męskich” ról. Zostać kowbojem, astronautą, jazzmanem, policjantem oraz zranionym kochankiem. Gosling był każdym z nich. Niektórymi – po dwa razy.

Gosling tańczy

Nie mam pojęcia, czy fenomen „Klubu Myszki Miki” jako kuźni przyszłych gwiazd showbiznesu doczekał się jakichś naukowych opracowań. Nie da się natomiast ukryć, że popularny w latach 90. program muzyczny wypchnął na rynek całe pokolenie ikon kultury popularnej.

Gosling trafił do drużyny z Britney Spears, Christiną Aguilerą, Justinem Timberlakiem i Keri Russell. I choć czas spędzony na scenie wspomina jako seans nieustającej frustracji (powodowanej głównie zazdrością wobec innych utalentowanych dzieciaków), to już w 1995 r., po finale *show*, fundamenty jego hollywoodzkiej kariery były w zasadzie wylane. Wystarczyło tylko pokonać finałowy tor przeszkód i odhaczyć role w telewizji, reklamach oraz kinie niezależnym.

Ale cóż to był za bieg! Najpierw młody Kanadyjczyk pojawił się w popularnych amerykańskich serialach: „Czy boisz się ciemności”, „Szkole na fali” oraz „Młodym Herkulesie” (1998), czyli prequelu kultowej (również w Polsce) produkcji z Kevinem Sorbo w roli głównej. Później zaś rozsadził ekran w „Fanatyku” (2001) Henry’ego Beana – thrillerze o ambitnym uczniu jeszywy, którego autorska interpretacja Tory wpycha w sidła neonazizmu.

Oscary, których nie dostał

▪ BLUE VALENTINE (2010)
Reż. Derek Cianfrance; HBO Max
Historia związku Cindy (Michelle Williams) i Deana (Ryan Gosling) zaczyna się w rejonach komedii romantycznej. Później zahacza o klasykę amerykańskiego kina niezależnego w stylu Richarda Linklatera i powolutku zmierza w stronę psychodramy. Trudno dociec, czy worek z żalami, niezaleczonymi kompleksami i tłumionymi pretensjami ciąży bardziej widzom, czy bohaterom. Jedno jest pewne: bywały lepsze propozycje na Walentynki.

▪ KOCHA, LUBI, SZANUJE (2011)
Reż. Glenn Ficarra, John Requa; HBO Max, Neftlix
Misiek w kryzysie wieku średniego (Steve Carrell) szuka swojej „zaginionej męskości”. Pomaga mu w tym Gosling, w dwurzędowym bordowym garniturze. „Kocha, lubi, szanuje” to jedna z pierwszych wypraw aktora na terytorium komedii. I od razu zakończona sukcesem – jako tracący grunt pod nogami żigolak Ryan jest jednocześnie zabawny i trochę niedzisiejszy. No i, jak słusznie zauważa jedna z bohaterek, wygląda, jakby obrobiono go w fotoszopie.

▪ BLADE RUNNER 2049 (2017)
Reż. Denis Villeneuve; HBO Max
Statystycznie rzecz biorąc, film, w którym Gosling spogląda najczęściej i na najwięcej rzeczy. Obserwuje cyberpunkowe miasto-labirynt, wyjałowioną ziemię po ekologicznej zagładzie, śnieg padający na wraki samochodów i Harrisona Forda plującego sarkastycznymi odzywkami. Wygląda przy tym fantastycznie i przypomina, że wielkie kino *science fiction* to najczęściej kino ciszy.

▪ PIERWSZY CZŁOWIEK (2018)
Reż. Damien Chazelle; HBO Max
W interpretacji Chazelle’a i Goslinga Neil Armstrong to facet żyjący w tak głębokiej otchłani po śmierci córki, że lekarstwem na egzystencjalny ból może być jedynie inna otchłań. Jak Akademia mogła ten występ przeoczyć? W jednej scenie na obliczu aktora maluje się smutek przechodzący w otępienie. W innej – graniczącą z szaleństwem determinacja. W większości scen wszystkie te emocje tańczą w rytmie elegijnej muzyki Justina Hurwitza. Niezły kosmos. © MW

A jeśli zaczynasz swoją aktorską drogę od zagrania młodszej wersji Kevina Sorbo oraz Żyda zachwalającego „ostateczne rozwiązanie”, to wiedz, że sława jest tuż za rogiem.

Gosling kocha

O ile na przełomie wieków nieco zbyt często obsadzano Goslinga w rolach ofiar nastoletniej psychomachii, o tyle przez kolejne dwie dekady był już spadkobiercą dawnych hollywoodzkich tradycji. Nie ma sceny, która ilustrowałaby to lepiej niż pocałunek w strugach deszczu złożony na ustach Rachel McAdams w „Pamiętniku” (2004) Johna Cassavetesa.

Kto by się przejmował zapachem naftaliny, skoro na naszych oczach eksplodowała gwiazda. Kolejne partie Goslinga scementowały ten wizerunek. W „Szkolnym chwycie” (2006) Ryana Flecka zagrał uzależnionego od narkotyków nauczyciela, zdobywając pierwszą w karierze nominację do Oscara (kolejne otrzymał za musical „La La Land” Damiena Chazelle’a oraz komedię „Barbie” Grety Gerwig)

W „Słabym punkcie” (2007) Gregory’ego Hoblita odnalazł się w innej naftalinowej konwencji – thrillera prawniczego o aroganckim i rzutkim adwokacie oraz jego makiawelicznym rywalu-mentorze. „Miłość Larsa” (2007) Craiga Gillespiego umocniła z kolei jego więzi ze sceną niezależną, a „Drive” (2011) Nicolasa Windinga Refna otworzył mu drzwi do panteonu popkultury. Jako zakochany mściciel bujał się do rytmu synth-popowych hitów, jeździł Chevroletem Malibu rocznik ’73, nosił białą skórzaną kurtkę ze złotym skorpionem i wywijał zakrwawionym młotkiem.

„Pamiętnik” powracał w jego filmografii jako interesujący kontekst. Zwłaszcza w filmach rozprawiających się z mitem romantycznej miłości. „Blue Valentine” (2010) Dereka Cianfrance’a to horror o związku, opowieść o erozji struktury opartej na wspólnocie potrzeb emocjonalnych, seksualnych i duchowych. Dźwigany na barkach przez Goslinga i Michelle Williams, rozpisany został na kontrapunktowe sceny agresji i czułości.

Współpraca aktora z Cianfrance’em zakończyła się na dwóch filmach – na planie „Drugiego oblicza” (2012) poznał swoją żonę, aktorkę Evę Mendes. Niestety, karkołomna konstrukcja, w której najpiękniejsza para Hollywood udaje ↦

eprasa.pl f1a314a829

↦ zmęczonych życiem mieszkańców Pasa Rdzy, nie do końca zdała egzamin.

Dlaczego? Ponieważ jeśli coś Goslingowi przychodzi z trudem, to właśnie portretowanie zakodowanych w ten sposób postaci. Z jednej strony cierpiących, krwawiących i stąpających po uwalanej błotem ziemi. Z drugiej – przywodzących na myśl archetypiczne figury buntowników bez powodu, będących kolejną inkarnacją Jamesa Deana.

Gosling płacze

Gdy Ryan Gosling nie patrzy na rzeczy, odsuwa delikatnie głowę w geście dezaprobaty. Stąd pomysł, by na rozmaitych kadrach z filmów podsuwać mu do ust łyżkę z płatkami śniadaniowymi. Ustalmy to raz na zawsze – Ryan Gosling nie chce waszych płatków. Sam akt odmowy jest jednak w jego karierze ważny. To błyskawiczne przestawienie zwrotnicy pomiędzy tonami dramatycznymi i komediowymi.

Komedia odkryła go późno. Nie służyło mu ani *emploi* rozmarzonego twardziela, ani role, w których boksował się z nałogami. Kluczem do konwencji okazał się jeden z ważniejszych psychologicznych mechanizmów odbioru kina gatunków. Żeby wzbudzić w widzu sympatię do bohatera, ten ostatni musi być bardziej kompetentny od widza we własnej profesji i równie niekompetentny w wyzwaniach codzienności.

Fajtłapowaty policjant z „Nice Guys. Równych gości" (2016) Shane'a Blacka i tytułowy „Kaskader" (2024) z filmu Davida Leitcha robią standardowe rzeczy, których oczekujemy od bohaterów kina akcji lub czarnego kryminału. Mierzą się w boju z siepaczami mafii, łączą kropki na tablicy korkowej, romansują z upadłymi aniołami, bandziorów raczą sarkastycznymi odzywkami.

A jednak pozostają zaskakująco ludzcy w swojej nieporadności. Gdy jeden z nich próbuje włamać się do domu skorumpowanego polityka, wybijając szybę łokciem, kończy na ostrym dyżurze. Nietrudno z nim sympatyzować. Też byśmy się pokaleczyli.

Zwieńczeniem wszystkich tych ról jest oczywiście Ken – kompan Barbie i plastikowy symbol męskości definiowanej w zgodzie z fluktuującymi w kulturze trendami. W interpretacji Goslinga to w dużej mierze relikt odchodzącego patriarchalnego porządku. Ale też, na prawach autotematycznej konwencji, sam Gosling: piękny chłopiec, który, żeby przetrwać w dynamicznie zmieniającym się świecie, cały czas musi wymyślać się na nowo.

Gosling myśli

Jako że aktor uczynił z tych zmian tonacji element swojego medialnego wizerunku, traktujemy go dziś jako fajnego, bezpretensjonalnego gościa. A co za tym idzie – wierzymy mu w każdej roli. Nawet w odmalowanym pastelowymi kolorami świecie „La La Landu" (2016) oraz zimnowojennej rzeczywistości „Pierwszego człowieka" (2018) jest w stanie przerzucić pomost między wyjątkową jednostką a twarzą z szarego tłumu.

Obydwa te filmy wyreżyserował Damien Chazelle. Obydwa opowiadają o tym, że szczęście jest w drodze do nieśmiertelności kłopotliwym balastem. Jeśli więc sukces Goslinga – nie tyle jako aktora, co jako celebryty oraz popkulturowej ikony – wydaje się dziś oczywisty, to właśnie z powodu łatwości, z jaką artysta zadaje temu twierdzeniu kłam.

Po mediach nie fruwają jego idiotyczne wypowiedzi na temat geopolityki. Jego życie rodzinne nie jest przedmiotem plotek, działalność charytatywna przechodzi pod radarem, największe skandale zaś dotyczą roboty na planie. Czy był zbyt stary, żeby zagrać Kena? Czy mógł szybciej potępić Harveya Weinsteina? Czy powinien był schudnąć do straconej roli w „Nostalgii anioła"? Kogo to obchodzi!

Natomiast co do sukcesu w zawodzie, jego miarą, bez względu na oscarowe statuetki, pozostają zasiane w widzach żywe emocje. Motocykl na werandzie przypomina o życiu bez zobowiązań, które dawno zostało w tyle. Pianino na bulwarze jest sednem opowieści o sztuce na kursie kolizyjnym z miłością. Księżyc to jedyne miejsce, na które można uciec w żałobie. Holograficzna dziewczyna ostrzega: życie to jedna wielka symulacja.

Ostatecznie Ryan Gosling nie spogląda na te wszystkie rzeczy bez powodu. Frustruje mnie tylko, że robiąc to, wygląda na mądrzejszego od nas.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

Punk nie umarł

DARIUSZ KOSIŃSKI

MUZYKA | Sukces najnowszej płyty Dezertera to bardzo dobra wiadomość dla tych, którzy nigdy nie słuchali polskiego punk rocka.

Zespół Dezerter świętuje 45 lat scenicznej działalności wydaniem płyty. Album nazywa się „Wolny wybieg" i zawiera zupełnie nowy materiał, odnoszący się – tak jak piosenki grane cztery i dwie dekady temu – do otaczającej rzeczywistości. I tak jak dawniej, Robert „Robal" Matera (muzyka) i Krzysztof Grabowski (teksty) nie negocjują, a walą ostrymi riffami i słowami w słabizny, o których już nam się nawet nie chce mówić – bo ile można.

Płyta wydana w lutym, na początku marca wspięła się na pierwsze miejsce listy sprzedażowej OLiS. Myślę, że to bardzo dobra wiadomość, a może nawet coś więcej: budzący nadzieję symptom.

Z młodych gniewnych – starzy wku*wieni

Bycie legendą to stan przewlekły i bardzo ciężki. A bycie legendą rocka to stan niemal zabójczy. Pół wieku temu tworzyłeś żywą kulturę, a miliony wierzyły, że to, co robisz, jest autentyczną, bezkompromisową rebelią. Teraz dorabiasz do emerytury, odgrzewając dawne emocje dla osób równie dobrze sytuowanych jak ty. Czasem w chwili uniesień udaje się stworzyć fikcję wierności sobie, ale im ona silniejsza, tym silniejszy potem kac – bo przecież świat się nie zmienił, a twój sukces, pieniądze i sława są twoją klęską w kategoriach dokładnie tej samej etyki buntu, która wyniosła cię na szczyt.

Kultura rocka, jak żadna inna, była kulturą młodych. Kulturą niezgody na rzeczywistość urządzoną według obowiązujących konwencji dorosłości. Jeśli nawet nie wiedziała do końca, jak miałby wyglą-

eprasa.pl f1a314a829



KAROL MAKURAT / REPORTER

Koncert zespołu Dezerter, na zdjęciu Robert Matera. Wrocław, 2 maja 2023 r.

dać inny świat i inne życie, głosiła i wytwarzała silne, ekstatyczne doświadczenia tej inności.

Dziś trudno w to uwierzyć, ale w mitycznym czasie „lat miłości", w wirze ulicznych walk i strajków 1968 r., na koncertach The Doors oraz happeningach Yoko Ono i Johna Lennona rzeczywiście wierzono w możliwość zmiany. Trwało to krótko, już dekadę później pozostały gorycz, wściekłość oraz nostalgia.

Młodzi buntownicy z czasem stracili zarówno młodość, jak i powody do buntu. Stali się beneficjentami systemu, przeciwko któremu kiedyś wydawali się występować, a który zapewnił im możliwość życia na własnych zasadach. Zamiast obiecanej przyszłości – *business as usual*. I nostalgiczna fikcja fundowana nie tyle sobie, ile tym, co zestarzeli się nieuchronnie w świecie coraz dalszym od marzeń młodości, spełniając proroctwo Jonasza Kofty: z młodych gniewnych – starzy wku∗wieni.

Kultura punk w swoim anarchistycznym i wściekłym buncie spod znaku *no future* wydawała się z zasady odrzucać tę regułę. Stanowiła eksplozję i świadomie nie chciała mieć do zaproponowania niczego poza ekstatycznym i bezwzględnym zanurzeniem w teraźniejszości. Jego ucieleśnionym przedstawieniem było przerażające zewnętrznych obserwatorów pogo – gwałtowny i chaotyczny taniec plemienny angażujący wszystkie siły i wyłączający (pozornie) mechanizmy kontrolne.

Punk rzeczywiście nie trwał długo – i jako formacja kulturowa, i jako wiodący gatunek muzyczny. Spektakularnym przykładem takiego świadomego krótkiego trwania była w Polsce Siekiera, która po niesłychanie jak na tamte czasy gwałtownym wybuchu jarocińskim szybko zmieniła muzykę, estetykę i etykę, stając się na płycie „Nowa Aleksandria" może najpełniejszym wyrazicielem doświadczenia drugiej połowy lat 80.

Nikt mi nie może zakazać myślenia

Dezerter to inny przypadek: grupa zaczynająca karierę pod całkowicie niecenzuralną nazwą SS20 (tak nazywały się sowieckie pociski balistyczne) weszła wprawdzie dość szybko na oficjalny rynek (słynny singiel „Ku przyszłości" wydany przez Tonpress w roku 1983), ale konsekwentnie zachowywała na nim osobne stanowisko.

Jedną z jego głośnych demonstracji był słynny koncert w Jarocinie w 1984 r., rozpoczęty kłótnią z Walterem Chełstowskim. Sprzeczka była nieco absurdalna, ale cały koncert został wzięty w nawias radykalnej, niemal absurdalnej niezgody. Pamiętam, jakie to było dla mnie (dziwiącego się światu szpaka z prowincji) zaskakujące i niepokojące. I jaką dało moc temu występowi. Kurz z tego samego pogo, jaki wznosili młodzi punkowie z Szamba czy Sedesu (ech, utracona poezjo tych obrazoburczych nazw) wzniósł się i opadł, a słowa wyśpiewywane wtedy przez „Skandala" zostały. „Boicie się nie bać – kiedy trzeba".

Od 45 lat Dezerter nie tylko gra tego samego hardcorowego punk rocka, ale – co ważniejsze – ani na chwilę w tym czasie nie stał się żywym muzeum samego siebie. Oczywiście – dokonał reedycji słynnych albumów „Kolaboracja", wydał cyfrowo odnowione legendarne nagrania z koncertów, w tym zwłaszcza z Jarocina'84 i siłą rzeczy, tak jak wielu jego fanów, odwołuje się do chwalebnej przeszłości.

Ale tworzy też nowy materiał, zachowując konsekwencję muzyczną, tekstową i ideową, czego świetnym przykładem jest właśnie „Wolny wybieg". Nie chodzi tu tylko o „wierność sobie", ale o zaproponowanie i odkrycie takiej postawy i kultury rdzennie punkowej, która nie wyczerpuje się w ekstatycznym przeżywaniu teraźniejszości i zadymie.

„Kolaborację" otwiera rytmicznie skandowany utwór „Anarchia" – prolog i zarazem deklaracja ideowa. Dobrze pamiętam: „Anarchia w samym ↦

eprasa.pl f1a314a829

↦ środku mojej głowy / Mój mózg pracuje niezależnie / I nikt mi nie może zakazać myślenia / Anarchia w głowie to początek wyzwolenia". Zaskakująco intelektualny wstęp jak na „kapelę" robiącą dym i hałas, nieprawdaż?

Członkowie Dezertera, zwłaszcza autor tekstów i – chyba tak to trzeba nazwać – główny twórca ideowego zaplecza zespołu, Krzysztof Grabowski, odżegnują się od wszelkiej ideologii, a szczególnie odrzucają propozycje uznające za takową punk. Ale nie odżegnują się i nigdy nie odżegnywali od myślenia.

W roku bodaj 1985, gdy całą teatrologiczną grupą krakowską pojechaliśmy na kilka dni do Warszawy oglądać przedstawienia uwielbianego przez nas wtedy Jerzego Grzegorzewskiego, dostaliśmy od stołecznych znajomych fanziny wydawane poza cenzurą przez Dezertera. Ich podstawowy i najważniejszy przekaz brzmiał: wszystko cokolwiek słyszysz i czytasz, także ta nasza gazetka, jest nieuchronnie manipulacją – myśl sam!

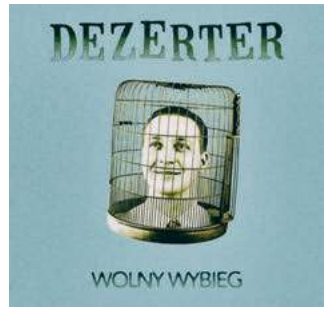
Był w tym oczywisty paradoks, ale paradoks ożywczy i wcale nie odczytywany wtedy przeze mnie jako polityczny i wymierzony wyłącznie w „komunistyczne kłamstwo".

Nie uwierzyli w wolność

To jedno z największych uproszczeń towarzyszących wielu interpretacjom twórczej aktywności rozwijanej po roku 1956 – że wszystko, co się wtedy działo w sztuce i kulturze (a działo się dużo ważnego i znakomitego), stanowiło formę niezgody wobec władzy „komunistycznej", wyczerpywało się w postulacie jej usunięcia i przywrócenia „normalności". No właśnie nie!

Oczywiście: wszelkie hasła wolności, niezależności, anarchii, twórczej swobody sprzeciwiały się rządom Partii, ale miały o wiele szersze i dalej idące cele niż to, w co zostały skanalizowane w latach 90., gdy naiwnie uwierzyliśmy w logikę rynku i porzuciliśmy oryginalne rozwiązania, takie jak projekt „Solidarności" czy anarchistycznie punkowe samodzielne myślenie.

„Wolny wybieg" bardzo przekonująco pokazuje, że anarchia, której Dezerter pozostaje wierny od 45 lat, to nie jest IPN-owska fantazja o antykomunistycznym podziemiu, ale wymagająca nieustannej czujności postawa myślowa i etyczna, zawsze zwrócona przeciwko usiłowaniom władzy, niezależnie od jej formy.



Dezerter, **WOLNY WYBIEG**, *Mystic Production, 2026*

Dezerter nie uwierzył w wolność, jaką rzekomo odzyskaliśmy po 1989 r. Wolności nie odzyskuje się ot tak, dlatego, że jakieś imperium okazało się chwilowo słabe i wypuściło sąsiedzki kraj z czułego uścisku, pozwalając na taniec lśniących reklam, podróże bez paszportów i polityczne spektakle bez cenzuralnych ograniczeń. To wszystko miłe i przydatne, ale nie na tym polega wolność. „Wyzwolin ten doczeka się dnia, kto własną wolą wyzwolony!". A anarchia w samym środku mojej głowy jest tej własnej woli ojczyzną i sercem – stanowi jej prawdziwy *hard core*.

I dlatego też pozostaje w nieustannym zagrożeniu – policyjnym i politycznym, ale przede wszystkim wewnętrznym. Śmiertelnie groźna jest dla niej każda chwila odpuszczenia, machnięcia ręką i radości z odzyskanego śmietnika. Trzeba walczyć do śmierci, by nie ulec poczuciu trwałej satysfakcji. Zadowolenie z siebie jest wrogiem myślenia.

Nie „jesteśmy tylko pionkami"

Sukces „Wolnego wybiegu" nie wydaje mi się wynikać z tego, że dawni jarocińscy pogowicze kupili płytę, by powspominać buntowniczą młodość i pocieszyć się kombatancką dumą współudziału w tryumfie nad złem. Zbyt wielu z nich odeszło, niektórzy tak realnie jak pierwszy wokalista Dezertera (Dariusz Hajn „Skandal"), inni bardziej metaforycznie. Ci dawni kupią reedycję mitycznej kasety z koncertu w Jarocinie, ale niekoniecznie sięgną po nowy album, na którym nie znajdą znanych melodii i nie usłyszą wygwizdywania sowieckiej piosenki pamiętanego aż za dobrze z singla Tonpressu.

Nieśmiało pozwalam sobie sądzić, że sprzedażowy sukces tej nieprzymilnej płyty zachowującej brzytewną ostrość głosu i gitar „Robala" oraz precyzję łomotu sekcji rytmicznej (obok perkusisty Grabowskiego, basista Jacek Chrzanowski) wynika nie z nostalgii, ale z odzyskiwania aktualności przez postawę punkowej anarchii myślowej, której Dezerter zawsze był wierny. Przez lata spychana na margines, niemająca żadnej liczącej się reprezentacji na scenie społecznej i ideowej (o politycznej nawet nie warto wspominać), być może właśnie dlatego odzyskuje widzialność i słyszalność.

Coraz częściej zdarza mi się spotykać na ulicach miast grupki bardzo młodych ludzi z kolorowymi czubami, w skórach, z agrafkami w uszach i nosach. Jasne – może to być tylko jeszcze jedna z powracających mód nieustannego retro. Ale może jednak ona też stanowi symptom, jak sukces Dezertera i dość niespodziewane, błyskawiczne wyprzedanie dwóch koncertów System of A Down na Stadionie Narodowym. Albo jak myślowy i poetycki remiks „Nowej Aleksandrii" w przedstawieniu wyreżyserowanym w Teatrze Narodowym (sic!) przez Jana Klatę wciąż dumnie noszącego punkowego irokeza.

Zdaję sobie sprawę, że to drobiazgi, ale jestem na nie wrażliwy, bo ożywiają przekonanie, że anarchiczna walka o niepodległość myślenia (ta sama, którą głosił i w której gotów był ginąć Konrad w „Wyzwoleniu" Wyspiańskiego) zaczyna być odzyskiwana jako bezwzględnie do życia potrzebna.

Jeśli bohaterem współczesności i władcą „świata zachodniego" jest ktoś tak impregnowany na myśl niezwalczoną ścigającą siebie jak Donald Trump, jeśli podstawowym obowiązkiem zawodowych polityków jest jak najdosłowniej bezmyślne powtarzanie „przekazu dnia", jeśli samorozwijająca się technologia służy głównie temu, by nie wypuszczać nas z naszej bańki, to anarchia w mojej i twojej głowie staje się czymś więcej niż nadzieją – staje się realną siłą odpowiadającą na narastające poczucie, że nic się już zrobić nie da.

Wiem – to może być zwykłe chciejstwo. Starzy wku*wieni zawsze mają nadzieję, że okażą się dziadkami rewolucji kontynuowanej przez kolejne pokolenie młodych gniewnych. Ale nawet jeśli się łudzę, to dobrze chwilę pomyśleć, że nie „jesteśmy tylko pionkami, które nie dostają drugiej szansy". I wśród narastającego po wszystkich stronach coraz silniejszego poczucia bezradności przypomnieć sobie, że nikt nam nie może zakazać myślenia. © DARIUSZ KOSIŃSKI

eprasa.pl f1a314a829

▪ *Ana María Matute*, **PIERWSZE WSPOMNIENIE**, *tłum. Ewa Zaleska, Cyranka*



Ścieżka poprzecinana drgającymi cieniami migdałowców, przygniatające słońce, niebieska papuga na framudze okna. Świat zredukowany do zabaw, pozornie błahych rozmów i strzępków informacji, które rodzą przerażające domysły. Jest to świat nastolatków – już nie dzieci, jeszcze nie dorosłych – którzy odkrywając reguły postępowania starszyzny, poznają również siebie. W skwarze Majorki sugestywną siłą okazuje się niedomówienie – grożąca w ciężkim powietrzu zagadkowość. „Pierwsze wspomnienie" Any Maríi Matute – nieznanej w Polsce, choć w Hiszpanii sowicie nagradzanej autorki – to nominalnie opowieść o relacji między kuzynami, którzy na skutek wybuchu hiszpańskiej wojny domowej zamieszkali u babci na wyspie. Powierzchniową treść powieści stanowią wyprawy, obserwacje, potyczki z wrogą bandą, korepetycje czy palone w nocnej ciszy papierosy. Cykliczność tych pozornie idyllicznych czynności zostaje zderzona z nieobecnością rodziców, trudem samodzielnego dorastania, odkrywaniem rodzinnych tajemnic, jak też nieobecną, choć wyczuwalną na każdej stronie – wojną. Oślepiająca sceneria książki łączy się z napięciem bohaterów, czyniąc z powieści egzystencjalny horror rozgrywany przy świetle dnia. „Wspomnienie" to proza poetycka najwyższej próby – opisy przestrzeni uwodzą inwencją i subtelnością cieniowania. Odmalowanie rzeczywistości z perspektywy 14-letniej Mati może być rozumiane jako gest jednocześnie estetyczny i etyczny. Pierwszy komponent służy pokazaniu świata jeszcze przed jego odczarowaniem – uchwyconego uważnym okiem młodego ducha. Drugi sprawia, że teatralne uniwersum dorosłych zostaje rozmontowane, a sami aktorzy obnażają swoją bezsilność wobec machiny historycznej i własnych niedoskonałości. Matute napisała olśniewającą książkę o dorastaniu i wystawionej na próbę młodzieńczej wrażliwości. Jej narysowane twardym ołówkiem postaci zanurzone są w swoich prywatnych groteskach i jako całość przeciwstawione historii. Przenikliwość poszczególnych charakterystyk współgra z subtelnością ich prezentacji. Gdzieś między słonecznymi plamami i zakamuflowanymi uczuciami zalega cisza niesamowitości. A z głębi tej ciszy wyłania się czułość, kładąc chłodną dłoń na rozpalonym czole czytelnika. © OLIVIER SOBOTA-SZAMOCKI

▪ *Soen*, **RELIANCE**, *Silver Lining Music*



Zaczęło się od tęsknoty za Toolem. Kultowa kalifornijska kapela prog-metalowa zamilkła w 2006 r. po wydaniu albumu „10.000 Days" aż na trzynaście lat. Na tęsknotę fanów za muzyką graną w nietypowym metrum, złożoną z wycinanych z matematyczną precyzją riffów basu i gitary oraz psychodelicznych wokaliz, starało się odpowiedzieć wiele zespołów – a wśród nich szwedzka grupa Soen. Po dwóch albumach artyści uwolnili się na szczęście od stylu Toola i zaczęli wypracowywać własny. Tworzą go szerokiej skali baryton Joela Ekelöfa, skomplikowane riffy, gęsty bas oraz melodyjne, „hymnowe" refreny, chętnie podchwytywane przez publiczność. Taki jest też najnowszy krążek zespołu, „Reliance". Szwedzi zajęli się tematem bliskości w epoce atomizacji; pytają, na ile technologia jest w stanie zniszczyć naturalną potrzebę więzi z innymi i przypominają – zgodnie z tytułem całości – że trudno żyć, nie mogąc polegać na sobie nawzajem. Tekstom udaje się raczej unikać kiczowatych mielizn, są gęste w emocje i znaczenia – dość powiedzieć, że jeden z tytułów, „Vellichor", oznacza „specyficzną melancholię, którą odczuwa się w starej księgarni". Ale nie dla tekstów słucha się przecież metalu; wokal można potraktować po prostu jako jeden z instrumentów dobrze zgranej kapeli i oczekiwać wybornych solówek gitarowych Kanadyjczyka Cody'ego Lee Forda. Na poprzednich albumach grał bardziej „gilmourowsko", tutaj bliżej mu do wirtuozerii Johna Petrucciego (choć w odróżnieniu od gitarzysty Dream Theater nie zapomina o melodii). Nowych światów ten album nie odkrywa, eksploruje za to dobrze znane. Jest to kawał solidnego rocka, który raczej dostarcza słuchaczowi energii niż go „rozjeżdża". Niemniej dla muzyków Soen nadszedł czas, by znowu wymyślić się na nowo, o ile nie chcą przyprawić sobie etykiety zespołu, który wciąż nagrywa tę samą płytę.
© MACIEJ MÜLLER


MATERIAŁY PRASOWE

▪ **OKRUCHY DNIA**, *reż. James Ivory, Netflix*

Producenta Ismaila Merchanta i reżysera Jamesa Ivory'ego łączyła wieloletnia relacja romantyczna i zawodowa: obie równie trwałe. W latach 60. duet stworzył firmę produkcyjną Merchant-Ivory, która stała się tak prominentna, że określiła nowy typ kina. Filmy spod tego szyldu często oparte są na literackim pierwowzorze, przedstawiają życie arystokracji i rozgrywają się na początku XX w. w Anglii. Ekranizacja nagrodzonej Bookerem książki Kazuo Ishiguro „Okruchy dnia" wydaje się naturalnym wyborem dla poszukujących podobnych historii. Efekty? Osiem nominacji do Oscara w roku 1993 oraz miejsce na liście stu najlepszych brytyjskich filmów XX w. opracowanej przez British Film Institute. Oraz jedna z najznamienitszych kreacji Anthony'ego Hopkinsa. Mamy lata 30., Darlington Hall. Sensem życia bohatera granego przez Hopkinsa jest sprawienie, by posiadłość, w której pracuje, funkcjonowała jak w zegarku. Jest niezrównanym kamerdynerem – perfekcyjne wypełnianie obowiązków to część jego tożsamości. Przestrzega surowego kodeksu: nie opuszcza służby, nie wątpi w pracodawcę i nie poddaje się uczuciom – zwłaszcza tym do pani Kenton. O tak, Stevens świetnie sprawdza się w swojej roli. Lord Darlington zaś chętnie podejmuje gentlemanów: przedstawicieli rodziny królewskiej oraz krajowych i zagranicznych polityków. Sprawę komplikuje jednak to, że mimo nienagannych manier stoi po ciemnej stronie historii. Co jeszcze dodać? Może to, że „Okruchy dnia" nasycone są głęboką melancholią niewypowiedzianych słów. Takich, które rezonują w człowieku długo po seansie.
© MARIA DUTKIEWICZ

eprasa.pl f1a314a829

Po rozstaniu



ANITA PIOTROWSKA

FILM | Stara miłość potrafi zardzewieć. Może się jednak zamienić w coś innego i Hlynur Pálmason mówi o tym bardziej językiem artysty wizualnego niż filmowca.

Nowy film Hlynura Pálmasona tylko udaje rodzinną „obyczajówkę". Albo turystyczny folder reklamujący piękno islandzkich plenerów w różnych porach roku. I robi to do pewnego momentu bardzo dobrze, szybko jednak orientujemy się, że za tą podwójną kotarą kryje się zupełnie inne kino.

Takie, w którym rozpad pewnej sympatycznej rodziny już się dokonał, dom poszedł do metaforycznej rozbiórki i zamiast standardowego „czy wrócą do siebie?" reżyser woli zadać inne pytania. Raczej z gatunku „co poszło nie tak?", ale na poziomie mniej oczywistym niż szukanie winnych czy ukrytych powodów. Zamiast prób zszywania rodziny na nowo, dokonuje stopniowego jej rozpruwania – i robi to bez wielkich dram, emocjonalnych wyładowań i szarpanin. Przenosi historię Anny, Magnúsa i trójki ich dzieci (a także ich psa oraz kur) w surrealistyczno-symboliczne rejony.

„Miłość, która zostaje" od początku sugeruje, że po świeżo zakończonym związku „artystki na dorobku" (Saga Garðarsdóttir) i wilka morskiego (Sverrir Guðnason) zostało całkiem sporo. W niegdyś wspólnym wiejskim domu spotykają się na obiadach, a w wolnych chwilach chodzą z dzieciakami na górskie wycieczki. Seksualnie też ciągle między Anną i Magnúsem iskrzy, choć coś się nieodwracalnie skończyło i nie może być powrotu do tej samej rzeki. Ale skoro jest teraz tak dobrze, to czemu właściwie miałoby być gorzej?

Film Pálmasona drobnych zgrzytów szuka na przykład w naturze, również tej udomowionej. Ukochany szpic pasterski o imieniu Panda (nagrodzony za tę „rolę" Psią Palmą w Cannes) wytarza się w jakimś świństwie tuż przed rodzinnym spotkaniem, a słodkie puchate kurczątka za chwilę wylądują na grillu. Uroda pejzażu, w który tak mocno wrosła twórczość Anny, też wydaje się zwodnicza. Dosadnie i równocześnie z lekkim przymrużeniem oka islandzki reżyser opowiada o zmaganiach obojga bohaterów ze sobą, a także z naturą i kulturą.

Robi to tym zabawniej, że ich profesje są z zupełnie różnych parafii. Podczas gdy on szarpie się w szkwałach czy patroszy ryby (i jest obecnie głównym żywicielem tej rodziny), ona w pocie czoła, aczkolwiek w przydomowym zaciszu, wytwarza swoje wielkoformatowe i wielce pracochłonne obrazy. Widać coś ironicznego w tej walce z żywą i martwą materią. Zarówno w przedstawieniach hardkorowej maszynerii związanej z rybołówstwem, jak i artystycznej pracy w plenerze. Żadna z tych aktywności nie daje spełnienia, bo albo oddziela od rodziny, albo skazuje na kaprysy natury i rynku sztuki. Szwedzki marszand zachwyci się co prawda „okolicznościami przyrody", w jakich artystka żyje, ale nie znajdzie miejsca dla jej prac w swej galerii – i jeszcze na odchodnym naruszy gęsie gniazdo. A stado koni w ogóle nie uszanuje jej procesu twórczego.

Szczególną próbkę surrealizmu przyniesie figura rycerza, tworzona przez synów Anny i Magnúsa nad brzegiem morza, ażeby strzelać do niej z łuku (ów wątek rozwinie się w najnowszym filmie Pálmasona „Joan of Arc"). A kiedy jeden z braci dostanie poniekąd rykoszetem, Pálmason zostawia nas z tym komicznym w gruncie rzeczy zdarzeniem, podobnie jak i z wątkiem agresywnego koguta, który po śmierci będzie nawiedzał w snach swojego egzekutora.

„Miłość, która zostaje" prezentuje bowiem bardzo oryginalne podejście do tematu rzekomej wojny płci, ról genderowych czy dryfującej męskości. To na Annę spadł cały ciężar wychowania dzieci i prowadzenia domu, lecz film nie narzuca, a tylko sugeruje pewne tezy. Dla niektórych mogą to być sugestie zbyt mgliste, albowiem twórca „Zimowych braci" wyspecjalizował się w impresyjnym opowiadaniu. Dla innych z kolei będą nazbyt ewidentne, jak choćby powtarzające się ujęcie, kiedy mężowskie spojrzenie kieruje się pod żoniną spódnicę i kontempluje z dołu tak zwane „pochodzenie świata".

Jednocześnie konkret (te wszystkie makrozbliżenia zwierząt i runa leśnego) powoduje czasem dezorientację – czy to czy-

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

eprasa.pl f1a314a829



MATERIAŁY PRASOWE

MIŁOŚĆ, KTÓRA ZOSTAJE
(Ástin sem eftir er) – reż. Hlynur Pálmason. Prod. Islandia/ /Dania/Szwecja/ /Francja 2025. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 20 marca.

Hlynur Pálmason to islandzki reżyser, scenarzysta i artysta wizualny, pracujący także w Danii. Zadebiutował filmem „Zimowi bracia" (2017), potem był „Biały, biały dzień" (2019) i „Godland" (2022). Najnowszy tytuł, „Miłość, która zostaje", podobnie jak dwa poprzednie, miał premierę na festiwalu w Cannes i był islandzkim kandydatem do Oscara.

Powyżej: kadr z filmu „Miłość, która zostaje"

sto zmysłowe epifanie, figury symboliczne, czy może ironia? W najbardziej znanym filmie Pálmasona, czyli „Godland", surowa przypowieść o XIX-wiecznym duńskim pastorze, który rusza z kolonizatorską misją na Islandię, też miała w sobie tę niepokojącą wieloznaczność.

Lecz są jeszcze całkiem realne dzieciaki: nastoletnia córka i dwóch wspomnianych bliźniaków, nie przypadkiem zagrane przez dzieci reżysera i noszące w filmie ich imiona. Wygląda na to, że rozstanie rodziców nie jest dla młodych bohaterów traumą, w końcu mało się we wspólnym życiu pozmieniało. Ich rozmowy wskazują jednak, że rozumieją więcej, aniżeli mogłoby się wydawać dorosłym. Rodzinne posiady i rekreacje tylko na chwilę przykrywają napięcie, jakie pulsuje między matką i ojcem.

Miłość, która mimo wszystko została, okazuje się znacznie większym wyzwaniem od tej mocno ułomnej, która spowodowała koniec związku. Na dodatek dzieci bombardowane są zewsząd różnymi formami przemocy, tej internetowej czy tej wpisanej w życie wiejskie, wcale nie takie sielskie. Pálmason nakłada na to kojący filtr – upływ czasu, zapisany między innymi w rytmach natury, może pomóc w przyswojeniu życiowej zmiany. Rodzicom zaś, szczególnie ojcu, odnaleźć swoje miejsce w nowych warunkach.

Bo wbrew porzekadłu, stara miłość potrafi zardzewieć i nie przypadkiem Anna wykorzystuje w swej pracy twórczej procesy korozyjne, a rdza na jej obrazach kojarzy się z krwią. Małżonkowie zdają się dopasowani i nadal mocno zżyci, lecz ta przyrdzewiała miłość nie działa już dobrze. Może się jednak zamienić w coś innego i Pálmason mówi o tym bardziej językiem artysty wizualnego, którym czasami bywa, niż typowego filmowca.

W swoich zdjęciach (był też operatorem filmu), inspirowanych malarstwem Moneta, próbuje zapisać melancholię przemijania. Nasyca je szczególnym rodzajem islandzkiego powietrza i światła, które pozwala zanurzyć się w zainscenizowanych przepływach zwykłego życia, by już za chwilę wytrącić nas z tego stanu. Na przykład jakimś onirycznym ekscesem, rządzącym się własną logiką, albo sporą dawką absurdu.

Dlatego seans „Miłości, która zostaje" jest dość osobliwym doświadczeniem – sztuką porozumienia z widzem ponad prostymi psychologizmami. Ta opowieść o rodzinnym rozpadzie, o stracie, kobiecej twórczości i męskiej samotności nie ma w sobie nic a nic z poradnika. ©

Lektor:
Skarb odnaleziony



■ *Stanisław Stempowski,*
PAMIĘTNIKI 1870-1920. TOM I-III.
Opracował, wstępem i przypisami opatrzył Łukasz Mikołajewski. Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, Wydawnictwo „Więź", Warszawa 2025

Urodził się po klęsce powstania styczniowego, umarł w apogeum stalinizmu w Polsce. Ziemianin z Podola, socjalista, rzecznik pojednania polsko-ukraińskiego, w 1920 r. minister w rządzie Ukraińskiej Republiki Ludowej. Ojciec najwybitniejszego zapewne polskiego eseisty, wieloletni partner Marii Dąbrowskiej. No i czołowy działacz wolnomularski w II Rzeczypospolitej. „Plotka głosiła – wspomina Miłosz w „Prywatnych obowiązkach" – że w apartamencie Dąbrowskiej w wc, zamiast papieru toaletowego, dla oszczędności, wiszą pocięte protokoły masońskiej loży"...

Stanisław Stempowski (1870-1952) spisywał swoje pamiętniki w wojennej Warszawie. Po jego śmierci Dąbrowska doprowadziła do ich wydania przez Ossolineum, tekst został jednak znacznie okaleczony zgodnie z wymogami cenzury – był rok 1953! – i pozbawiony niemal całkiem wątku rewolucji rosyjskiej, a także, jeszcze decyzją autora, ostatnich trzech rozdziałów. Teraz dostajemy całość.

Dlaczego warto po nią sięgnąć? Po pierwsze, to po prostu świetna literatura, portret świata bezpowrotnie minionego. „Czegoś tak pasjonującego i pięknego dawno nie czytałem" – pisał Jerzy Giedroyc po zapoznaniu się z brulionami zachowanymi w papierach pośmiertnych Jerzego Stempowskiego. Piotr Kłoczowski nazywa „Pamiętniki" apokryfem rodzinnym ogniwa wolności, którego Stanisław Stempowski był wspaniałym przedstawicielem.

„Wprowadzają nas w Ukrainę i Podole w dekadach przed wojną 1914 roku, w Warszawę inteligencji o orientacji pepeesowskiej początku XX wieku, w rodowody niepokornych, w kataklizm Wielkiej Wojny, w upadek caratu, w energię wybicia się na niepodległość Ukrainy, w jej samotniczą niezłomność wobec imperialnej, białej i czerwonej Rosji, w bolszewicką destrukcję politycznych, narodowych i obywatelskich aspiracji Ukrainy"... I ten straszny paradoks: tekst opisujący wydarzenia sprzed ponad stu lat, pisany podczas kolejnej dziejowej katastrofy w okupacyjnej Warszawie, czytamy dziś w chwili, gdy Ukraina znów walczy o wolność, a konflikt zagraża także i nam.

Warto i trzeba sięgnąć po „Pamiętniki". A jeszcze jeden powód? To jest edycja wzorowa, nadzwyczajnie wręcz pieczołowita i radząca sobie z problemami na pozór nie do rozwiązania. Brawo! ©℗

eprasa.pl f1a314a829

PAWEŁ

Bravo:
Kuchenne wzory



Czternasty marca, zeszła sobota. Wypiłem za królową. Nie była nią wiosna – chociaż wszyscy zapamiętamy ten piękny, pozytywny dzień jako moment przestawienia wajchy w przyrodzie. Ktoś oprócz mnie pamiętał, żeby pierwszy aperitif czy choćby kubek kawy postawiony na stoliku nareszcie wystawionym na taras lub chodnik poświęcić matematyce? Trzy, czternaście – tak się zaczyna litania cyferek liczby Pi, kiedy zaś potraktujemy to jako datę zapisaną na modłę anglosaską, to wychodzi czternasty marca, stąd to święto.

Lubię liczbowe podejście do wszelkich form otaczającego nas bytu, można znaleźć pociechę w niezmiennych zasadach. Pogardliwe w intencji powiedzenie „przecież to jakaś abstrakcja!" brzmi jak komplement, kiedy się popatrzy na to, jak zarządzamy dziedziną konkretu.

Niestety w ludzkich sprawach niewinne, delikatne liczby znajdują zastosowanie głównie do oznaczania pieniądza i jego przepływów. Weźmy gazety z ostatnich dni, przelatując pierwsze strony pełne doniesień o naszej walce plemiennej albo za dużych butach sekretarza Marca Rubio, które nosi, żeby nie narazić się swojemu szefowi – byłoby to jego prywatną sprawą, gdyby nie oddawało maleńkości jego charakteru, a za to możemy zapłacić wszyscy, nawet ci, którzy nie bardzo odróżniają Iran od Iraku. Ot, np. główne zakłady azotowe w Polsce wstrzymują produkcję nawozów, bo przy takich cenach gazu im się nie opłaca – a jakby zaczęło się im opłacać, to oznaczać będzie, że znów złośliwy los rozkręcił bączek inflacji.

Albo, skoro już jesteśmy przy prezydencie, który swoje popychadła pyta o rozmiar stopy (sugerując, że ma to związek z męskością): Trump dopiero co podpisał dekret blokujący działania prawne przeciwko glifosatowi – to ta hiperskuteczna substancja chwastobójcza, coś jak magiczny napój Panoramiksa dla nowoczesnego wydajnego rolnictwa czy ogrodnictwa. Znana w handlu jako Roundup, od dawna budzi kontrowersje nie tylko z uwagi na rozregulowanie ekosystemów. Tym się żaden regulator czy minister nie przejmuje, ale istnieją podejrzenia, że glifosat może być rakotwórczy.

Firma Bayer miała w Ameryce coraz większe problemy z pozwami od ludzi twierdzących, że się pochorowali od jego stosowania. Czy na pewno z tego powodu, tego nikt nie dowiódł z matematyczną pewnością, ale przesłanek wystarczyło, by sądy zmuszały koncern do płacenia odszkodowań. Teraz koniec z tym – firma i jej produkt znalazły się pod ochroną, jako strategicznie ważne dla państwa. Konkretnie to ważny jest fosfor, wykorzystywany w produkcji nie tylko pestycydu,



LARS RONBOG / IMAGO SPORT / FORUM

ale zapalających bomb fosforowych. Bayer jest jedyną firmą, która może armii tę cenną substancję zapewnić, więc „dźwignia" w negocjacjach z władzami była oczywista: chcecie mieć od nas składnik do bomb, to uwolnijcie nas od procesów z rolnikami. Próby doprowadzenia do zakazu glifosatu w Europie wracają jak bumerang i czasem trafiają do naszej rubryczki. Ale tylko czasem, bo ileż można w kółko o tym samym.

Ciężko wyznać, ale mamy dziś inny przypadek *déjà vu*. Oto René Redzepi, wizjonerski kucharz z kopenhaskiej Nomy (w zeszłej dekadzie często zwanej „najlepszą restauracją świata"), niegdyś prorok odpowiedzialnego podejścia do przyrody w kuchni i surowej nordyckiej odmiany luksusu, znowu przeprasza.

To już było. Trzy lata temu zawiesił stałą działalność knajpy, uzasadniając, że model zbytku, którego był współtwórcą, jest „nie do utrzymania", bo – to już dodawali złośliwi z boku – bazował na wyzysku darmowych stażystów. W naszym archiwum znajdziecie świetny o tym tekst pióra Michała Kuźmińskiego (tyg-pow.pl/noma). Przebąkiwało się, że poza wyzyskiem były też rękoczyny oraz mobbing, jednak sprawa ucichła, ciągle uznajemy wielkich kucharzy za artystów. Tym zaś wolno więcej, nawet dobrze, jak otacza ich aura Gromowładnego. Dotyczy to np. reżyserów, a czymże jest wyższa gastronomia jak nie teatrem?

Aż tu nagle w momencie inauguracji prestiżowego cyklu kolacji Nomy w Los Angeles (1500 dolarów za osobę) wypłynęło parędziesiąt świadectw dawnych podkuchennych, którzy opowiadają o regularnej przemocy, biciu, wyzwiskach i upokarzaniu na oczach całej załogi. Za nic, za bzdurę, za drobne wpadki. Notorycznie i metodycznie. Redzepi wygłosił parę prze-

eprasa.pl f1a314a829



Szef kuchni René Redzepi (na krześle) z pracownikami restauracji Noma w Kopenhadze, 2009 r.

prośnych formułek, mdłych jak sok z brzozy, ale sponsorzy projektu przerażeni smrodem zaczęli się wycofywać, inwestorzy więc wymusili na nim dymisję.

Bo niezależnie od tego, jak ascetycznie może wyglądać surowa decha, na której leżą dwa grzybki z bagien i dwie kapki sosu z rokitnika zebranego przez bosonogie dziewczę, to jest to gałąź showbiznesu wymagająca znacznych nakładów materialnych i reklamowych. Nic w tym nadzwyczajnego i chwała inwestorom, gotowym sporo ryzykować. Ale nie zawsze z każdym jest nam po drodze.

Nieoceniony Łukasz Modelski, w swojej audycji dwójkowej „Droga przez mąkę" przypomniał, że przewodnik gastronomiczny Gault & Millau, jedyny mogący się ścigać w prestiżu z Michelinem, należy do ludzi, delikatnie mówiąc, bliskich rosyjskiej oligarchii. Nikomu to, zdaje się, nie przeszkadzało, gdy z pompą i paradą ogłaszano powrót jego polskiej edycji. Ale od jakiego momentu pieniądze są już zbyt brudne, żeby np. szef kuchni chciał aspirować do wyróżnienia albo przez swój prestiż wspierać taką inicjatywę? To nie matematyka, nie ma wzoru. Oceniać nie można. Ale wiedzieć trzeba. No i dla mnie najważniejsze – to, jak taki szef traktuje podwładnych. Żeby chociaż nie bił... Tyle żądajmy. Niech chociaż będzie taki pożytek z żenującej historii Redzepiego.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Kapusta duszona z musztardą i miso

Wiecie, że to już ostatki kapusty? Mam na myśli tę surową, nie kiszoną. Całą zimę dzielnie nas karmiła, coraz bardziej tracąc jędrność i smak. Bardzo ją lubię za to, że poddaje się najprostszym sposobom obróbki termicznej – starczy poddusić na patelni na oliwie, najlepiej z jakąś zwierzęcą wkładką. Ale teraz na zakończenie sezonu, kiedy już naprawdę możemy czuć się znudzeni, zróbmy coś bardziej fancy.

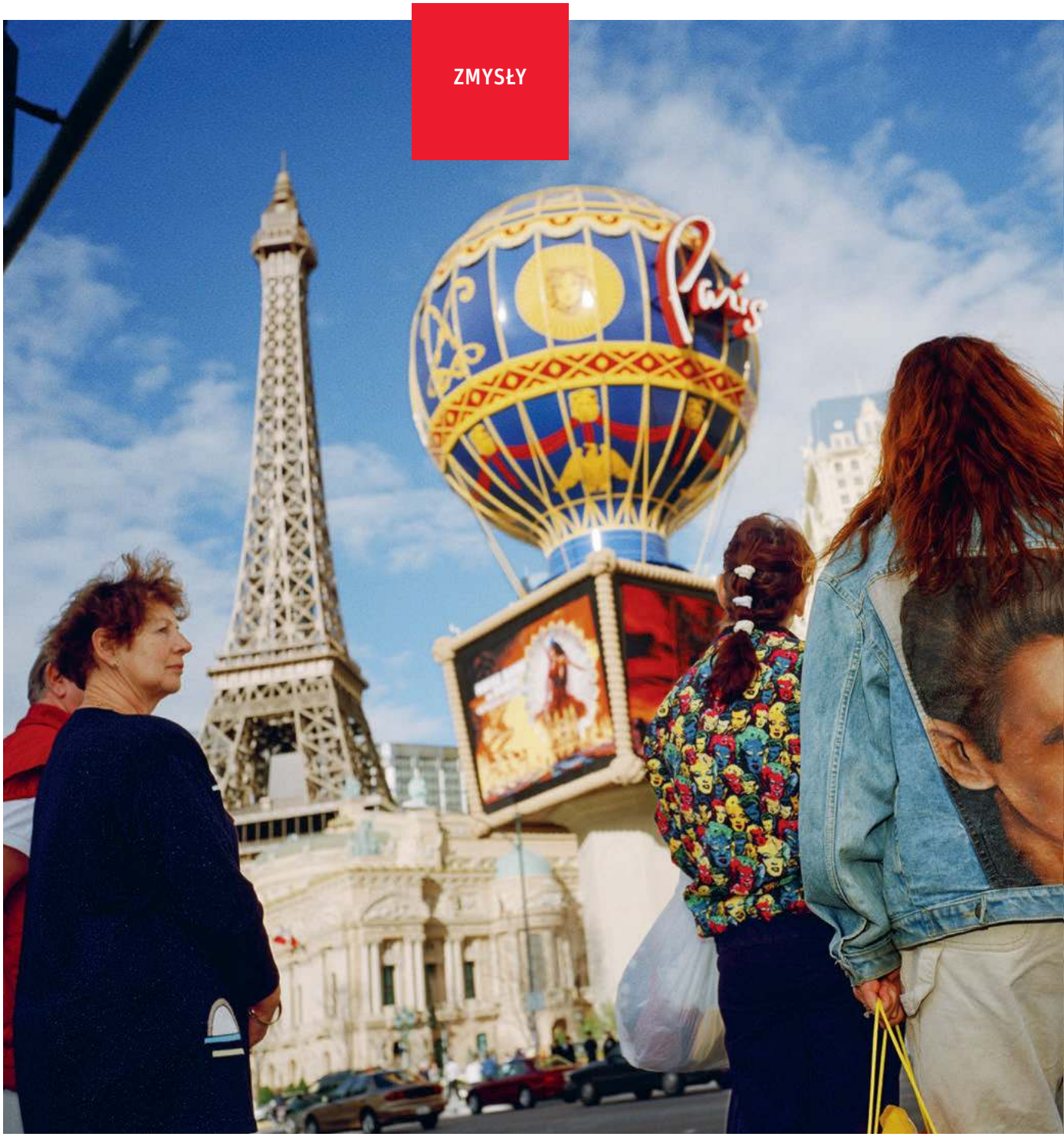
SKŁADNIKI:
pół małej, zwartej główki kapusty łyżka musztardy dijońskiej łyżka pasty miso łyżka miodu łyżka octu winnego łyżka masła ząbek czosnku łyżka musztardy ziarnistej ▪ sok z połówki pomarańczy plus skórka

Kroimy kapustę na cztery cząstki, zachowując część głąba, tak żeby trzymał razem liście. Podgrzewamy na głębokiej patelni dwie łyżki oliwy, obsmażamy kapustę z każdej strony po kilka minut, aż brzegi liści się porządnie zarumienią. Solimy. Dodajemy masło i czosnek, czekamy, aż się rozpuści, rozprowadzamy je równo po patelni, wlewamy uprzednio przygotowany sos z musztardy, miso, miodu, soku z pomarańczy i octu, dolewamy odrobinę bulionu warzywnego lub wody – tyle, żeby płyn dochodził do 1/4 wysokości kapusty. Przykrywamy i dusimy na wolnym ogniu 10 minut, odwracamy kapustę i dusimy kolejne 10 minut. Wyjmujemy kapustę, pozostały w patelni sos zagęszczamy na dużym ogniu o połowę, na koniec dodajemy parę listków szałwii (jeśli mamy), wyłączamy kuchenkę i dodajemy łyżkę musztardy ziarnistej. Mieszamy i polewamy tym cząstki kapusty na talerzu, a na wydaniu posypujemy tartą skórką z pomarańczy. Jeśli kapusta jest bardzo sucha po całej zimie spędzonej w piwnicy, czas duszenia można trochę wydłużyć. Proporcje musztardy i miso do miodu też można lekko zmieniać, wedle upodobań. ©℗



PAWEŁ BRAVO

eprasa.pl f1a314a829



TYLE NARAZ ŚWIATA

Martin Parr twierdził, że nie ironizuje i nie upiększa. Fotografuje po prostu to, co widzi: bawiących się Anglików, jedzenie, siebie.

DOROTA MALINA Z PARYŻA

eprasa.pl f1a314a829





MARTIN PARR/ MAGNUM PHOTOS / MATERIAŁY PRASOWE X2

Las Vegas, 2000 r. powyżej: Szkocja, Glasgow. Fairy cakes, 1999 r.

Retrospektywę zdjęć Martina Parra **GLOBAL WARNING** można oglądać w paryskim Jeu de Paume do 24 maja 2026 r. Należy uzbroić się w cierpliwość i przygotować na tłumy (zwiedzając wystawę, człowiek czuje się jak bohater zdjęć Parra).

Szaleństwo kolekcjonowania – tak w skrócie można by określić kilkudziesięcioletnią praktykę artystyczną Martina Parra, brytyjskiego fotografa, który zmarł 6 grudnia 2025 r. Planu co prawda nie zrealizował: nie zdołał ujarzmić rzeczywistości, uwiecznić i skatalogować absolutnie wszystkiego. Ale próbował.

Zostawił po sobie ponad 140 książek, tysiące klisz i ogromny zbiór przedmiotów, których nie powstydziłaby się Wisława Szymborska (zegarki z wizerunkiem Saddama Husajna, talerze ze zdjęciami królowej, gadżety dla fanów Spice Girls, mnóstwo pocztówek).

Pracował do samego końca – fotografował nawet szpitalne posiłki. Uczestniczył też w przygotowaniach swojej paryskiej wystawy „Global warning", której niestety nie doczekał. Retrospektywa fotografa rozpoczęła się w galerii Jeu de Paume pod koniec stycznia.

Martin Parr znany jest przed wszystkim z bardzo kolorowych zdjęć bladych Anglików na plaży. To jednak tylko ułamek jego ogromnego dorobku. Ponieważ mottem całościowego katalogu dzieł fotografa mógłby być incipit wiersza noblistki „Urodziny" („Tyle naraz świata ze wszystkich stron świata"), ograniczę się do kilku powracających motywów.

A Czytelniczkom i Czytelnikom radzę zaopatrzyć się w albumy, bo w przypadku Parra obraz naprawdę wart jest tysiąc słów.

Rodacy

Choć dziś kojarzymy go z krzykliwymi kolorami, Parr, pod wpływem fascynacji amerykańską fotografią społeczną z lat 50. i 60., zaczynał od zdjęć czarno-białych. Już w pierwszych albumach widać jednak nie tylko chęć dokumentowania rzeczywistości, lecz także uwypuklenia jej absurdalnych, dziwacznych i lekko śmiesznych aspektów.

Jako student politechniki w Manchesterze mocno inspirował się fotografią Tony'ego Ray-Jonesa, fotografa, który starał się uwiecznić „angielski sposób bycia". Właśnie dlatego Parr przez kilka lat fotografował szarą rzeczywistość poprzemysłowego Hebden Bridge.

W albumie „Calderdale" pokazuje metodystów i baptystów, którzy w rocznicę założenia swojego zboru organizują uroczyste herbatki: widzimy panie w kapeluszach i panów w garniturach popijających bawarkę z pięknej porcelany. W „Bad Weather" (ironicznym komentarzu do angielskich rozmów o pogodzie) oglądamy między innymi ludzi pod parasolami, którzy walczą z deszczem i wichurą. Te dwa albumy są czarno-białe. Potem było już kolorowo.

Prawdziwy przełom – i do dziś jeden z najbardziej znanych albumów Parra – to „Last Resort" (gra słów: „ostatni kurort", ale też „ostatnia deska ratunku"), w którym fotograf pokazuje ↦

eprasa.pl f1a314a829



MARTIN PARR/ MAGNUM PHOTOS / MATERIAŁY PRASOWE

Nowy Jork, sesja mody dla magazynu Amica. Zdjęcie z „Fashion Magazine", 1999 r.

↦ Anglików na plaży kurortu New Brighton koło Liverpoolu. To nie reklama batonika Bounty ani luksusowych wakacji, nie zobaczymy tu atrakcyjnie ogorzałych panów ani smukłych pań w bikini. Ludzie są bladzi, spoceni i czerwoni od oparzeń słonecznych. Noszą poliestrowe sukienki i bermudy, nie zawsze prezentują się z najbardziej korzystnego profilu.

Komentatorzy często podkreślają klasowy aspekt zdjęć Parra (elity raczej nie odpoczywały w New Brighton). Podczas gdy rząd Margaret Thatcher głosił propagandę sukcesu, Parr pokazywał biedną robotniczą Północ – dobitnie, ale bez mizerabilizmu. Wielu zarzucało mu sarkazm i ironię, celowe epatowanie kiczem i jaskrawością (używał flesza w słoneczny dzień). Sam twierdził, że po prostu uwiecznia to, co widzi. Nie stara się ironizować, ale też nie upiększa.

Pod koniec tysiąclecia podjął próbę zdefiniowania angielskości. W albumie „Think of England" (nawiązanie do hasła, które miało zachęcać kobiety do seksualnej uległości i prokreacji: *Close your eyes and think of England*) – przedstawiając nadmorskie miasteczka, wioskowe festyny i spotkania przy herbatce – zastanawia się, kim są Brytyjczycy. Co, poza bawarką i Union Jackiem, jednoczy Zjednoczone Królestwo?

Turystyka

Z rodzimych kurortów Parr przeniósł się do topowych destynacji turystycznych. W albumie „Small World" („Jaki ten świat mały") pokazuje sprzedawców suwenirów pod piramidami, tłumy na Machu Picchu czy pozujących do zdjęć turystów, którzy udają, że podtrzymują Krzywą Wieżę.

Parr wydobywa absurdy owczego pędu do „wyjątkowych doświadczeń" i nowych form kolonizacji. Album, który ukazał się w 1996 r., był wielokrotnie wznawiany i uzupełniany – zwłaszcza że coraz większe umasowienie turystyki i popularność kijków do *selfie* otwarły przez Parrem wielki świat nowych możliwości.

Nie należy jednak myśleć, że artysta z wyższością patrzy na klientów biur podróży czy hoteli *all inclusive*. Przedstawia siebie jako everymana, tak samo jak bohaterowie jego zdjęć uwikłanego w system konsumpcji i frenetycznego przemieszczania się.

Wielokrotnie opowiadał – i pokazywał w uroczej serii „Autoportretów" (Parr w weneckiej gondoli, Parr na piernikowym sercu z napisem „Oktoberfest") – że też w tym wszystkim uczestniczy. „Mam okropny ślad węglowy. Ale to nie znaczy, że nie powinienem krytykować systemu. Lubię badać własną hipokryzję" – przyznawał.

Jedzenie i przedmioty

Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy spodziewacie się stylizowanych zdjęć apetycznych potraw rodem z magazynów kulinarnych. Martin Parr zachwycał się nie holenderskimi martwymi naturami, lecz japońskim albumem „Shokuji" (Bankiet) Nobuyoshi Arakiego. Choć znawcy Arakiego piszą o „zmysłowych, erotycznych zbliżeniach" na warzywa czy wilgotną ośmiornicę, dyletant zobaczy przede wszystkim oślizgłe flaki i martwe ryby.

Parr, zaopatrzywszy się w obiektyw makro używany głównie w medycynie, z fascynacją zaczyna uwieczniać brytyjskie jedzenie (albumy „British Food" i „Real Food"): pomarańczową fasolkę z sosie pomidorowym, wściekle różowe kiełbaski, pączki z tęczową posypką. Fotografie, które trudno odzobaczyć, przedstawiają rozciapaną drożdżówkę w folii poklejonej lukrem albo podroby, które niepokojąco przypominają ludzkie jelita. Wszystko nieco sztuczne i jakby kreskówkowe. Parr do końca życia zbierał też opakowania po produktach spożywczych, zafascynowany rozdźwiękiem między obietnicą ze zdjęcia na opakowaniu a jego zawartością.

W albumie „Common Sense" (czyli zdrowy, ale i „powszechny" rozsądek) Parr – jak czytamy na stronie agencji Magnum, do której należał – „dokumentuje współczesny konsumpcjonizm". Soczyste kolory, kiczowate detale (długie paznokcie, kąpielówki z motywem amerykańskiej flagi, wściekle kolorowe babeczki z tęczowym lukrem, seryjnie produkowane przedmioty, którymi dekorujemy swoje „wyjątkowe" wnętrza) pokazują wygibasy i wytwory zglobalizowanego społeczeństwa.

Redaktorzy Magnum podkreślali dokumentalny i socjologiczny charakter zdjęć, bo przecież agencja przyjmuje tylko fotoreporterów. Parr zresztą nie miał łatwo – złożył kandydaturę w 1988 r., ale stara Magnumowska gwardia długo stawiała opór. Głosy za i przeciw rozkładały się po równo, a przeciwnicy, na czele z samym Henrim Cartier-Bressonem (który zarzucał Parrowi, że „jest z zupełnie innej planety"), grozili, że jeśli agencja przyjmie Anglika, oni z niej wystąpią. Krytykowali go za deformowanie rzeczywistości i satyryczny kąt patrzenia, nie w smak była im też estetyka.

W końcu, dzięki wsparciu prominentnego fotografa Philipa Jonesa Griffithsa, który napisał list do innych członków, popierając kandydata (w skrócie: trzeba otworzyć się na nowe,

eprasa.pl f1a314a829



MARTIN PARR / MAGNUM PHOTOS / MATERIAŁY PRASOWE

Wielka Brytania, Dorset. Great Dorset Steam Fair (Festiwal maszyn parowych). 2022 r.

nie można kisić się we własnym sosie) w roku 1994 Martin Parr wstąpił w poczet fotografów Magnum. Przecierając szlaki innym – odtąd agencja przestała być enklawą czarno-białej fotografii humanistycznej, otwierając się na zdjęcia bardziej „artystyczne" (np. Aleksa Sotha).

A Martin Parr uzyskał dostęp do zamówień prasowych, co zapewniło mu szerszą obecność w mediach. I zdemokratyzowało jego pracę, bo – jak sam trzeźwo zauważył – „Nie wszyscy bywają w galeriach".

Klimat

„Global warning" (dosł. „Globalne ostrzeżenie") – właśnie według tego klucza kuratorzy z Jeu de Paume wybrali z bogatego dorobku Parra (lata 1970-2025) dokładnie 180 zdjęć. Zadanie nie było łatwe, bo, jak stwierdził kiedyś fotograf, „kiedy oglądam swoje prace, zdaję sobie sprawę, że właściwie wszystkie jakoś się wiążą z ociepleniem klimatycznym".

Nie należy obawiać się moralizatorstwa – na wystawie nie zobaczymy łódek migrantów czy fok uduszonych plastikiem. Zdjęcia sygnowane MP (z wyjątkiem tych najwcześniejszych) są przesycone typowo brytyjskim ciętym humorem. Fotograf przestrzega, ale nie szokuje – zdjęcia mają kolorową, przystępną formę. Niczym słodka powłoczka na gorzkiej pigułce. Na wystawowych tabliczkach i w katalogu kuratorzy kładą jednak nacisk na substancję czynną leku, czyli na „krytyczną głębię prac Martina Parra". Ich zdaniem zbyt często skupiamy się na formie i postrzegamy Parra jako dobrodusznego wujaszka, który cyka śmieszne fotki.

Oni natomiast w pięciu sekcjach tematycznych prezentują nam wielki przemyślany projekt, którego mottem mogłoby być określenie „wizualnej partyzantki" (fr. *guérrilla visuelle*): Parr pokazuje absurdy i aberracje antropocenu, podważając dominujące sposoby przedstawień.

I tak w sekcji „Teren rozrywki, teren śmietnika" dostajemy zdjęcia odbiegające od wyidealizowanych pocztówek czy broszur turystycznych, a w dziale „Królestwo zwierząt" zamiast antylop swobodnie hasających po sawannie – pieski w okularach wystające z damskich torebek. W dziale „Wszystko musi zniknąć" (nawiązanie do hasła „totalnej" wyprzedaży) też nie należy spodziewać się atrakcyjnych produktów starannie ułożonych na półkach. A sekcje „Mały świat" oraz „Uzależnienie od technologii" pokazują raczej efekty masowej turystyki i dominacji smartfonów niż przyjemności z odkrywania nieznanego.

Źródła

Tym, których temat zaciekawił, gorąco polecam dokument Lee Shulmana „I am Martin Parr" z 2024 r. (dostępny na Apple TV), który pokazuje fotografa w akcji. Nie brak w nim gadających głów – wypowiadają się między innymi żona Susie (kobieta świętej cierpliwości, która latami znosiła obsesyjne zbieractwo męża i wakacje na najbardziej zatłoczonych plażach), współpracownicy z bristolskiej Martin Parr Foundation czy uznani artyści, np. Grayson Perry).

Najciekawsze są jednak sceny akcji: uroczy siedemdziesięciolatek chodzi z balkonikiem, który regularnie mu odjeżdża, bo Parr ciągle chwyta aparat i uwiecznia fragment rzeczywistości. Jeszcze jeden do kolekcji.

Wielkie bogactwo materiałów – tekstowych i wizualnych – zawiera także strona internetowa martinparr.com, bo fotograf niezwykle dbał o demokratyczny dostęp od swoich prac.

© DOROTA MALINA

eprasa.pl f1a314a829

TOMASZ

Stawiszyński:
Wbrew logice odwetu



W ZASADZIE PRZYZWYCZAILIŚMY SIĘ JUŻ, że wszędzie, gdzie mamy w Polsce do czynienia z polityką, tam nieuchronnie panuje logika odwetu. Ten wyświechtany, tyleż banalny, ile toksyczny scenariusz: przychodzi nowa ekipa, wyrzuca tych, którzy byli związani ze starą, rozdziela apanaże i dotacje wśród swoich, wśród nie-swoich zaś nie. Trwa to aż do momentu, kiedy kadencja tej ekipy się kończy i wkracza kolejna, która znowu robi to samo. Przy czym za każdym razem towarzyszą temu płomienne okrzyki ze strony pominiętych, jak również ich przyjaciół i znajomych, oraz lekceważąco-kpiące komentarze rządzących, jak również ich przyjaciół i znajomych. A role te są przechodnie i rotują wedle opisanego wyżej schematu.

Dlatego właśnie przyznanie dotacji konserwatywnym czasopismom przez minister kultury Martę Cienkowską jest w moim przekonaniu nie tylko jedną z najsensowniejszych decyzji aktualnej władzy, ale zdarzeniem realnie przełomowym. Jest też bez wątpienia aktem prospołecznym, sprzyjającym rozładowywaniu napiętej do granic możliwości polaryzacji, gestem na rzecz pluralizmu w debacie publicznej i budowania sensownego, pogłębionego dialogu. Wreszcie nastąpił jakiś wyłom w zwyczajowym, nienaruszalnym dotąd odruchu.

Odmawianie wsparcia „ich" czasopismom i obfite dotowanie „naszych" czasopism stało się już swego rodzaju tradycją, Cienkowska tymczasem, korzystając ze swoich uprawnień, podjęła odwrotną decyzję jednoosobowo, wbrew rekomendacji panelu ekspertów przy Instytucie Książki, który zajmuje się dystrybucją środków budżetowych na te cele. Brawo!

Takich posunięć w najnowszej historii mieliśmy naprawdę niewiele. Minister kultury zachowała się niestandardowo, wbrew upiornemu fatalizmowi polskiej polityki, wbrew żelaznemu schematowi od lat wzmacniającemu nienawiść i demontującemu konstruktywną dyskusję pomiędzy zwaśnionymi polityczno-ideowymi opcjami. Chciałoby się, żeby był to początek jakiegoś złotego standardu, otwarcie nowego pola, na którym – być może – da się przekroczyć to, co dotąd nieprzekraczalne. Czy są na to widoki? O tym się zapewne przekonamy przy okazji rządów kolejnej ekipy, która stanie lub nie stanie na wysokości tego zadania.

Warto też zaznaczyć, że „Pressje", „Teologia Polityczna", „Arcana" i „Wszystko, co najważniejsze" – bo o nich tu mowa – to periodyki i środowiska dobrze zakorzenione w polskiej sferze idei. Stanowiące, podobnie jak wiele dotowanych pism z drugiego krańca światopoglądowej osi, przeciwwagę dla zbrutalizowanego, prymitywnego języka dominującego w codziennych politycznych przekazach. Właśnie dlatego każdemu, kto rozumie, że nie ma sensownej polityki bez rzetelnego namysłu, powinno zależeć na wzmacnianiu intelektualnego zaplecza cywilizowanej prawicy, lewicy i centrum. Sprzyja to merytorycznej konkurencji w świecie idei, ścieraniu się wizji, poglądów i programów, co z kolei osłabia moc perswazji, manipulacji i histerii, które niemal bez reszty zdominowały dziś polityczny (i nie tylko polityczny) dyskurs. Poza wszystkim zaś – Ministerstwo Kultury, które reprezentuje całe społeczeństwo, i które dysponuje środkami płynącymi z podatków płaconych nie tylko przez wyborców doraźnie urzędującej ekipy, ma oczywisty obowiązek wspierania różnych inicjatyw, a nie tylko tych, które realizują akurat jej ideową opcję.

Silne ośrodki idei – z każdej strony spektrum – nie tylko podnoszą poziom debaty, lecz także stanowią specyficzny system *checks and balances* (ang. mechanizmy kontroli i równowagi). W pierwszej kolejności dlatego, że w ogóle umożliwiają rozmowę na określone tematy, tworząc dla niej niezbędną przestrzeń. Dziś, w epoce nowych tabu, w epoce, w której samo poruszenie jakiejś kwestii bywa traktowane jak nietakt lub przekroczenie, jest to szczególnie potrzebne.

Ale korzyści jest więcej. Choćby – przeglądanie się we własnych słabościach i niedoskonałościach. Rachunek sumienia – ważny i potrzebny – nie należy do czynności najprzyjemniejszych, zwłaszcza kiedy każde wypowiedziane słowo może zostać łatwo użyte przeciwko wypowiadającemu. Dokładnie tak jest teraz, w życiu politycznym przyznanie się do błędu stało się właściwie równoznaczne z porażką. Tymczasem na względnie pluralistycznym rynku opinii poszczególne opcje światopoglądowe dokonują wzajemnie czegoś na kształt wielostronnej krytycznej oceny. Lewica konfrontować się musi z krytyką ze strony prawicy, prawica z krytyką ze strony lewicy, podobnie centrum oraz inne, pomniejsze ideowe nurty. Ma to wyłącznie dobre skutki.

Słowem, jeśli państwowy mecenat umożliwia poszczególnym podmiotom względnie równy dostęp do sfery publicznej – niezależny od aktualnie dominującego trendu – korzystamy na tym wszyscy, zyskuje bowiem debata publiczna, w której wykuwają się kształty rzeczywistości społecznej.

Wspaniale, że przynajmniej jedna polska polityczka to rozumie, pozostaje mieć tylko nadzieję, że za jej przykładem pójdą inni. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl f1a314a829

REKLAMA



Wieś w Polsce dramatycznie się wyludnia, zanikają całe społeczności! Niegdyś tętniące życiem miejscowości zamierają, młodzi wyjeżdżają do miast. Starsi mieszkańcy często zostają bez opieki, czują się samotni i mają utrudniony dostęp do pomocy oraz wsparcia.

Wielu naszych Podopiecznych mieszka daleko od miast, czasem w pojedynczych domach albo na skraju lasu. W takich miejscach wszystko jest „dalej": apteka, przychodnia, pomoc społeczna. Tam, gdzie w mieście wsparcie instytucji bywa normą, na wsi często po prostu nie dociera. Zdarza się, że nawet zakup leków czy zorganizowanie podstawowej pielęgnacji staje się trudnym wyzwaniem. Bardzo trudno jest też zbudować profesjonalny zespół medyczny.

Przekazując 1,5% podatku Fundacji Hospicjum Proroka Eliasza przywracasz godność i nadzieję ludziom u kresu życia na wsiach. To Państwa wsparcie sprawia, że hospicjum to nie tylko nazwa, ale realna obecność: w domu chorego, w hospicjum stacjonarnym, przy opiekunach ciężko chorych członków rodziny.



Trzeba uświadamiać oraz niejednokrotnie wkładać kij w mrowisko systemu. Pokazywać, że można zrobić coś inaczej i że przynosi to efekty. Budowa hospicjum na wsi, nowy model hospicjum domowego czy projekt „Dać, to czego naprawdę potrzeba", który ma na celu pomoc wszystkim osobom potrzebującym mieszkających na wsiach u kresu ich życia – to przykłady na to, że rzeczywistość można zmieniać.

dr Paweł Grabowski
założyciel i lekarz w Fundacji Hospicjum Proroka Eliasza

Więcej informacji znajdziesz na: **www.hospicjumeliasz.pl**

KRS: 0000328837

eprasa.pl f1a314a829

RAINBOW

R.pl

CZYM JEST OBJAZD PREMIUM?

- ✓ **Kameralne grupy**
  maksymalnie 25 uczestników
- ✓ **Zakwaterowanie premium**
  hotele 4- i 5-gwiazdkowe
- ✓ **Dedykowani piloci**
  najlepsi piloci Rainbow
- ✓ **Specjalne atrakcje**
  dodatkowe, unikalne punkty programu wycieczki



REKLAMA

DLA MNIE OBJAZD PREMIUM

eprasa f1a314a829